

Roger Zelazny



KREW AMBERU

Roger Zelazny

Krew Amberu

Refleksje w kryształowej grocie

Przez osiem lat moje życie było stosunkowo spokojne, jeśli nie liczyć trzydziestych kwietnia, kiedy ktoś nieodmiennie próbował mnie zabić. Poza tym moja kariera akademicka, skoncentrowana głównie wokół komputerów, rozwijała się bez zakłóceń. Czteroletnia praca w Grand Design okazała się miłym doświadczeniem: mogłem wykorzystać to, czego się nauczyłem, w okolicznościach, które mi odpowiadały. Przy okazji na boku zajmowałem się własnym projektem. Miałem dobrego przyjaciela Luke'a Raynarda; pracował w tej samej firmie, w dziale handlowym. Żeglowałem swoją łódką, biegałem regularnie...

Wszystko rozpadło się ostatniego trzydziestego kwietnia, kiedy już sądziłem, że jakoś to poukładam. Zakończyłem swój prywatny projekt, Ghostwheel; rzuciłem pracę, spakowałem rzeczy i byłem gotów wyruszyć do cieni bardziej zielonych. Zostałem tak długo, ponieważ zbliżał się ten chorobliwie fascynujący dzień, a tym razem postanowiłem odkryć, kto i dlaczego organizuje zamachy na moje życie

Rankiem, przy śniadaniu, zjawił się Luke z wiadomością od mojej byłej dziewczyny, Julii. Prosiła o spotkanie. Wpadłem do niej i znalazłem ją martwą, najwyraźniej zabita przez podobną do psa bestię, która mnie także zaatakowała. Zdołałem zlikwidować stwora. Zanim się ulotniłem, szybko przeszukałem mieszkanie. Trafiłem na pakiecik niezwykłych kart do gry. Zabrałem je ze sobą. Nazbyt przypominały magiczne karty tarota Amberu i Chaosu, żeby nie zainteresowały takiego jak ja czarodzieja.

Owszem, jestem czarodziejem. Jestem Merlinem, synem Corwina z Amberu i Dary z Dworców Chaosu. Dla miejscowych przyjaciół i znajomych Merle Corey: inteligentny, czarujący, dowcipny, wysportowany... Jeśli chcecie więcej szczegółów, poczytajcie Castiglione'a i lorda Byrona, ponieważ jestem równie skromny, małomówny i skryty.

Karty rzeczywiście okazały się obiektami magicznymi, co specjalnie nie dziwiło, jako że po naszym zerwaniu Julia obracała się w towarzystwie okultysty, Victora Melmana. Wizyta w pracowni tego dżentelmena zakończyła się próbą dokonania na mnie rytualnego mord. Zdołałem przerwać tę krępującą ceremonię i wypytać go nieco, nim lokalne warunki i mój entuzjazm doprowadziły do jego śmierci. To tyle, jeśli chodzi o rytuały.

Dowiedziałem się dosyć, by wywnioskować, że był on tylko ślepym narzędziem. Ktoś najwyraźniej namówił go na ten numer z ofiarą. I całkiem możliwe, że ta sama osoba była odpowiedzialna za śmierć Julii i moją kolekcję niezapomnianych trzydziestych kwietnia.

Nie miałem wiele czasu, by się nad tym zastanowić. Wkrótce potem zostałem ugryziony (tak jest, ugryziony) przez atrakcyjną rudowłosą kobietę, która zmaterializowała się w mieszkaniu Melmana. Wcześniej rozmawiałem z nią krótko przez telefon i próbowałem udawać martwego już wtedy gospodarza. Ukąszenie sparaliżowało mnie, nim jednak nastąpiło, zdołałem wynieść się stamtąd za pomocą jednej z magicznych kart znalezionych u Julii. Przeniosła mnie w towarzystwo sfinksa, który odczekał chwilę, aż dojdę do siebie, a potem zaproponował mi tę idiotyczną grę w zagadki. Sfinksy ją uwielbiają. I naturalnie zjadają cię, jeśli przegrasz. Mogę tylko powiedzieć, że ten konkretny sfinks nie umiał się bawić.

W każdym razie wróciłem do cienia-Ziemi, który ostatnio zamieszkiwałem. Odkryłem, że pod moją nieobecność spalił się lokal Melmana. Próbowałem zadzwonić do Luke'a, ponieważ chciałem zjeść z nim kolację. Jak się dowiedziałem, opuścił motel, zostawiając mi wiadomość, że wyjechał w

interesach do Nowego Meksyku. Podał, gdzie ma zamiar się tam zatrzymać. Recepcjonista przekazał mi również pierścień z niebieskim kamieniem, zapomniany przez Luke'a w jego pokoju. Zabrałem pierścień, by mu go oddać przy okazji.

Polecałem do Nowego Meksyku i w końcu dogoniłem Luke'a w Santa Fe. Kiedy czekałem w barze, aż przebierze się do kolacji, przysiadł się jakiś człowiek nazwiskiem Martinez i zaczął mnie wypytywać. Odniosłem wrażenie, że Luke zaproponował mi jakiś interes, a on chce sprawdzić, czy przyszedły wspólnik jest osobą godną zaufania i czy potrafi dostarczyć to, co obiecał. Po kolacji wybraliśmy się z Lukiem na przejażdżkę w góry. Martinez ruszył za nami i zaczął strzelać, gdy staliśmy podziwiając nocne niebo. Widocznie uznał, że Luke nie jest godny zaufania albo nie potrafi dostarczyć tego, co obiecał. Luke zaskoczył mnie, sięgając po własną broń i zabijając Martineza. A potem zdażyła się rzecz jeszcze dziwniejsza. Luke zwrócił się do mnie po imieniu – prawdziwym imieniu, którego mu nigdy nie zdradziłem. Określił moje pochodzenie, po czym kazał mi wracać do wozu i wynosić się z tego miejsca. Podkreślił tę sugestię, strzelając mi pod nogi. Uznałem, że sprawa nie nadaje się do dyskusji, więc odszedłem. Poleciał mi także zniszczyć te dziwne Atuty, które już raz uratowały mi życie. A wcześniej, po drodze, dowiedziałem się, że znał Victora Melmana...

Nie odjechałem daleko. Zaparkowałem trochę niżej i wróciłem piechotą. Luke zniknął. Tak samo jak ciało Martineza. Nie wrócił do hotelu ani tej nocy, ani następnego dnia, więc wymeldowałem się i wyjechałem. Jedyną osobą, do której miałem pełne zaufanie, był Bill Roth. Bill Roth był adwokatem mieszkającym w stanie Nowy Jork i kiedyś najlepszym przyjacielem mojego ojca. Odwiedziłem go i opowiedziałem o wszystkim

Bill zmusił mnie do zastanowienia, bardziej nawet niż Luke. Luke, nawiasem mówiąc, to wielki, bystry rudzielec, urodzony sportowiec o niezwyklej wytrzymałości. I chociaż przyjaźniliśmy się od wielu lat, nie wiedziałem prawie nic o jego pochodzeniu i rodzinie. Dopiero Bill uświadomił mi ten fakt.

Chłopak z sąsiedztwa, niejaki George Hansen, zaczął się kręcić koło domu Billa i zadawać dziwne pytania. Odbyłem dość niezwykłą rozmowę telefoniczną, a dzwoniący stawiał podobne pytania. Obaj byli ciekawi, jak na imię miała moja matka. Skłamałem naturalnie. To przecież nie ich sprawa, że mama należy do mrocznej arystokracji Dworców Chaosu. Lecz dzwoniący odezwał się w moim języku, w thari. Zaciekawiał mnie dostatecznie, bym zaproponował spotkanie i wymianę informacji. Umówiliśmy się na wieczór w barze miejscowego klubu.

Wcześniej jednak wezwał mnie do domu mój wuj Random, król Amberu. Byliśmy akurat z Billem na spacerze. George Hansen, jak się okazało, śledził nas i chciał się z nami zabrać, gdy przeskakiwaliśmy cienie rzeczywistości. Nic z tego: nie był zaproszony. Wziąłem ze sobą Billa, ponieważ wolałem nie zostawiać go w tak dziwnym towarzystwie.

Dowiedziałem się od Randoma, że wujek Caine zginął od kuli zamachowca i że ktoś chciał także zabić wuja Bleysa, ale ranił go tylko. Pogrzeb Caine'a zaplanowano na następny dzień.

Zjawiłem się na spotkaniu w klubie, lecz nigdzie nie dostrzegłem mojego tajemniczego rozmówcy. Nie do końca jednak był o czas stracony, jako że nawiązałem znajomość z piękną damą nazwiskiem Meg Devlin. Jedna rzecz prowadzi do drugiej i w efekcie odprowadziłem ją do domu, gdzie poznaliśmy się o wiele bliżej. W chwili gdy naprawdę nie podejrzewałem, by mogła myśleć o czymś takim, spytała mnie o imię matki. A ja, co tam, powiedziałem. Dopiero później przyszło mi do głowy, że właśnie ona mogła być osobą, z którą byłem umówiony w barze.

Nasz związek skończył się przedwcześnie z powodu dzwonka domofonu. Jakiś mężczyzna – rzekomo mąż Meg – chciał wejść do mieszkania. Zachowałem się jak przystało na dżentelmena: wyniosłem się jak najszybciej.

Moja ciotka Fiona, która jest czarodziejką (choć w stylu innym niż mój) nie pochwałała tej randki. I najwyraźniej jeszcze mniej pochwałała moją znajomość z Lukiem. Kiedy bowiem opowiedziałem o nim, spytała, czy mam przypadkiem jego zdjęcie. Pokazałem jej znaną w portfelu fotografię grupy przyjaciół, wśród nich Luke'a. Mógłbym przysiąc, że go rozpoznała, choć nie chciała tego przyznać. Lecz jej nagłe zniknięcie nocą z Amberu, a wraz z nią jej brata Bleysa, wydawało się czymś więcej niż zwykłym przypadkiem.

Potem wydarzenia nabrały jeszcze większego tempa. Następnego dnia po pogrzebie Caine'a dokonano nieudanej próby likwidacji większej części rodziny za pomocą bomby. Zamachowiec uciekł. Później Random zdenerwował się moją niewielką demonstracją mocy Ghostwheela, mojego prywatnego projektu, mojego hobby, mojego zajęcia przez te lata w Grand Design. Ghostwheel to... właściwie najpierw był komputerem, który do działania wymagał innego zestawu praw fizyki niż te, jakich uczono mnie w szkole. Chodziło o coś, co można nazwać magią. Jednak znalazłem miejsce, gdzie mógł funkcjonować, i tam go skonstruowałem. Zostawiłem go w fazie samoprogramowania. Chyba zyskał świadomość, co mocno przstraszyło Randoma. Nakazał mi wrócić tam i wyłączyć Ghostwheela. Nie podobał mi się ten pomysł, ale ruszyłem w drogę.

Ktoś podążał za mną przez Cień. Nękał mnie, groził, a nawet atakował. Z pożaru ocalała mnie niezwykła dama, która potem umarła w jeziorze. Tajemniczy osobnik, który osłonił mnie przed krwiożerczymi bestiami, a potem pomógł w czasie dziwnego trzęsienia ziemi, okazał się Lukiem. Towarzyszył mi do ostatniej bariery i do konfrontacji z Ghostwheelem. Mój twór trochę się rozgniewał i pozbył się nas za pomocą sztormu Cienia – zjawiska, którego spotkanie nie jest rzeczą przyjemną, z parasolem czy bez. By uciec przed zaburzeniem, skorzystałem z Atutów Zguby, jak nazwałem te niezwykle kartoniki znalezione w mieszkaniu Julii.

Znaleźliśmy się na zewnątrz groty z błękitnego kryształu. Luke wniósł mnie do środka. Dobry stary Luke... Kiedy zadbał już o moje potrzeby, uwięził mnie w tej jaskini. Wyjaśnił, kim jest, a wtedy zrozumiałem, że to jego podobieństwo do ojca tak zaniepokoiło Fionę, gdy pokazałem jej zdjęcie. Luke bowiem był synem Branda, mordercy i arcyzdrajcy, który jakiś czas temu niemal doprowadził do zniszczenia królestwa, a przy okazji pozostałej części wszechświata. Na szczęście Caine zabił go, zanim Brand zrealizował te plany. To właśnie Luke, jak się dowiedziałem, zabił Caine'a, by pomścić śmierć ojca. (Wyszło też na jaw, że wiadomość o tej śmierci dotarła do niego trzydziestego kwietnia, i że w dość szczególny sposób obchodził kolejne rocznice). Podobnie jak na Randomie, na nim również mój Ghostwheel wywarł spore wrażenie. Wyjaśnił, że będę jego więźniem, gdyż moja pomoc w przejęciu kontroli nad maszyną może okazać się niezbędna. Uznał, że będzie doskonałym środkiem dla usunięcia reszty rodziny.

Odszedł, by zająć się Ghostwheelem. Szybko odkryłem, że jakieś niezwykle własności groty anulują moc moich zaklęć. W rezultacie nie mam z kim rozmawiać, Frakir, prócz ciebie, a ty nie masz kogo dusić...

Może posłuchasz paru linijek „Over the Rainbow”?

Rozdział 1

Klinga pękła, więc odrzuciłem rękojeść. Broń nie pomagała wobec błękitnego morza ściany, nawet w miejscu, które uznałem za najcieńsze. U moich stóp leżało kilka drobnych, kamiennych odprysków. Podniosłem je i potarłem. To nie było wyjście. Jedyne wyjście jest chyba droga, którą tu wszedłem, a ta została zamknięta.

Wróciłem do swojej kwatery, to znaczy tej części jaskiń, gdzie rzuciłem swój gruby, brązowy śpiwór. Usiadłem na nim, odkorkowałem butelkę wina i napiłem się. Byłem spocony po kuciu tej ściany.

Frakir poruszyła mi się na przedramieniu, częściowo rozwinęła i wpełzła na dłoń. Skręciła się wokół dwóch niebieskich kamyków, które wciąż trzymałem, związała je sobą i opadła, kołysząc się jak wahadło. Odstawiłem butelkę i patrzyłem. Płaszczyzna ruchu była równoległa do tunelu, który teraz nazywałem domem. Frakir huśtała się chyba przez całą minutę. Potem podciągnęła kamienie i znieruchomiła na mojej dłoni. Ułożyła je u podstawy serdecznego palca i wróciła na swą zwykłą, ukrytą pozycję.

Przyglądałem się. Uniosłem migotliwą lampę naftową i obserwowałem kamienie. Ich kolor...

Tak.

Na tle skóry były całkiem podobne do kamienia w pierścieniu Luke'a, który kiedyś odebrałem z New Line Motel. Przypadek? A może istnieje jakiś związek? Co chciał mi powiedzieć mój dusicielski powróż? I gdzie jeszcze widziałem taki kamień?

Przy wisiorku na klucze Luke'a. Miał tam niebieski kamień w metalowej oprawie... A gdzie mogłem spotkać jeszcze jeden?

Groty, w których byłem uwięziony, blokowały działanie Atutów i moją magię Logrusu. Jeśli Luke nosił przy sobie kamienie z tych ścian, to musiał mieć jakiś szczególny powód. Jakie jeszcze właściwości mogą mieć?

Przez godzinę próbowałem rozszyfrować ich naturę, lecz były odporne na moje logrusowe sondy. Wreszcie, zniechęcony, wrzuciłem je do kieszeni, zjadłem trochę chleba z serem i popiłem winem. Potem wstałem i zrobiłem obchód. Sprawdzałem swoje pułapki.

Tkwiałem tu uwięziony już chyba przez miesiąc. Szukając drogi na wolność, zbadałem wszystkie tunele, korytarze i sale. Nigdzie nie znalazłem wyjścia. Czasami biegałem jak wariat i rozkrwawiałem sobie kostki o zimne ściany. Kiedy indziej szedłem powoli, rozglądając się za pęknięciami i szczelinami. Kilka razy próbowałem poruszyć głaz, blokujący otwór wejściowy. Bezskutecznie.

Był zaklinowany i nie umiałem go podważyć. Wszystko wskazywało na to, że posiedzę tu dłużej.

Moje pułapki...

Nie zmieniły się od ostatniej kontroli. Spadające głazy, które natura z właściwą sobie niedbałością porozrzuciła wokół. Teraz czekały podparte i gotowe, by stoczyć się w dół, gdy tylko ktoś zaczepi o ukryty w mroku sznur, jakim były obwiązane paki w magazynie.

Ktoś?

Luke, oczywiście. Któż by inny? To on mnie tu uwięził. A jeśli wróci... nie jeśli. Kiedy wróci, pułapki będą czekały. Przyjdzie uzbrojony. W wysoko położonym otworze wejścia miałby sporą przewagę, gdybym zwyczajnie czekał na niego w dole. Nic z tego. Nie będzie mnie tam.

Zmuszę go, by po mnie przyszedł... a wtedy...

Lekko zaniepokojony, wróciłem do swojej kwatery. Leżałem z rękami pod głową i rozmyślałem nad swoim planem. Głazy mogą zabić, a ja nie chciałem zabijać Luke'a. Nie z powodu sentymentu, choć do niedawna uważałem go za przyjaciela – to znaczy do chwili, kiedy się dowiedziałem, że zabił wujka Caine'a i najwyraźniej zamierzał wykończyć moich pozostałych krewnych w Amberze. A to dlatego, że Caine zabił ojca Luke'a, wuja Branda – człowieka, którego pozostali też chętnie by zatłukli. Owszem, Luke – albo Rinaldo, jak mi się przedstawił – był moim kuzynem i miał powody, by ogłosić rodzinną wendetę. Mimo to polowanie na wszystkich wydało mi się odrobinę przesadzone.

Ale nie dla pokrewieństwa czy sentymentu powinienem zdemontować pułapki. Chciałem go dostać żywego, ponieważ zbyt wiele było spraw, których nie rozumiałem. A mogłem nigdy już ich nie zrozumieć, gdyby Luke zginął niczego nie tłumacząc.

Jasra... Atuty Zguby... metoda. dzięki której tak łatwo wytropił mnie w Cieniu... cała historia jego kontaktów z tym szalonym okultystą Melmanem... wszystko, co wiedział o Julii i jej śmierci...

Zacząłem od początku. Zlikwidowałem pułapki. Nowy plan był prosty i opierał się na czymś, o czym Luke nie miał chyba pojęcia. Przeniosłem śpiwór na nowe miejsce, do tunelu tuż obok komory, w której stropie zablokowany był otwór wejścia. Zabrałem też część zapasów. Postanowiłem siedzieć tam możliwie bez przerwy.

Nowa pułapka była całkiem prymitywna: prosta i praktycznie nie do ominięcia. Kiedy ją założyłem, pozostało mi już tylko czekać. Czekać i wspominać. I planować. Musiałem ostrzec pozostałych. Musiałem postanowić coś w sprawie Ghostwheela. Powinienem sprawdzić, co wie Meg Devlin. Powinienem... jeszcze wiele rzeczy.

Czekałem. Myślałem o sztormach Clenia, snach, niezwykłych Atutach i Pani z Jeziora. Po długim okresie spokoju, w ciągu kilku dni moje życie nagle stało się pełne wydarzeń. A potem znowu miesiąc, kiedy nic się nie działo. Na pocieszenie miałem tylko tyle, że ta linia czasu prawdopodobnie wyprzedzała wszystkie inne, jakie były dla mnie ważne. Miesiąc tutaj może być tylko dobą w Amberze. Albo jeszcze mniej. Jeśli w miarę szybko zdołam się stąd uwolnić, ślady, jakimi chciałem podążać, nie zdążą jeszcze wystygnąć.

Później zgasilem lampę i poszedłem spać. Przez kryształowe soczewki mojego więzienia przenikało dość światła, jaśniejszego i ciemniejszego na przemian, by odróżnić dzień od nocy. Dopasowałem swój skromny rozkład dnia do tego rytmu.

Przez kolejne trzy dni po raz drugi przeczytałem dziennik Melmana. Wskaźnik aluzji miał dość wysoki, ale użytecznych informacji raczy niski. Pod koniec prawie zdołałem siebie przekonać, że Zakapturzony, jak określał swego gościa i nauczyciela, to prawdopodobnie Luke. Pozostało tylko kilka dziwnych odwołań do obojactwa. Pod koniec natrafiłem na uwagi o złożeniu w ofierze Syna Chaosu. Odnosiły się zapewne do mnie, skoro ktoś wystawił Melmana, żeby mnie zabił. Lecz jeśli zrobił to Luke – jak wytłumaczyć jego dwuznaczne zachowanie w górach Nowego Meksyku? Kazał mi zniszczyć Atuty Zguby i przepędził mnie tak, jakby chciał mnie przed czymś uchronić. Poza tym przyznał się do wcześniejszych zamachów na moje życie, ale wyparł się tych późniejszych. Po co miałby to robić, gdyby też był za nie odpowiedzialny? Co jeszcze wiąże się z tą sprawą? I kto? I jak? W łamigłówce brakowało niektórych klocków, miałem jednak wrażenie, że nie są istotne.

Wystarczy najdrobniejsza informacja, najłżejsze poruszenie wzorca, a wszystko wskoczy na miejsce. Pojawi się obraz czegoś, co powinienem odgadnąć już dawno.

Mogłem się domyślić, że wizyta nastąpi nocą. Mogłem, ale się nie domyśliłem. Gdybym na to wpadł, zmieniłbym cykl snu czuwania i byłbym rozbudzony i czujny. Choć byłem prawie pewien swojej pułapki, w naprawdę poważnych sprawach liczy się każda drobna przewaga.

Spałem głęboko, a zgrzyt kamieni wydawał się bardzo odległy. Poruszyłem się lekko, gdy dźwięk trwał ciągle, ale dopiero po kilku sekundach zaskoczyły właściwe obwody i zrozumiałem, co to znaczy. Usiadłem, wciąż jeszcze zaspany, potem przykucnąłem pod najbliższą wejścia ścianą komory. Rozcierałem oczy, przyglądałem włosy i na odpływającym brzegu snu szukałem zagubionej czujności.

Pierwsze odgłosy towarzyszyły zapewne usuwaniu klinów, co najwyraźniej wymagało przechylenia czy podważania głazu. Dźwięki trwały nadal, stłumione, pozbawione echa... zewnątrz.

Zaryzykowałem rzut oka do komory. Nie zauważyłem otwartego przejścia, ukazującego gwiazdy. Odgłosy kołysania ustąpiły przeciągłemu chrzęstowi i zgrzytaniu. Przez półprzejrzysty strop jaskini widziałem kulę światła w rozmytej aureoli. Pewnie latarnia. Jak na pochodnię świeciła zbyt równo. W tych okolicznościach pochodnia byłaby niepraktyczna.

Pojawił się sierp nieba z dwoma gwiazdami w pobliżu dolnego rogu. Poszerzał się. Usłyszałem głośnie sapanie i stękanie chyba dwóch ludzi.

Poczułem mrowienie palców, gdy dodatkowa porcja adrenaliny wykonała swoją biologiczną sztuczkę z organizmem. Nie sądziłem, że Luks kogoś przyprowadzi.

Mój głupoodporny plan mógł nie być odporny na taki fakt – co oznaczało, że to ja jestem głupi.

Głaz odsuwał się coraz szybciej. Nie miałem nawet czasu na przekleństwo. Myśli pędziły szaleńczo, szukając wyjścia z sytuacji, aż wreszcie zajęły właściwe pozycje.

Przywołałem obraz Logrusu, a on uformował się przede mną. Powstałem, nadal opierając się o ścianę, i zacząłem poruszać ramionami w zgodzie z pozornie chaotycznymi ruchami dwóch widmowych gałęzi. Dźwięki na górze ucichły, nim uzyskałem właściwe dostrojenie.

Wejście było odsłonięte. Po chwili ktoś podniósł światło i przysunął je do otworu.

Wkroczyłem do komory i wyciągnąłem ręce. Kiedy pojawili się dwaj mężczyźni, niscy i ciemni, całkowicie zrezygnowałem z dawnego planu. Obaj trzymali w prawych dłoniach nagie sztylety. Żaden nie był Lukiem.

Sięgnąłem logrusowymi rękawicami i złapałem ich za gardła. Ścisnąłem, aż zawiśli w moim uchwycie. Przycisnąłem jeszcze trochę i puściłem.

Upadli, znikając z pola widzenia, a ja zaczępiłem lśniące linie mocy o krawędź otworu i podciągnąłem się do góry. Tuż przed wyjściem przystanąłem jeszcze, by zabrać Frakir, owiniętą dookoła po wewnętrznej stronie. To była moja pułapka. Luke, czy ktokolwiek inny, wchodząc musiałby przejść przez pętlę – pętlę gotową do zaciśnięcia, gdyby cokolwiek się w niej Poruszyło.

Teraz jednak...

Ogniowa ścieżka biegła z boczem po prawej stronie.

Upuszczona latarnia strzaskała się, a rozlane Paliwo spływało płonąca strugą. Przyduszeni mężczyźni leżeli po obu stronach. Głaz zamykający wejście spoczywał po lewej, trochę za mną. Zostałem na miejscu, z głową i ramionami na zewnątrz, podparty na łokciach. Wizerunek Logrusu tańczył mi przed oczami; czułem mrowienie linii mocy, wciąż połączonych z moimi rękami. Frakir przesuwiała się z lewego ramienia na biceps.

Wszystko było niemal zbyt łatwe. Nie mogłem sobie wyobrazić, by Luke powierzył dwóm opryszkom przesłuchanie, zabicie czy przeniesienie mnie – na czymkolwiek miała polegać ich misja. Dlatego nie wychodziłem i ze stosunkowo bezpiecznej pozycji przeszukiwałem wzrokiem okryte zasłoną nocy otoczenie.

Dla odmiany okazałem rozsądek. Gdyż noc tę dzielił ze mną ktoś jeszcze. Było tak ciemno, nawet przy dogasającej ścieżce ognia, że mój normalny wzrok nie dostarczył mi tej informacji. Kiedy

jednak przyzywam Logrus, układ psychiczny pozwalający mi widzieć jego obraz umożliwia także dostrzeganie innych, niefizycznych zjawisk.

Dlatego odkryłem dziwną konstrukcję pod drzewem po lewej stronie, wśród cieni, gdzie nie zauważyłbym ludzkiej postaci, przed którą się wznosiła. Był to dość dziwaczny wzorzec, przypominający ten z Amberu; obracał się wolno jak szprychowe koło, wyciągając czułki przydymionego złotego światła. Płynęły w moją stronę. A ja patrzyłem zafascynowany i wiedziałem już, co zrobię, gdy nadejdzie właściwa chwila.

Cztery największe macki zbliżały się wolno, badawczo.

Kilka metrów ode mnie zwolniły, zwiotczały trochę i nagle zaatakowały jak kobry. Trzymałem ręce razem, lekko skrzyżowani, wyciągając logrusowe ramiona. Szerokim gestem rozdzieliłem je teraz, jednocześnie pochylając do przodu. Uderzyły w złote czułki, odepchnęły je i obrzuciły z powrotem na wzorzec. Poczułem dziwne mrowienie w przedramionach. Używając przedłużenia prawej ręki jak miecza, ciąłem we wzorzec niby w tarczę. Usłyszałem krótki, ostry krzyk, obraz zaszedł mgłą, szybko uderzyłem znowu, wyskoczyłem ze swojej dziury i popędziłem w dół zbocza. Bolała mnie prawa ręka.

Obraz – czymkolwiek był – zafalował i zniknął.

Tymczasem jednak wyraźniej widziałem opartą o pień drzewa, chyba kobiecą postać. Nie mogłem rozpoznać jej rysów, gdyż uniosła jakiś niewielki przedmiot i trzymała go teraz na poziomie oczu. Bałem się, że to może broń, więc uderzyłem logrusowym przedłużeniem w nadziei, że wytrącę jej to z ręki.

Potknąłem się, gdyż nastąpiło odbicie i ze sporą siłą szarpnęło moim ramieniem. Uderzony przedmiot musiał być potężnym obiektem magicznym. Miałem przynajmniej satysfakcję widząc, że dama także się zachwiała.

Krzyknęła, ale nie wypuściła przedmiotu.

Po chwili wokół jej sylwetki pojawiło się delikatne, wielobarwne lśnienie i wtedy zrozumiałem, co trzyma w ręku i skąd to szarpnięcie: właśnie skierowałem moc Logrusu przeciw Atutowi. Teraz musiałem ją złapać, choćby po to, żeby się dowiedzieć, kim jest.

Ale biegnąc ile sił, uświadomiłem sobie, że mogę nie zdążyć. Chyba że...

Zdjąłem Frakir z ramienia i rzuciłem ją wzdłuż linii mocy Logrusu, kierując we właściwą stronę i w locie wydając instrukcje.

Z bliższej odległości i dzięki lekkiej tęczowej poświacie, jaka teraz ją spowijała, mogłem wreszcie zobaczyć twarz obcej damy. To była Jasra; to jej ukąszenie w mieszkaniu Melmana niemal mnie zabiło. Za chwilę zniknie, a wraz z nią szansa uzyskania pewnych odpowiedzi, od których może zależeć moje życie.

– Jasra! – krzyknąłem, by ją zdekoncentrować.

Nie udało mi się. Za to Frakir tak. Mój powrót dusiciela zapłonął teraz srebrzyście i oplótł jej szyję, a wolny koniec owinał się wokół gałęzi zwisającej w pobliżu, na lewo od Jasry.

Zaczęła zanikać. Wyraźnie nie zdawała sobie sprawy, że jest już za późno. Nie mogła się wyatutować nie tracąc przy tym głowy. Przekonała się szybko. Usłyszałem chrapliwy jęk i Jasra powróciła, okrzepła, straciła poświatę. Rzuciła Atut i sięgnęła do sznura zaciśniętego na szyi.

Podszedłem i położyłem dłoń na Frakir, która odwinęła się z gałęzi i oplótła mi nadgarstek.

– Dobry wieczór, Jasro. – Szarpnąłem ją do tyłu. – Spróbuj tylko tego jadowitego kąsania, a będziesz potrzebowała gorsetu szyjnego. Rozumiesz?

Bezskutecznie próbowała coś powiedzieć. Kiwnęła głową.

– Poluzuję trochę powróż, żebyś mogła odpowiadać na moje pytania.

Frakir zwolniła uścisk na jej gardle, Jasra zaczęła kaszleć i obrzuciła mnie spojrzeniem, które mogłoby piasek zmienić w szkło. Jej magiczna konstrukcja rozwiązała się zupełnie, pozwoliłem więc, by Logrus zniknął także.

– Dlaczego mnie prześladujesz? – spytałem. – Kim dla ciebie jestem?

– Synem piekieł – warknęła i próbowała splunąć, ale chyba miała zbyt sucho w ustach.

Szarpnąłem lekko Frakir i zakaszłała znowu.

– Odpowiedź nieprawidłowa – stwierdziłem. – Próbuj dalej.

Ale wtedy uśmiechnęła się lekko, przenosząc wzrok gdzieś poza moje plecy. Napiąłem Frakir i zaryzykowałem spojrzenie przez ramię. Z tyłu, nieco z prawej, powietrze zaczynało migotać, co było oczywistym znakiem, że ktoś zamierza się tu przeatutować.

Nie byłem gotów, by zmierzyć się z drugim przeciwnikiem. Wsunąłem wolną rękę do kieszeni i wyjąłem kilka własnych Atutów. Na wierzchu leżała karta Flory.

Może być.

Sięgnąłem do niej myślą przez słaby blask, poza twarz na karcie. Odebrałem jej rozproszoną uwagę, i zaraz potem nagłą czujność.

W reszcie...

Tak?

– Przeciągnij mnie! Szybko! – powiedziałem.

Czy to poważna sprawa?

– Lepiej nie pytaj.

No... Dobrze. Przechodź.

Dostrzegłem wizję Flory w łóżku. Była coraz wyraźniejsza. Wyciągnęła rękę.

Chwyciłem ją. Zrobiłem krok do przodu i równocześnie usłyszałem głos Luke'a.

– Stój! – zawołał.

Szedłem dalej ciągnąc za sobą Jasrę. Próbowała się wyrwać i udało jej się mnie zatrzymać, gdy zahaczyłem nogą o brzeg łóżka. Dopiero wtedy zauważyłem ciemnowłosego brodatego mężczyznę, który z drugiej strony posłania wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Kto...? Co...? – zaczął, gdy uśmiechnąłem się przeprasząco i odzyskałem równowagę.

Za moim więźniem pojawił się zamglony obraz Luke'a.

Wyciągnął rękę i chwycił Jasrę za ramię, odciągając ją ode mnie. Zachrypiąca, gdy szarpnięcie mocniej zacisnęło Frakir na jej szyi.

Niech to diabli! Co teraz? Flora zerwała się nagle z wykrzywioną twarzą. Pachnąca lawendą kołdra opadła, a Flora z zadziwiającą prędkością wyprowadziła cios.

– Ty dziwko! – krzyknęła. – Pamiętasz mnie?

Pięć trafiła w szczękę Jasry, a ja ledwie zdążyłem uwolnić Frakir, by nie zostać przeciągnięty z powrotem, w stęsknione ramiona Luke'a.

Oboje zniknęli, potem zgasła poświata.

Ciemnowłosy facet wygramolił się tymczasem z łóżka i właśnie chwycił różne elementy odzieży. Kiedy znalazł już wszystkie, nie marnował czasu na ubieranie, lecz trzymając je oburącz wycofał się do drzwi.

– Ron! Co robisz? – zapytała Flora.

– Wychodzę – odpowiedział, otworzy drzwi i przestąpił próg.

– Hej! Zaczekaj!

– Nie ma mowy. – Odpowiedź dobiegła z sąsiedniego pokoju.

– Szlag! – spojrzała na mnie z niechęcią. – Dlaczego zawsze musisz pakować się w czyjeś Życie

osobiste? – I zawołała: – Ron! Co z kolacją?

– Muszę się zobaczyć z psychoanalitykiem – dobiegł jego głos, a zaraz po nim trzaśnięcie kolejnych drzwi.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę. Jak piękne uczucie właśnie zniszczyłeś – powiedziała Flora.

Westchnąłem.

– Kiedy go poznałaś?

– Ja... wczoraj. – Zmarszczyła brwi. – No dalej, uśmiechaj się drwiąco. Takie sprawy nie zawsze są funkcją czasu. Od razu wiedziałam, że to będzie coś wyjątkowego. I jak zwykle jakiś dureń, na przykład ty albo twój ojciec, musi wyszydzać wspaniały...

– Przykro mi – wtrąciłem. – Dziękuję, że mnie przeciagnęłaś. On wróci, oczywiście. Po prostu przestraszyliśmy go śmiertelnie. Ale jak mógłby nie wrócić, skoro już cię poznał?

– Tak, naprawdę jesteś podobny do Corwina. – Uśmiechnęła się. – Dureń, ale spostrzegawczy.

Podeszła do szafy i wyjęła lawendowy szlafrok.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytała zawiązując pasek.

– To długa historia...

– W takim razie lepiej wysłucham jej przy lunchu. Głodny jesteś?

Uśmiechnąłem się tylko.

– Zgadza się. Chodź.

Przeszliśmy przez salon urządony w stylu francuskiej prowincji do dużej wiejskiej kuchni pełnej kafelków i miedzi. zaproponowałem pomoc, ale ona tylko wskazała mi krzesło.

– Przynajmniej... – zacząłem, gdy wyjmowała z lodówki liczne pakunki.

– Tak?

– Gdzie jesteśmy?

– W San Francisco – wyjaśniła.

– Czemu prowadzisz tu dom?

– Kiedy załatwiłam wszystkie sprawy dla Randoma, postanowiłam jeszcze zostać. Miasto znów mi się spodobało.

Pstryknąłem palcami. Zupełnie zapomniałem, że miała ustalić dane właściciela tego budynku, gdzie Victor Melman miał pracownię i mieszkanie, a firma Brutus Storage trzymała zapas strzelającej w Amberze amunicji.

– Kto był właścicielem? – spytałem.

– Brutus Storage – odparła. – Melman wynajmował od nich.

– A kto jest właścicielem Brutus Storage?

– Spółka J. B. Rand.

– Adres?

– Biuro w Sausalito. Opuszczone kilka miesięcy temu.

– Czy ludzie, którzy je wynajmowali, znali domowy adres najemcy?

– Tylko skrytkę pocztową. Też porzucona.

Kiwnąłem głową.

– Przeczuwałem coś podobnego. A teraz opowiedz mi o Jaszce. Najwyraźniej znasz tę damę.

– Żadną damę. – Skrzywiła się. – Kiedy ją znałam, była królewską dziwką.

– Gdzie?

– W Kashfie.

– Co to jest?

– Takie nieduże królestwo, kawałek za granicą Złotego Kręgu państw, z którymi Amber prowadzi wymianę handlową. Cyrkowy, barbarzyński splendor i takie rzeczy. Kulturalna prowincja.

– Więc jak to się stało, że w ogóle je znasz?

Na moment przerwała mieszanie czegoś w misie.

– Och, dotrzymywałam towarzystwa kashfańskiemu szlachcicowi. Spotkałam go kiedyś w lesie. Polował z sokołem, a ja akurat skręciłam kostkę...

– Ehm – chrząknęłam, by nie odbiegła od tematu. – A Jasra?

– Była małżonką starego króla Menillana. Owinęła go wokół palca.

– Co masz przeciw niej?

– Kiedy wyjechałam z miasta, ukradła mi Jasricka.

– Jasricka?

– Mojego szlachcica. Jarla Kronklef.

– A co o tym sądził jego wysokość Menillari?

– Nie dowiedział się. Wtedy leżał już na łożu śmierci, a zmarł wkrótce potem. Właściwie to dlatego potrzebowała Jasricka. Był dowódcą gwardii pałacowej, a jego brat generałem. Gdy odszedł Menillan, z ich pomocą dokonała przewrotu. Kiedy ostatnio o niej słyszałam, była królową Kashfy i pozbyła się Jasricka. Dobrze mu tak. Chyba sam miał ochotę na tron, ona nie chciała się dzielić. Skazała go razem z bratem na śmierć za zdradę czy coś takiego. Był naprawdę bardzo przystojny... Choć niezbyt inteligentny.

– Czy mieszkańcy Kashfy mają jakieś... hm... jakieś niezwykle cechy fizyczne? – spytałam.

Uśmiechnęła się.

– No cóż, Jasrick to był kawał chłopca. Ale nie nazwałabym "niezwykłym" tego...

– Nie, nie – przerwałam. – Chodziło mi o jakąś anomalię w budowie ust... wysuwane kły, żądło albo coś podobnego.

– Hm... – Nie wiedziałam, czy jej rumieniec jest skutkiem tylko ciepła kuchenki. – Nic takiego. Mają dość typową anatomię. Czemu pytasz?

– Kiedy w Amberze opowiadałem ci o sobie, pominąłem ten fragment, kiedy Jasra mnie ukąsiła. Wstrzyknęła mi jakąś truciznę i ledwo zdołałem się wyatutować. Byłem sparaliżowany, otepiały i przez dłuższy czas bardzo słaby.

Pokręciła głową.

– Kashfanie niczego takiego nie potrafią. Ale przecież Jasra nie pochodzi z Kashfy.

– Nie? A skąd?

– Nie wiem. Ale była cudzoziemką. Niektórzy mówili, że handlarz niewolników przywiózł ją z jakiejś dalekiej wyspy. Inni, że przywędrowała sama i zwróciła uwagę Menillana. Plotka głosiła, że jest czarownicą. Nie wiem.

– Ja wiem. Plotka była prawdziwa.

– Rzeczywiście? Może w ten sposób zdobyła Jasricka.

Wzruszyłam ramionami.

– Ile czasu minęło od waszego... spotkania?

– Jakieś trzydzieści, czterdzieści lat.

– A ona nadal jest królową w Kashfie?

– Nie wiem. Dawno nie odwiedzałam tamtych okolic.

– Czy Amber ma złe stosunki z Kashfą?

– Nie ma właściwie żadnych stosunków. – Pokręciła głową. – Jak już mówiłam, to trochę nie po drodze. Nie są tak łatwo dostępni jak inne kraje, a nie mają niczego cennego, czym można by

handlować.

– Czyli nie ma właściwie powodów, żeby nas nienawidziła?

– Nie bardziej niż kogokolwiek innego.

W kuchni unosiły się smakowite zapachy. Siedziałem i wdychałem je, myśląc o gorącym prysznicu, który czeka na mnie po jedzeniu. I wtedy Flora powiedziała coś, czego właściwie się spodziewałem.

– Ten człowiek, który ściągnął Jasrę z powrotem... Wydawał się znajomy. Kto to był?

– To ten, o którym ci opowiadałem w Amberze. Luke. Ciekaw jestem, czy ci kogoś przypomina.

– Mam takie wrażenie – przyznała po namyśle. – Ale nie umiem powiedzieć kogo.

Ponieważ stała odwrócona do mnie plecami, ostrzegłem:

– Jeżeli trzymasz coś, co może się potłuc albo rozlać, lepiej to odłóż.

Usłyszałem, jak kładzie coś na blacie. Potem spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Mów.

– Naprawdę ma na imię Rinaldo i jest synem Branda. Przez ponad miesiąc byłem jego więźniem w innym cieniu. Właśnie uciekłem.

– Coś takiego – szepnęła. – Czego on chce?

– Zemsty.

– Na kimś konkretnym?

– Nie. Na nas wszystkich. Ale, oczywiście, Caine był pierwszy.

– Rozumiem.

– Tylko proszę cię, niczego nie przypal – uprzedziłem. – Od dłuższego czasu marzę o dobrym jedzeniu.

Pokiwała głową i odwróciła się.

– Znałeś go dość długo – odezwała się po chwili. – Jaki był?

– Miły gość. Takie sprawiał wrażenie. Jeśli jest szalony jak jego ojciec, dobrze się maskował.

Otworzyła butelkę wina, naląła do dwóch kieliszków i postawiła je na stole. Następnie podała jedzenie. Po kilku kęsach znieruchomiała z uniesionym widelcem, zapatrzona w przestrzeń.

– Kto by pomyślał, że ten sukinsyn będzie się reprodukował? – mruknęła.

– Chyba Fiona – odparłem. – W nocy przed pogrzebem Caine'a spytała, czy mam fotografię Luke'a. Pokazałem jej. Widziałem, że coś ją zaskoczyło, ale nie chciała powiedzieć, o co chodzi.

– A następnego dnia ona i Bleys zniknęli... Tak. Jeśli się zastanowić, to on rzeczywiście przypomina trochę Branda, kiedy był bardzo młody... Dawno temu. Luke jest większy i potężniejszy, ale istnieje podobieństwo.

Wróciła do jedzenia.

– Nawiasem mówiąc, to jest świetne – pochwaliłem.

– Dziękuję. – Westchnęła. – To znaczy, że na całą opowieść muszę zaczekać, aż skończysz.

Kiwnąłem tylko głową, gdyż usta miałem pełne. Niech chwije się imperium. Ja byłem głodny.

Rozdział 2

Wykapany, przystrzyżony, z obcięzonymi paznokciami i w nowym, świezo wyczarowanym ubraniu, sprawdziłem w informacji numer i zadzwoniłem do jedynych mieszkających w tej okolicy Devlinów. W słuchawce odezwał się kobiecy głos. Nie miał właściwego timbre'u, ale rozpoznałem go.

– Meg? Meg Devlin? – upewniłem się.

– Tak – usłyszałem odpowiedź. – Kto mówi?

– Merle Corey.

– Kto?

– Merle Corey. Jakiś czas temu spędziliśmy razem bardzo interesującą noc...

– Przykro mi – stwierdziła. – To chyba jakaś pomyłka.

– Jeśli nie możesz rozmawiać, zadzwonię kiedy indziej. Albo ty zadzwoń.

– Nie znam pana – oświadczyła i rozłączyła się.

Wpatrywałem się w słuchawkę. Owszem, musiała udawać, jeśli stał przy niej mąż. Ale mogła przynajmniej zasugerować, że mnie zna i że kiedy indziej będzie mogła rozmawiać.

Nie kontaktowałem się z Randomem, bo miałem przecucie, że natychmiast wezwie mnie do Amberu. A chciałem przedtem porozmawiać z Meg. Niestety, nie miałem czasu, by ją odwiedzić. Nie rozumiałem jej reakcji, ale na razie musiałem się z nią pogodzić. Spróbowałem więc jedynej rzeczy, jaka mi przyszła do głowy. Zadzwoniłem do informacji i spytałem o numer Hansenów, sąsiadów Billa.

Po trzecim sygnale ktoś podniósł słuchawkę; poznałem głos pani Hansen. Spotkałem ją kilka razy, choć nie widziałem podczas mojej ostatniej tam bytności.

– Dzień dobry, pani Hansen – zacząłem. – Mówi Merle Corey.

– Ach, Merle... Podobno byłeś niedawno w naszej okolicy.

– Tak, ale nie mogłem zostać długo. Poznałem jednak George'a. Dużo rozmawialiśmy. Właściwie to chciałbym zamienić z nim kilka słów, jeśli jest gdzieś niedaleko.

Cisza trwała o kilka uderzeń pulsu za długo.

– George... Wiesz, Merle, George jest teraz w szpitalu. Czy coś mu przekazać?

– Nie, to nic pilnego. A co mu się stało?

– To... to nic groźnego. Jest w domu, ale dzisiaj poszedł na kontrolę. Ma dostać jakieś lekarstwa.

W zeszłym miesiącu miał... coś w rodzaju załamania. Kilkudniową amnezję. Nie mają pojęcia, z jakiego powodu.

– Bardzo mi przykro.

– W każdym razie rentgen nie wykazał żadnych uszkodzeń. To znaczy, nie uderzył się w głowę ani nic. Teraz jest całkiem normalny. Mówią, że chyba nic mu nie będzie. Ale chcieli obserwować go jeszcze przez jakiś czas. To wszystko. – Nagle, jak w natchnieniu, zapytała: – Jakie wrażenie na tobie zrobił, kiedy rozmawialiście?

Przewidywałem to, więc odpowiedziałem bez wahania.

– Kiedy go widziałem, wydawał się zupełnie normalny. Ale nie znałem go wcześniej, więc trudno mi stwierdzić, czy zachowywał się inaczej niż zwykle.

– Rozumiem – westchnęła. – Czy ma do ciebie dzwonić, kiedy wróci?

– Nie. Muszę wyjechać i nie jestem pewien, na jak długo. Zresztą to nic ważnego. Za parę dni zatelefonuję znowu.

– Jak chcesz. Powiem mu tylko, że dzwoniłeś.

– Dziękuję. Do widzenia.

Mogłem się tego spodziewać. Po Meg. Pod koniec George zachowywał się całkiem dziwnie. Najbardziej mnie martwiło, że najwyraźniej wiedział, kim jestem naprawdę. I wiedział o Amberze. A nawet chciał mnie ścigać przez Atut. Wyglądało na to, że on i Meg stali się ofiarami jakiejś niezwyklej manipulacji.

Natychmiast przyszła mi do głowy Jasra. Ale ona była chyba sprzymierzeńcem Luke'a, a przed Lukiem ostrzegła mnie Meg. Czemu miałyby to robić, gdyby to Jasra nią kierowała? To bez sensu. Która jeszcze ze znanych mi osób byłaby zdolna do wywołania takich efektów?

Na przykład Fiona. Ale ona towarzyszyła mi, gdy wróciłem z Amberu do tego cienia, a nawet podwiozła mnie po wieczorze z Meg. I sprawiała wrażenie me mniej ode mnie zdziwionej rozwojem wydarzeń. Cholera. Życie pełne jest drzwi, które nie otwierają się, kiedy człowiek puka. I takich, które się otwierają, kiedy tego nie chce.

Wróciłem i zapukałem do drzwi sypialni. Flora zawołała, że mogę wejść. Siedziała przez lustrem i nakładała makijaż.

– Jak poszło? – zapytała.

– Nie za dobrze. Właściwie całkiem źle – podsumowałem wyniki rozmów.

– I co teraz zrobisz?

– Skontaktuję się z Randomem i opowiem mu o ostatnich wypadkach. Mam przeczucie, że każe mi wracać. Przyszedłem się pożegnać i podziękować za pomoc. Przepraszam, że zerwałem ci romans.

Wzruszyła ramionami. Siedziała tyłem do mnie i studiowała swoje odbicie w lustrze.

– Nie martw się...

Flora wciąż mówiła, ale nie słyszałem dalszego ciągu. Moją uwagę przyciągnęło coś, co przypominało kontakt przez Atut. Otworzyłem umysł i czekałem. Wrażenie nabierało mocy, ale tożsamość wzywającego wciąż pozostawała ukryta. Odwróciłem się od Flory.

– Merle, co się dzieje? – usłyszałem jej pytanie.

Podniosłem rękę. Odczucie było coraz bardziej intensywne. Miałem wrażenie, że patrzę w głąb długiego czarnego tunelu, a na drugim końcu nie ma nic.

– Nie wiem – odpowiedziałem, przywołując Logrus i przejmując kontrolę nad jedną z gałęzi. – Ghost? Czy to ty? Chcesz porozmawiać? – spytałem.

Nikt nie odpowiadał. Czulem chłód, gdy czekałem otwierając umysł. Nigdy jeszcze nie spotkałem czegoś takiego. Zdawało mi się, że wystarczy jeden krok do przodu, a zostanę gdzieś przeniesiony. Czy to wyzwanie? Pułapka? Wszystko jedno; tylko głupiec przyjąłby takie zaproszenie od nieznajomego. Przecież mogłem trafić z powrotem do kryształowej jaskini.

– Jeśli chcesz czegoś – rzuciłem – musisz się przedstawić i poprosić. Randki w ciemno już mnie nie bawią.

Przez tunel przesączało się wrażenie obecności, ale żadnych wskazówek co do tożsamości.

– Dobrze. Ja nie pójdę, a ty nie masz nic do przekazania. Jedyne, co mi jeszcze przychodzi do głowy, to że chcesz mnie odwiedzić. W takim razie proszę.

Wyciągnąłem obie, pozornie puste, ręce. Mój niewidzialny sznur dusiciela przesunął się do pozycji na lewej dłoni, w prawej czekał niewidoczny, śmiertcionośny grom Logrusu. Była to jedna z tych okazji, kiedy uprzejmość wymaga profesjonalizmu.

Cichy śmiech zdawał się odbijać echem w czarnym tunelu. Był projekcją czysto psychiczną, chłodną i bepcłciową.

Twoja propozycja jest, oczywiście, pułapką, usłyszałem. Nie jesteś przecież głupcem. Mimo to nie

można ci odmówić odwagi, skoro zwracasz się w ten sposób do nieznanego. Nie wiesz, co cię spotka, ale oczekujesz tego. Nawet zapraszasz.

– Propozycja jest nadal aktualna – oświadczyłem.

– Nigdy nie wydawałeś mi się niebezpieczny.

– Czego chcesz?

– Przyjrzeć ci się.

– Po co?

– Nadejdzie może czas, gdy spotkamy się w innych warunkach.

– Jakich warunkach?

– Przeczuję, że nasze cele mogą być sprzeczne.

– Kim jesteś?

Znowu śmiech.

– Nie. Nie teraz. Jeszcze nie. Chcę tylko popatrzeć na ciebie i zbadać twoje reakcje.

– I co? Napatrzyłeś się?

– Prawie.

– Jeśli nasze cele są sprzeczne, niech starcie nastąpi teraz – powiedziałem. – Wolę to mieć za sobą, żebym mógł się zająć ważniejszymi sprawami.

– Podoba mi się twoja bezczelność. Gdy jednak nadejdzie czas, nie do ciebie będzie należał wybór.

– Chętnie zaczekam – oświadczyłem, ostrożnie wsuwając w mroczny korytarz logrusowe ramię.

Nic. Moja sonda niczego nie znalazła...

– Podziwiam twój występ. Masz!

Coś runęło w moją stronę. Moja magiczna kończyzna poinformowała, że to coś miękkiego... zbyt miękkiego i luźnego, żeby wyrządzić mi poważną krzywdę... wielka, chłodna masa w jaskrawych kolorach...

Nie cofnąłem się. Sięgnąłem poprzez nią, w głąb, daleko, jeszcze dalej... Szukałem Źródła. Trafiłem na coś materialnego, namacalnego i ustępliwego... może ciało, może nie. Zbyt... zbyt duże, by przeciągnąć je jednym szarpnięciem.

Kilka małych obiektów, twardych, o dostatecznie małej masie, znalazło się w zasięgu moich gorączkowych poszukiwań. Chwyciłem jeden, wyrwałem z tego, do czego był przymocowany, i przyzwałem do siebie. Niemy impuls zaskoczenia dotarł do mnie w tej samej chwili co pędząca masa i powracające logrusowe ramię.

Rozprysnęły się wokół jak fajerwerki: kwiaty, kwiaty, kwiaty. Fiołki, zawilce, żonkile, róże... Flora jęknęła tylko, gdy całe ich setki wpadły do pokoju. Kontakt natychmiast uległ przerwaniu. Zdałem sobie sprawę, że trzymam w ręku coś małego i twardego, a upajające aromaty kwietnej wystawy atakują mi nozdrza.

– Co się stało? – zapytała Flora. – Do diabła.

– Nie jestem pewien – odparłem, strzepując z koszuli płatki. – Lubisz kwiaty? Możesz je sobie zatrzymać.

– Owszem, ale wolę lepiej dobrane bukiety. – Przyglądała się barwnej stercie u moich stóp. – Kto je przysłał?

– Bezimienna osoba na końcu ciemnego tunelu.

– Dlaczego?

– Może jako zaliczkę na wieniec pogrzebowy. Nie jestem pewien. Cała ta rozmowa sugerowała groźbę.

– Będę wdzięczna, jeśli przed wyjściem pomożesz mi je sprzątnąć.

– Jasne – zgodziłem się.

– W kuchni i w łazience są wazony. Chodźmy. Poszedłem za nią i wróciłem z kilkoma. Po drodze zbadałem przedmiot, jaki sprowadziłem z drugiego końca połączenia. Był to niebieski guzik w złotej oprawie, w której utkwilo jeszcze kilka granatowych nitki. Na oszlifowanym kamieniu wyryto jakiś symbol o czterech zakrzywionych ramionach. Pokazałem guzik Florze, ale pokręciła głową.

– Z niczym mi się nie kojarzy – stwierdziła.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem kilka odprysków kamienia z kryształowej groty. Pasowały. Frakin zadrżała lekko, kiedy przesunąłem guzik obok niej. Potem znieruchomiała, jakby miała już dość ostrzegania mnie przed niebieskimi kamieniami, gdy ja najwyraźniej nie miałem zamiaru nic w tej sprawie robić.

– Dziwne – mruknąłem.

– Postaw kilka róż na nocnej szafce – poprosiła Flora. – I parę mieszanych bukietów na toalecie. Wiesz, mnie nikt jeszcze nie przysłał kwiatów w taki sposób. Intrygująca metoda zawierania znajomości. Jesteś pewien, że były dla ciebie?

Burknąłem coś na temat anatomii czy teologii i zebrałem różane pączki.

Później, kiedy siedziałem w kuchni, piłem kawę i myślałem, Flora zauważyła:

– Wiesz, to trochę przerażające.

– Owszem.

– Może kiedy porozmawiasz już z Randomem, powinieneś opowiedzieć o wszystkim Fi.

– Może.

– A skoro już o tym mowa, czy nie powinieneś skontaktować się z Randomem?

– Może.

– Co to znaczy "może"? Trzeba go ostrzec.

– Zgadza się. Ale mam przeczucie, że bezpieczeństwo nie udzieli odpowiedzi na moje pytania.

– Co masz na myśli, Merle?

– Masz samochód?

– Tak, kupiłam parę dni temu. Czemu pytasz?

Wyjąłem z kieszeni guzik i kamienie, rozłożyłem je na stole i przyjrzałem się uważnie.

– Kiedy zbierałem kwiaty, przypominałem sobie, gdzie jeszcze mogłem widzieć coś takiego.

– Gdzie?

– Musiałem tłumaczyć to wspomnienie, bo nie jest zbyt przyjemne. Chodzi o wygląd Julii, kiedy ją znalazłem. Miała chyba wisior z takim kamieniem. Może to zwykły przypadek, ale...

– Niewykluczone. – Skinęła głową. – Ale jeśli nawet, to pewnie zabrała go już policja.

– Nie jest mi potrzebny. Ale przypomni mi, że nie zbadałem jej mieszkania tak dobrze, jakbym to zrobił, gdybym nie musiał wynosić się w pośpiechu. Chcę tam zajrzeć, zanim wrócę do Amberu. Wciąż nie rozumiem, jak ten... stwór... dostał się do środka.

– A jeśli wysprzątało to mieszkanie? Albo wynajęli komuś innemu?

Wzruszyłem ramionami.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– W porządku. Zawiozę cię.

Kilka minut później siedzieliśmy już w samochodzie, a ja tłumaczyłem, gdzie ma dojechać. Było to jakieś dwadzieścia minut jazdy pod zbłąkanymi chmurkami na słonecznym, popołudniowym niebie. Większość tego czasu poświęciłem na pewne wstępne działania z mocami Logrusu. Byłem gotów, gdy dotarliśmy do właściwej okolicy.

– Zakręć tutaj, a potem objeżdź dookoła. – Wskazałem kierunek. – Jak tylko będzie miejsce, powiem ci, gdzie zaparkować.

Było – niedaleko punktu, gdzie zostawiłem samochód tamtego dnia.

Zatrzymała się przy krawężniku i spojrzała na mnie.

– Co teraz? Chcesz tak zwyczajnie podejść do drzwi i zapukać?

– Uczynię nas niewidzialnymi – wyjaśniłem. – Dopóki nie wejdziemy do środka. Musisz trzymać się blisko mnie, żebyśmy widzieli się nawzajem.

Kiwnęła głową.

– Dworkin zrobił to kiedyś dla mnie – powiedziała. – Byłam jeszcze dzieckiem. Podglądałam wtedy różnych ludzi. – Zaśmiała się. – Zapomniałam.

Wykonałem ostatnie pociągnięcia skomplikowanego zaklęcia i rzuciłem je na nas. Świat za szybą zaszedł mgłą, jakbym oglądał go przez szare okulary. Wyśliznęliśmy się na chodnik, wolno przeszliśmy na róg i skręciliśmy w lewo.

– Czy to trudne zaklęcie? – spytała Flora. – Wydaje się bardzo użyteczne.

– Niestety tak – odparłem. – Największa jego wada, to że jeśli nie jest przygotowane, nie można go rzucić tak od razu. Ja go nie miałem. Zaczynając od zera, buduje się je przez jakieś dwadzieścia minut.

Skręciliśmy w alejkę prowadzącą do wielkiego, starego budynku.

– Które piętro? – zapytała.

– Ostatnie.

Weszliśmy po schodkach i stanęliśmy przed drzwiami. Były zamknięte na klucz. Na pewno ostatnio bardziej uważają na takie rzeczy.

– Wyłamiemy? – szepnęła Flora.

– Za dużo hałasu – odpowiedziałem.

Położyłem dłoń na klamce i wydałem Frakir bezgłośny rozkaz. Odwinęła mi z ręki dwa zwoje i stała się widoczna, sunąc po powierzchni zamka i wsuwając się do dziurki. Zacisnęła się, zeszywniała i poruszała przez chwilę. Cichy szcęk oznaczał, że rygiel ustąpił. Nacisnąłem klamkę i pchnąłem lekko. Drzwi stanęły otworem. Frakir powróciła do formy bransoletki i do niewidzialności.

Weszliśmy, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie było nas widać w zamglonym lustrze. Poprowadziłem Florę na schody. Jakieś głosy dobiegały z mieszkania na pierwszym piętrze. To wszystko. Żadnego powiewu. Żadnych podnieconych psów. A głosy ucichły, nim dotarliśmy na drugie piętro.

Zauważyłem, że wymieniono drzwi do mieszkania Julii. Były trochę ciemniejsze od pozostałych i miały błyszczący nowy zamek. Zapukałem lekko i czekaliśmy. Żadnej reakcji, ale po trzydziestu sekundach zastukałem jeszcze raz i znowu czekaliśmy. Nikt nie odpowiadał. Sprawdziłem: drzwi były zamknięte, lecz Frakir powtórzyła swój występ. Zawahałem się. Dłoń mi zadrżała na wspomnienie poprzedniej wizyty. Wiedziałem, że nie ma tam jej okaleczonego ciała i żadna mordercza bestia nie czai się, by mnie zaatakować. Jednak pamięć powstrzymała mnie na kilka sekund.

– Co się stało? – zdziwiła się Flora.

– Nic – mruknąłem i otworzyłem drzwi.

Mieszkanie było, o ile pamiętam, wynajęte z częściowym umeblowaniem. I te meble zostały – sofa i stoliczki, większy stół, kilka krzeseł. Zniknęły te, które należały do Julii. Na podłodze zauważyłem nowy dywan, a sama podłoga była niedawno wyszorowana. Chyba nikt tu nie mieszkał, gdyż nigdzie

nie dostrzegłem żadnych rzeczy osobistych.

Weszliśmy. Zamknąłem drzwi i zdjąłem czar, który ukrywał nas po drodze. Zacząłem obchód pokoi. Gdy spadły nasze magiczne zasłony, zrobiło się wyraźnie widniej.

– Nic tu chyba nie znajdziesz – stwierdziła Flora. – Pachnie pastą do podłogi, jakimś środkiem dezynfekcyjnym i farbą...

Przytaknąłem.

– Materialne możliwości można raczej wykluczyć. Ale chciałbym sprawdzić coś innego.

Uspokoilem umysł i przywołałem logrusowe widzenie. Gdyby pozostały jakieś ślady działań magicznych, powinienem wykryć je w ten sposób. Przeszedłem powoli wokół salonu i przyglądałem się wszystkiemu z każdego możliwego kąta. Flora zostawiła mnie i zajęła się własnym śledztwem, polegającym głównie na zaglądaniu pod wszystko co możliwe. Pokój migotał mi lekko przed oczami, gdy badałem te długości fal, na których poszukiwane zjawiska powinny ukazać się z największym prawdopodobieństwem. Tak najlepiej można opisać ten proces w tym konkretnym cieniu. Nic małego czy wielkiego nie ukryło się przed moim wzrokiem. Po długich minutach przeszedłem do sypialni. Flora musiała usłyszeć moje głośnie westchnienie, ponieważ w ciągu kilku sekund wbiegła do pokoju i stanęła obok mnie. Spojrzała na komodę, przed którą się zatrzymałem.

– Coś jest w środku? – zapytała. Wyciągnęła rękę i cofnęła ją natychmiast.

– Nie – odparłem. – Z tyłu.

Komodę przesunięto podczas odnawiania lokalu. Kiedyś stała o jakiś metr dalej na prawo. To, co zobaczyłem, było widoczne u góry i po lewej stronie, a mebel zasłaniał większą tego część. Złapałem komodę i pchnąłem ją na miejsce, które zajmowała dawniej.

– Dalej nic nie widzę – oznajmiła Flora.

Chwyciłem ją za rękę i objąłem mocą Logrusu, by zobaczyła to co ja.

– Coś podobnego... – Podniosła drugą rękę i przesunęła palcem wzdłuż niewyraźnego prostokąta na ścianie. – To wygląda... jak drzwi.

Przyjrzałem się przyćmionym liniom wyblakłych płomieni. Przejście było wyraźnie zapieczętowane i to już dość dawno. W końcu wygaśnie zupełnie i zniknie.

– To są drzwi – odpowiedziałem.

Wyciągnęła mnie do sąsiedniego pokoju i obejrzała ścianę z drugiej strony.

– Nic tu nic ma – zauważyła. – Nic nie przechodzi.

– Teraz pojmujesz. Te drzwi prowadzą gdzie indziej.

– Gdzie?

– Do miejsca, skąd przybyła ta bestia, która zabiła Julię.

– Umiesz je otworzyć?

– Jestem gotów stać przy nich, ile będzie trzeba – oświadczyłem. – I próbować.

Wróciłem do sypialni i przyjrzałem się dokładnie.

– Merlinie – zaczęła Flora, gdy puściłem jej rękę i wzniosłem przed sobą obie dłonie. – Nie sądzisz, że nadeszła właściwa chwila, byś skontaktował się z Randomem i opowiedział mu wszystko, co się dzieje? Kiedy uda ci się otworzyć te drzwi, może powinieneś mieć przy sobie Gerarda?

– Powinieneś – zgodziłem się. – Ale nie zrobię tego.

– Czemu?

– Bo on może mi zakazać.

– I może mieć rację.

Opuściłem rękę.

– Przyznaję, że mówisz rozsądnie. Muszę opowiedzieć o wszystkim Randomowi, a zbyt długo już

to odkładam. Dlatego zrobimy tak: wrócisz do samochodu i zaczekasz. Daj mi godzinę. Jeśli do tego czasu nie wyjdę, wezwiesz Randoma i powtórzysz mu to, co ci mówiłem. O tym tutaj również.

– Sama nie wiem – westchnęła. – Jeśli się nie pokażesz, Random będzie wściekły.

– Powiedz mu, że się uparłem i nic nie mogłaś poradzić. Zresztą tak właśnie jest, jeśli się nad tym zastanowisz.

Przygryzła wargi.

– Nie chcę cię zostawiać... Choć nie mam też ochoty zostać tu z tobą. Może wzięłbyś granat ręczny?

Zaczęła otwierać torebkę.

– Nic, dziękuję. A właściwie po co ci takie rzeczy?

– W tym cieniu zawsze noszę je przy sobie – odparła z uśmiechem. – Czasem bardzo się przydają. Ale zgoda. Poczekam.

Pocałowała mnie lekko w policzek i odwróciła się.

– Jeśli nie wrócę, spróbuj też złapać Fionę – dodałem jeszcze. – Może zna lepsze metody.

Skinęła głową i wyszła. Odczekałem, póki nie zamknęły się za nią drzwi, po czym skoncentrowałem uwagę na jasnym prostokącie. Kontur wydawał się dość jednolity, z kilkoma tylko szerszymi, jaśniejszymi odcinkami i kilkoma cieńszymi, przygaszonymi. Wolno przesunąłem wzdłuż linii wnętrzem prawej dłoni, mniej więcej dwa centymetry nad powierzchnią ściany. Czuję lekkie ukłucia i wrażenie gorąca. Tak jak oczekiwałem, były silniejsze nad jasnymi odcinkami. Uznałem to za wskazówkę, że w tych miejscach pieczęć jest nieco mniej doskonała niż gdzie indziej. Świetnie. Wkrótce się przekonam, czy można wyważyć te drzwi, a atak rozpocznę od tych właśnie punktów.

Głębiej wkręciłem dłonie w sieć Logrusu, aż jej gałęzie przylegały jak wąskie rękawice; w miejscach, gdzie sięgała ich moc, były twardsze niż stal i bardziej czułe niż język.

Przesunąłem prawą dłoń na wysokość biodra, a gdy dotknąłem jaśniejszego punktu, poczułem tętnienie dawnego zaklęcia. Zwężyłem przedłużenie ręki i pchałem; było coraz cieńsze, aż wreszcie wcisnęło się w szczelinę. Tętnienie stało się bardziej rytmiczne. Powtórzyłem zabieg po lewej stronie, nieco wyżej.

Stałem tam, wyczuwając energię pieczęci; włókna przedłużeń ramion wibrowały w jej sieci. Spróbowałem nimi poruszyć, najpierw w górę, potem w dół. Prawe przesunęło się trochę dalej niż lewe, w obie strony; potem zatrzymał je rosnący opór. Przywołałem więcej mocy z jądra Logrusu, który pływał jak widmo wewnątrz mnie i przede mną. Wlałem tę moc w rękawice, a wzorzec Logrusu zmienił się znowu. Kiedy znów spróbowałem, prawa gałąź zjechała w dół o trzydzieści centymetrów, nim uwięziło ją narastające tętnienie. Pchnąłem w górę i dotarłem niemal do szczytu. Sprawdziłem lewą krawędź drzwi, lecz zyskałem najwyżej piętnaście centymetrów poniżej punktu wyjściowego.

Odetchnąłem głęboko. Czuję, że zaczynam się pocić. Posłałem do rękawic więcej mocy i szarpnąłem przedłużenia w dół. Opór był tu większy, a tętnienie przepłynęło wzdłuż ramion do samego jądra mej istoty. Przerwałem, odpocząłem chwilę, po czym zwiększyłem moc do wyższego stopnia koncentracji. Logrus zawirował, a ja pchnąłem obie ręce do samej podłogi. Ukłakłem dysząc ciężko. Po chwili wziąłem się do pracy przy dolnej krawędzi. To przejście najwyraźniej nigdy nie miało być otwierane. Nie było tu miejsca dla sztuki, jedynie dla brutalnej siły.

Kiedy gałęzie Logrusu spotkały się pośrodku, odstąpiłem i spojrzałem na swoje dzieło. Wzdłuż prawej, lewej i dolnej krawędzi cienkie czerwone linie zmieniły się w szerokie płomienne wstęgi. Przez dzielącą nas odległość wyczuwałem ich pulsowanie. Wstałem i uniosłem ramiona. Zająłem się górą, zaczynając od rogów i przesuwając się w stronę centrum. Było to łatwiejsze niż poprzednio.

Energia z otwartych brzegów jakby zwiększała nacisk i moje dłonie przepłynęły swobodnie aż do środka. Kiedy się spotkały, miałem wrażenie, że słyszę ciche westchnienie. Opuściłem ręce i obejrzałem wyniki pracy. Cały kontur drzwi płonął.

Ale to nie wszystko. Zdawało się, że jasna linia płynie dookoła...

Przez kilka minut stałem nieruchomo. Uspokajałem się, zbierałem siły, odpoczywałem. Szykowałem się. Wiedziałem tylko, że drzwi prowadzą do innego cienia. To mogło oznaczać wszystko. Kiedy je otworzę, coś może wyskoczyć i zaatakować. Chociaż z drugiej strony, już dość długo były zamknięte. Jeśli jest tam pułapka, to prawdopodobnie całkiem innego rodzaju. Najprawdopodobniej otworzę je i nic się nie stanie. Wtedy będę miał do wyboru: albo rozejrzeć się tylko z zewnątrz, albo wejść. I chyba niewiele zobacz, stojąc w progu i zagładając do środka.

Raz jeszcze wysunąłem logrusowe ramiona, chwyciłem drzwi z obu stron i pchnąłem. Ustąpiły po prawej stronie, więc puściłem je z lewej, zwiększyłem nacisk na prawą... i nagle cały prostokąt odchylił się do wnętrza...

Spoglądałem w głąb perłowego tunelu, który po kilku krokach zdawał się rozszerzać. Dalej było tylko migotanie, jak fale ciepła nad szosą w gorący letni dzień. Pływały tam czerwone plamy i nieokreślone ciemne kształty. Czekałem może pół minuty, ale nic się nie zbliżyło.

Przygotowałem Frakir na kłopoty. Podtrzymałem kontakt z Logrusem. Ruszyłem, wyciągając do przodu sondujące ramiona. Przekroczyłem próg.

Nagła zmiana ciśnienia za plecami sprawiła, że obejrzałem się szybko. Drzwi zamknęły się i zmalowały. Teraz przypominały maleńką czerwoną kostkę. Naturalnie, kilka kroków mogło przenieść mnie na wielką odległość, gdyby tak właśnie działały tutaj prawa przestrzeni.

Szedłem dalej. Gorący wiatr wyleciał mi na spotkanie, okrążył mnie i już pozostał. Ściany korytarza oddaliły się, a widok przede mną migotał i tańczył. Z trudem stawiałem kroki, jakbym nagle zaczął wchodzić pod górę.

Usłyszałem głucho stęknienie spoza miejsca, gdzie wzrok tracił dobre maniery. Lewa sonda Logrusu trafiła na coś, co drgnęło lekko. Wyczułem aurę wrogości, a Frakir zaczęła pulsować na nadgarstku. Nie spodziewałem się, że będzie łatwo. Gdybym to ja układał scenariusz, nie poprzestałbym na zapieczętowaniu drzwi.

– Dość, ośle jeden! Zatrzymaj się natychmiast! – zagrzemiał z przodu jakiś głos.

Wspinałem się dalej.

– Powiedziałem: stój!

Wszystkie elementy zaczęły splotać się na swoje miejsca. Nad głową pojawił się strop, po obu stronach wyrosły nagle ściany, zwięzając się i zbiegając...

Wielka, okrągła postać blokowała przejście. Wyglądała jak fioletowy Budda z uszami nietoperza. Kiedy się zbliżyłem, dostrzegłem inne szczegóły: wystające kły, żółte oczy chyba pozbawione powiek, długie czerwone szpony u wielkich łap i stóp. Potwór siedział pośrodku tunelu i nie próbował nawet wstać. Był nagi, ale wielki wzdęty brzuch opadał mu na kolana i zakrywał narządy płciowe. Głos miał jednak ochryply i męski, a zapach zdecydowanie paskudny.

– Cześć – powiedziałem. – Ładny mieliśmy dzień.

Warknął, a temperatura podniosła się nieco. Frakir zaczęła szaleć, więc uspokoiłem ją w myślach.

Stwór pochylał się i jaskrawym pazurem wykreślił na skalnej podłodze dymiącą linię. Zatrzymałem się przed nią.

– Przekrocz tę linię, czarowniku, a koniec z tobą – oznajmił.

– Dlaczego? – spytałem.

– Bo ja tak mówię.

– Jeśli pobierasz myto, wymień cenę – zaproponowałem.

Pokręcił głową.

– Nie kupisz sobie przejścia.

– Hm... a czemu sądzisz, że jestem czarownikiem?

Otworzył jamę swojej paskudnej gęby, odsłaniając nawet więcej ukrytych zębów, niż się spodziewałem, i wydał dźwięk podobny do dudnienia arkusza blachy.

– Wyczułem tę twoją sondę – wyjaśnił. – To czarodziejska sztuczka. Zresztą, tylko czarownik mógł dotrzeć do miejsca, gdzie teraz stoisz.

– Nie żywisz chyba specjalnego szacunku do tej profesji.

– Zjadam czarowników – poinformował.

Skrzywiłem się, wspominając kilku starych pierdzieli, jakich poznałem w tym fachu.

– Każdemu i każdej, co jemu czy jej się należy – mruknąłem. – Ale do rzeczy. Tunel jest niepotrzebny, jeśli nie można przez niego przejść. Jak cię ominąć?

– Nie da się.

– Nawet jeśli rozwiążę zagadkę?

– To mi nie wystarczy. – Żółte oko błysnęło nagle. – Ale tak, dla sportu, co jest zielone i czerwone i pływa w koło i w koło, i w koło? – zapytał.

– Znasz sfinksa!

– Szlag by... słyszałeś to już.

– Sporo podróżuję. – Wzruszyłem ramionami.

– Ale nie tędy.

Przyjrzałem mu się dokładnie. Musiał mieć jakąś specjalną osłonę przed magią, skoro postawiono go, by zjadał czarowników. Co do obrony fizycznej, robił wrażenie. Zastanawiałem się, jaki jest szybki. Czy mógłbym przeskoczyć obok niego i uciec? Uznałem, że nie mam ochoty na eksperymenty.

– Naprawdę muszę przejść – powiedziałem. – To wyjątkowa sytuacja.

– Szkoda.

– Słuchaj, właściwie co ty z tego masz? To dość nudne zajęcie, siedzieć tak w środku tunelu...

– Kocham moją pracę. Do niej zostałem stworzony.

– A dlaczego pozwoliłeś sfinksowi przyjść i odejść?

– Istoty magiczne się nie liczą.

– Hm.

– Chcesz mnie przekonać, że sam jesteś istotą magiczną, a potem wykręcić mi jakąś czarodziejską iluzję. Takie sztuczki potrafisz przejrzeć na wylot.

– Wierzę ci. A przy okazji, jak masz na imię?

Parsknął.

– Na potrzeby konwersacji możesz mnie nazywać Scrofem. A ty?

– Mów mi Corey.

– Dobra, Corey. Mogę sobie tak siedzieć z tobą i pieprzyć głupoty, ponieważ mieści się to w regułach. Jest dozwolone. Masz trzy wyjścia, a jedno z nich naprawdę wyjątkowo głupie. Możesz odwrócić się i wracać, skąd przyszedłeś. Nic na tym nie stracisz. Możesz biwakować tam gdzie stoisz, tak długo, jak tylko chcesz. Nie kiwnę nawet palcem, dopóki będziesz się odpowiednio zachowywał. Postąpisz głupio, jeśli przekroczysz tę linię, którą narysowałem. Wtedy z tobą skończę. To bowiem jest Próg, a ja jestem jego Mieszkańcem. Nikomu nie pozwalam przejść.

– Jestem wdzięczny za jasne postawienie sprawy.

– To należy do obowiązków. I co wybierasz?

Uniosłem ręce, a linie sił na czubkach moich palców skrzyły się w noże. Frakir spłynęła mi z nadgarstka i zaczęła wyginać się w złożone wzory.

Scrof uśmiechnął się.

– Zjadam nie tylko czarowników. Zjadam też ich magię. Tylko istota wyrwana z pierwotnego Chaosu może zażądać przejścia. Więc chodź, jeśli sądzisz, że dasz sobie radę.

– Chaos, tak? Wyrwana z pierwotnego Chaosu?

– Tak. Mało kto może pokonać coś takiego.

– Może z wyjątkiem Lorda Chaosu – odparłem, przenosząc świadomość do rozmaitych punktów swego ciała. Nieprzyjemne zajęcie. Im szybciej się to robi, tym bardziej jest bolesne.

I znowu dudnienie arkusza blachy.

– Wiesz, jakie są szanse, że Lord Chaosu dojdzie aż tutaj, żeby grać do dwóch wygranych z Mieszkańcem? – zapytał Scrof.

Ramiona wydłużyły mi się i czułem, że koszula pęka na plecach, gdy się pochyliłem. Kości mojej twarzy zmieniły układ, a klatka piersiowa rosła i rosła...

– Wystarczy do jednej wygranej – odpowiedziałem, gdy transformacja dobiegła końca.

– Szlag – mruknął Scrof, kiedy przekroczyłem linię.

Rozdział 3

Przez chwilę odpoczywałem przy wejściu do groty. Bolało mnie lewe ramię, dokuczala też prawa noga. Gdybym opanował ten ból przed retransformacją, po przebudowie anatomii zniknąłby pewnie bez śladu. Jednak byłbym potem solidnie zmęczony. Sam proces pochłania sporo energii, a dwie szybkie przemiany mają obezwładniający efekt, zwłaszcza teraz, po bójkę z Mieszkańcem.

Dlatego czekałem w jaskini, do której doprowadził mnie w końcu perłowy tunel, i obserwowałem okolicę.

Daleko w dole, po lewej stronie, leżał jasnoniebieski i mocno wzburzony obszar wodny. Białe grzywacze fal ginęły w samobójczych atakach na szare skały wybrzeża. Wicher porywał kropelki wody, a wśród mgieł wisiała tęcza. Przede mną i poniżej rozciągały się prawie dwa kilometry nierównej, spękanej i dymiącej ziemi, od czasu do czasu wstrząsanej głębokim drżeniem. Dalej wyrastały wysokie mury zadziwiająco potężnej i złożonej budowli, którą natychmiast ochrzciłem Gormenghastem. Była to mieszanina stylów architektonicznych, gorsza nawet od pałacu w Amberze i ponura jak całe piekło. Była też oblegana.

Widziałem sporo żołnierzy pod murami, większość na odległym, nie spalonym obszarze zwyczajnej ziemi z odrobiną roślinności. Trawa była tam jednak zdeptana, a wiele drzew połamanych. Oblegający mieli drabiny i taran, lecz w tej chwili taran stał beczynnie, a drabiny leżały na ziemi. Coś, co wyglądało na położoną pod murami wioskę, płonęło w kłębach czarnego dymu. Zauważyłem nieruchome postacie, prawdopodobnie zabitych w walce.

Sięgając wzrokiem bardziej jeszcze w prawo, poza cytadelę, trafiłem na obszar oślepiającej bieli. Wyglądał na wysunięty skraj masywnego lodowca. Wiatr podrywał chmury śniegu i lodowych kryształków, podobne do morskich mgieł po lewej.

Wiatr był tu chyba stałym wędrowcem. Z wysoka słyszałem jego wycie. Kiedy wreszcie wyszedłem na zewnątrz i popatrzyłem w górę, przekonałem się, że jestem zaledwie w połowie zbocza kamiennego wzgórza – albo niskiej góry, zależy jak na to patrzeć – a wśród poszarpanych skał jeszcze głośniej rozlega się jękliwa nuta wichru. Usłyszałem też głuchy stuk za plecami, a kiedy się obejrzałem, nie znalazłem już otworu jaskini. Gdy wyszedłem i moja podróż od ognistych drzwi dobiegła końca, czar najwyraźniej zaskoczył i natychmiast zamknął drogę. Mógłbym pewnie odszukać na stromym stoku zarys wyjścia, jednak chwilowo mi na tym nie zależało.

Usypałem w tym miejscu niewielki stos kamieni, po czym rozejrzałem się znowu, badając szczegóły.

Wąska ścieżka skręcała po prawej stronie i znikła między wysokimi głazami. Ruszyłem w tamtym kierunku. Wyczułem dym. Trudno powiedzieć, czy pochodził z pola bitwy, czy z tych wulkanicznych terenów poniżej.

Niebo pokrywały łaty światła i chmur. Kiedy przystanąłem między dwoma głazami i spojrzałem za siebie, atakujący poderwali się do szturm, niosąc do murów drabiny. Dostrzegłem też jakby tornado, które powstało po przeciwnej stronie cytadeli i rozpoczęło powolny marsz dookoła. Jeśli potrwa dłużej, w końcu dosięgnie oblegających. Chytra sztuczka. Na szczęście to ich problem, nie mój.

Wróciłem do skalnego zagłębienia, usiadłem na niskim występie i przystąpiłem do trudnego zadania zmiany kształtu. Oceniałem, że zajmie to około pół godziny. Przemiana z istoty nominalnie ludzkiej w coś niezwykłego i dziwnego – dla jednych może obrzydliwego, u innych budzącego strach – a później na powrót w człowieka, to koncepcja, którą wielu uznać może za odrażającą. Nie

powinni. Wszyscy to przecież robimy, codziennie i na wiele różnych sposobów. Prawda?

Kiedy zakończyłem transformację, położyłem się na wznak, oddychając głęboko i słuchając wiatru. Kamienie osłaniały mnie przed podmuchami, słyszałem więc tylko pieśń. Czułem wibracje ziemi i przyjmowałem je jak delikatny, kojący masaż. Ubranie miałem w strzępach, ale chwilowo byłem zbyt zmęczony, by przywołać nową odzież. Ból w ramieniu ustał, pozostało tylko niknące wolno lekkie klucie w nodze... Na chwilę zamknąłem oczy.

Przeszedłem jakoś i miałem przeczucie, że rozwiązanie zagadki mordercy Julii leży w tej obleżonej cytadeli w dole. Na razie nie przychodził mi do głowy żaden prosty sposób przeniknięcia do wnętrza, by przeprowadzić śledztwo. Ale były przecież inne metody. Postanowiłem zaczekać i wypocząć, póki się nie ściemni – o ile zmiany następują tutaj w normalnym cyklu dnia i nocy. Potem zejść na dół, porwę jednego z oblegających i wypytam go o wszystko. Tak. A jeśli się nie ściemni? Wtedy pomyślę o czymś innym. Na razie przyjemnie było tak leżeć...

Nie jestem pewien, jak długo trwała moja drzemka. Obudził mnie stuk kamieni z prawej strony. Oprzytomniałem natychmiast, chociaż nie otwierałem oczu. Obcy nie próbował się skradać, a charakter coraz bliższych dźwięków – głównie człapanie jakby stóp w luźnych sandałach – świadczył, że nadchodzi pojedynczy osobnik. Napiąłem i rozluźniłem mięśnie; kilka razy odetchnąłem głęboko.

Spomiędzy głązów wynurzył się zarośnięty mężczyzna. Miał jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ciemną zwierzęcą skórę na biodrach i był strasznie brudny. Miał też sandały. Przyglądał mi się przez chwilę, nim odstąpił w uśmiechu żółte szczątki zębów.

– Witaj. Jesteś ranny? – zapytał w zniekształconym thari, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem.

Przeciągnąłem się dla pewności i wstałem.

– Nie – odparłem. – Dlaczego pytasz?

Uśmiech nie zniknął.

– Pomyślałem, że miałeś już dość tej bitwy na dale i postanowiłeś zrezygnować.

– Rozumiem. Nie, to nie całkiem tak...

Skinął głową i podszedł bliżej.

– Mam na imię Dave. A ty?

– Merle. – Uścisnąłem brudną dłoń.

– Nie martw się, Merle – uspokoił mnie. – Nie wydam nikogo, kto wolał rzucić wojaczkę. Chyba że byłaby nagroda... ale w tej wojnie nie ma. Sam kiedyś tak zrobiłem i nigdy tego nie żałowałem. Moja przebiegała całkiem podobnie do tej, a ja miałem dość rozumu, żeby zwiewać. Żadna armia nie zdobyła jeszcze tej fortecy i, moim zdaniem, żadna nie zdobędzie.

– Co to za miejsce?

Pochylił głowę i zmrużył oczy. Potem wzruszył ramionami.

– Twierdza Czterech Światów – stwierdził. – Werbownik niczego ci nie powiedział?

Westchnąłem.

– Nie.

– Nie masz przypadkiem czegoś do palenia?

– Nie. – Cały tytoń do fajki zużyłem w kryształowej grocie.

Wyminąłem Dave'a i przeszedłem do miejsca, skąd między głązami mogłem popatrzeć w dół. Chciałem się przyjrzeć Twierdzy Czterech Światów. Była w końcu rozwiązaniem zagadki, a także tematem wielu tajemniczych wzmianek w dzienniku Melmana. Nowe ciała zaścielały grunt pod murami; wyglądały jak rozrzucone przez trąbę powietrzną, powracającą teraz do miejsca swych narodzin. Mimo to niewielka grupa atakujących wdarła się na mury, a w dole biegły do drabin

świeże siły. Jeden z żołnierzy niósł proporzec, którego nie potrafiłem rozpoznać, choć wyglądał jakby znajomo: czarno-zielony, z dwoma walczącymi heraldycznymi bestiami. Dwie drabiny stały wciąż przy murach, a na blankach trwały zacięte walki.

– Atakujący dostali się do środka – zauważyłem.

Dave podbiegł do mnie i spojrzał. Natychmiast przeszedłem na nawietrzną.

– Masz rację – przyznał. – To pierwszy raz. Jeśli zdołają otworzyć tę przeklętą bramę i wpuścić resztę, będą mieli szansę. Nie sądziłem, że tego dożyję.

– Jak dawno atakowała Twierdzę ta armia, z którą tu przybyłeś?

– Będzie osiem, dziewięć... może dziesięć lat temu – mruknął. – Ci chłopcy są naprawdę dobrzy...

– O co tu chodzi? – zapytałem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie zdziwiony.

– Naprawdę nie wiesz?

– Dopiero co się zjawiłem – wyjaśniłem.

– Głodny? Spragniony?

– Szczerze mówiąc, tak.

– No to chodź. – Chwycił mnie za ramię, pokierował między głązy i dalej wąską ścieżką.

– Gdzie idziemy? – zainteresowałem się.

– Mieszkam niedaleko. Zawsze karmię dezertersów przez pamięć starych czasów. Dla ciebie zrobię wyjątek.

– Dzięki.

Ścieżka rozwidlała się. Skręciliśmy w prawą odnogę, co wymagało wspinaczki. Wreszcie dotarliśmy do ciągu skalnych półek, z których ostatnia była wyjątkowo szeroka. Na końcu dostrzegłem kilka rozpadlin. W jednej z nich zniknął Dave. Poszedłem za nim. Wkrótce przystanął przed niskim otworem jaskini. Z wnętrza unosił się potworny smród zgnilizny; słyszałem brzęczenie much.

– Tu mieszkam – oświadczył Dave. – Zaprosiłbym cię, ale jest trochę... ee...

– Nie ma sprawy. Zaczekam.

Zanurkowałem do środka, a ja poczułem, że mój apetyt znikł w szybkim tempie, zwłaszcza apetyt na to, co mógłby tam przechowywać. Dave wrócił po chwili z wypchanym workiem na ramieniu.

– Mam tu kilka smakołyków – oznajmił.

Ruszyłem z powrotem do rozpadliny.

– Hej! – zawołał. – Gdzie idziesz?

– Na powietrze – wyjaśniłem, – Wracam na tę półkę. Tu jest trochę duszno.

– Aha. Dobrze. – Ruszył za mną.

Miał dwie pełne butelki wina, kilka manierek wody, świeży z wyglądu bochenek chleba, trochę mięsa w puszkach, para jabłek i całą gomółkę sera. Kiedy usiedliśmy na świeżym powietrzu, podał mi worek, żebym się częstował. Siedząc przezornie po nawietrznej, wziąłem na przekąskę trochę wody i jabłko.

– To miejsce ma burzliwą historię – stwierdził Dave, wyjmując zza pasa nożyk. Ukroił sobie sera.

– Nie jestem pewien, kto zbudował Twierdzę ani jak długo tu stoi...

Powstrzymałem go, widząc, że korek chce z butelki wydłubać nożem. Dyskretnie wysłałem Logrus na niewielkie poszukiwanie i niemal natychmiast wręczyłem Dave'owi korkociąg. Otworzył butelkę, podał mi i otworzył sobie drugą. Odpowiadało mi to ze względów higienicznych, choć nie miałem ochoty na tyle wina.

– Oto co nazywam właściwym przygotowaniem – stwierdził obracając w dłoni korkociąg. –

Przydało by mi się coś takiego.

– Weź sobie. Ale opowiedz coś więcej o Twierdzy. Kto tam mieszka? Jak trafiłeś tu z armią? Kto teraz atakuje mury?

Pokiwał głową i tyknął wina z butelki.

– Najdawniejszym szefem tego zamku, o jakim słyszałem, był mag imieniem Sharu Garrul. Królowa mojego kraju wyjechała nagle i przybyła tutaj. – Przerwał i przez długą chwilę wpatrywał się w przestrzeń, wreszcie parsknął. – Polityka! Nie wiem nawet, jaki wtedy podała pretekst swojej wizyty. Za tamtych lat w ogóle nie słyszałem o tej okolicy. W każdym razie została tu dość długo i ludzie zaczęli gadać. Może jest więźniem? Albo próbuje zawrzeć przymierze? Czy też ma romans? Jak rozumiem, od czasu do czasu przysyłała wiadomości, ale były to zwyczajne gładkie wskazówki, z których nic nie wynikało. Chyba że były to też tajne przekazy, o których prości ludzie, tacy jak ja, nie mieli pojęcia. Towarzyszył jej całkiem spory orszak i gwardia honorowa, nie tylko na pokaz. Ci faceci byli twardymi weteranami, chociaż nosili śliczne mundurki. Tak że trudno było zauważyć, co się właściwie dzieje.

– Jedno pytanie, jeśli można – wtrąciłem. – Jaką rolę miał w tym wszystkim wasz król? Nie wspominałeś o nim, a powinien przecież wiedzieć...

– Nie żył – odparł krótko. – Była piękną wdową i wszyscy na nią naciskali, żeby znowu wyszła za mąż. Ale ona brała tylko kolejnych kochanków i rozgrywała rozmaite frakcje jedną przeciwko drugiej. Jej faceci byli zwykle dowódcami wojskowymi albo wpływowymi arystokratami. Albo i tym, i tym. Kiedy wyjechała, zostawiła rządy synowi.

– Rozumiem. Czyli książę był już wystarczająco dorosły, by sprawować władzę?

– Tak. Właściwie to on zaczął tę przekłętą wojnę. Zebrał żołnierzy, ale nie był zadowolony z wyszkolenia. Sprowadził więc przyjaciela z lat młodości, człowieka powszechnie uznawanego za przestępcę, który jednak dowodził dużą grupą najemników. Nazywał się Dalt...

– Czeka! – rzuciłem.

Myśli zawirowały mi szaleńczo, gdy przypomniałem sobie, co kiedyś opowiadał Gerard. Był jakiś dziwny człowiek imieniem Dalt, który na czele prywatnej armii zaatakował Amber. Zaatakował niezwykle skutecznie i trzeba było wzywać samego Benedykta, by go odparł. U stóp Kolviru siły Dalta zostały rozbite, a on sam ciężko ranny. Wprawdzie nikt nie widział ciała, to jednak uznano, że powinien być zginąć od tych ran. Ale to jeszcze nie koniec.

– Twój kraj – powiedziałem. – Nie mówiłeś, jak się nazywa. Skąd pochodzisz, Dave?

– Z Kashfy – odparł.

– I Jasra była waszą królową?

– Słyszałeś o nas. A ty skąd jesteś?

– Z San Francisco.

Pokręcił głową.

– Nie słyszałem.

– A kto słyszał? Słuchaj, masz dobry wzrok?

– O co ci chodzi?

– Kiedy przed chwilą obserwowaliśmy walkę, jeden z atakujących niósł flagę. Co na niej było?

– Moje oczy nie są już takie jak kiedyś.

– Była zielono-czarna z jakimiś zwierzętami.

Gwizdnął.

– Założę się, że to lew rozdzierający jednoroźca. Wygląda na Dalta.

– Co oznacza ten symbol?

– On nienawidzi tych tam Amberytów. To właśnie oznacza. Kiedyś nawet na nich napadł.

Spróbowałem wina. Całkiem niezłe.

Czyli to ten sam człowiek...

– Wiesz, czemu ich nienawidzi?

– Słyszałem, że zabili mu matkę – wyjaśnił. – Jakaś wojna graniczna. Takie sprawy zawsze są skomplikowane. Nie znam szczegółów.

Otworzyłem puszkę mięsa, odłamałem kawałek chleba i zrobiłem sobie kanapkę.

– Opowiadaj dalej – poprosiłem.

– Na czym stanąłem?

– Książę sprowadził Dalta, bo martwił się o matkę i potrzebował więcej żołnierzy.

– Zgadza się. Mniej więcej wtedy wzięli mnie do wojska. Do piechoty. Książę i Dalt prowadzili nas mrocznymi ścieżkami, aż dotarliśmy do tej Twierdzy na dole. Potem robiliśmy mniej więcej to, co teraz ci chłopcy.

– I co dalej?

Roześmiał się.

– Z początku nie szło nam najlepiej. Myślę, że ten, który trzyma fortecę, potrafi jakoś kierować żywiołami... jak tym wirem, który widziałeś przed chwilą. Mieliśmy trzęsienie ziemi, zawieję i błyskawice. Ale doszliśmy do murów. Zobaczyłem mojego brata, śmiertelnie poparzonego wrzącym olejem. Wtedy uznałem, że mam dość. Zacząłem uciekać i wspiąłem się aż tutaj. Nikt mnie nie gonił, więc czekałem i obserwowałem. Nie powinienem chyba, ale nie wiedziałem, jak się to wszystko ułoży. Nie myślałem, że cokolwiek się zmieni. Pomyliłem się. Potem było już za późno na powrót. Pewnie ucieliby mi głowę albo jakąś inną cenną część ciała.

– A co się stało?

– Mam wrażenie, że nasz szturm zmusił Jastrę do działania. Chyba od początku zamierzała się pozbyć Sharu Garrula i przejąć Twierdzę. Myślę, że przygotowywała się, zdobywała jego zaufanie. Pewnie trochę się bała tego starucha. Ale kiedy armia stanęła pod murami, musiała działać, choć nie była jeszcze gotowa. Jej gwardia pilnowała ludzi, a ona sama wyzwalała Garrula na czarnoksiężski pojedynek. Wygrała, choć podobno była ranna. I wściekła na syna jak diabli... że sprowadził wojsko, chociaż mu nie kazała. W każdym razie gwardia otworzyła bramy od środka, żołnierze wkroczyli i Jastrę zajęła Twierdzę. Dlatego mówiłem, że nikt jej jeszcze nie zdobył. To było załatwione od wewnątrz.

– Skąd wiesz o tym wszystkim?

– Jak mówiłem: kiedy przechodzą tędy dezercerzy, karmię ich i słucham wieści.

– Powiedziałeś chyba, że inni też próbowali zdobyć zamek. To musiało być później, kiedy ona już tam rządziła.

Przytaknął i napił się wina.

– Zgadza się. Kiedy ona i jej dzieciak wyjechali, w Kashfie nastąpił przewrót. Władzę przejął szlachcic imieniem Kasman, brat niejakiego Jastricka, jednego z jej nieżyjących kochanków. Ten Kasman chciał się pozbyć jej i księcia. Chyba z pół tuzina razy szturmował mury. Nigdy nie dostał się do środka. Musiał chyba w końcu zrezygnować. Jakiś czas potem odesłała syna. Może miał zebrać armię i odzyskać dla niej tron? Nie wiem. To było dawno temu.

– A co z Daltem?

– Spłacili go częścią łupów z Twierdzy. Widocznie było tam dość bogactw. Potem zabrał żołnierzy i odszedł do swojej kryjówki.

Łyknąłem wina i ukroiłem sobie kawałek sera.

– Jak to się stało, że zostałeś tu przez te wszystkie lata? Chyba niełatwo tu wyżyć?

Przytaknął.

– Prawda jest taka, że nie umiem trafić do domu. Dziwnymi szlakami nas tu prowadzili. Zdawało mi się, że wiem, którędy pójść... Ale kiedy szukałem, nie znalazłem drogi. Mogłem po prostu iść przed siebie, ale pewnie zgubiłbym się jeszcze bardziej. Poza tym, tutaj jakoś sobie radzę. Za parę tygodni postawią na nowo te chaty i chłopci wrócą, niezależnie od tego, kto zwycięży. A oni uważają mnie za świętego, który w górach modli się i medytuje. Kiedy schodzę tam do nich, proszą o błogosławieństwo. Dają mi prowiant i wino na długi czas.

– A jesteś świętym człowiekiem? – spytałem.

– Udaję tylko – odparł. – Oni się cieszą, a ja nie chodzę głodny. Tylko im tego nie powtarzaj.

– Jasne. Zresztą i tak by nie uwierzyli.

– Masz rację. – Roześmiał się znowu.

Wstałem i przeszedłem kilka kroków, by spojrzeć na Twierdzę. Na ziemi leżały drabiny, a wokół jeszcze więcej trupów. Nie dostrzegłem żadnych walk wewnątrz murów.

– Czy otworzyli już bramę? – zawołał Dave.

– Nie. Chyba za mało ich się przebiło.

– Widać gdzieś tę zielono-czarną chorągiew?

– Nie.

Podszedł bliżej, niosąc obie butelki. Podał mi jedną i napiliśmy się obaj. Żołnierze wycofywali się spod murów.

– Myślisz, że szykują następny szturm? – zapytał.

– Na razie trudno powiedzieć.

– Nieważne. I tak do wieczora będzie tam co plądrować. Zaczekaj trochę. Możesz zabrać tyle, ile uniesiesz.

– Ciekaw jestem... – mruknąłem. – Dlaczego Dalt znowu atakuje, jeśli jest w dobrych stosunkach z królową i jej synem?

– Chyba tylko z synem – sprostował Dave. – A on wyjechał. Stara to podobno prawdziwa suka. Zresztą, ten facet to przecież najemnik. Może Kasman go wynajął, żeby się pozbyć królowej.

– Przecież jej może tam nie być – rzuciłem. Nie miałem pojęcia, jak szybko płynął tu strumień czasu, myślałem jednak o niedawnym spotkaniu z tą damą. Wspomnienie wywołało serię skojarzeń. – Właściwie jak księżę ma na imię?

– Rinaldo. Potężny, rudowłosy...

– Jest jego matką! – zawołałem odruchowo.

– W ten sposób człowiek zostaje księciem. – Dave roześmiał się. – Kiedy ma królową za matkę.

Ale to oznaczało...

– Brand! – stwierdziłem. – Brand z Amberu.

Przytaknął.

– Znasz tę historię.

– Właściwie nie. Słyszałem tylko – odparłem. – Opowiedz.

– No więc złowiła sobie Amberytę, księcia imieniem Brand. Podobno spotkali się przy jakiejś czarnoksięskiej operacji i były to miłość od pierwszej krwi. Chciała go zatrzymać i ludzie mówią, że nawet potajemnie wzięli ślub. Ale jego nie interesował tron Kashfy, chociaż był pewnie, jedynym, którego chciałyby na nim oglądać. Wiele podróżował, zniknął na długi czas. Słyszałem nawet, że jest odpowiedzialny za Dni Ciemności wiele lat temu, i że zginął z rąk swoich krewnych w wielkiej bitwie między Chaosem i Amberem.

– Tak – mruknąłem, a Dave obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, na poły badawczym, na poły zdumionym. – Opowiedz jeszcze o Rinaldzie.

– Nie ma wiele do opowiadania. Urodziła go i podobno nauczyła trochę swojej Sztuki. Właściwie nie znał ojca, gdyż Brand stale gdzieś wyjeżdżał. Taki trochę dzikus. Uciekał parę razy i ukrywał się u banitów...

– Ludzi Dalta? – wtrąciłem.

Skinął głową.

– Mówią, że jeździł z nimi, chociaż za głowy niektórych jego matka wyznaczyła spore nagrody.

– Zaczekaj chwilę. To znaczy, że nienawidziła tych wyrzutków i najemników...

– "Nienawidziła" to nie jest odpowiednie słowo. Przedtem wcale jej nie obchodzili, ale kiedy syn się z nimi zaprzyjaźnił, wpadła we wściekłość.

– Uznała, że wywierają zły wpływ?

– Nie. Chyba nie podobało jej się, że ucieka do nich, a oni go przyjmują, kiedy tylko się z nią pokłóci.

– A jednak mówiłeś, że ze skarbów Twierdzy spłaciła Dalta i pozwoliła mu odjechać. I że zmusił ją do akcji przeciw Sharu Garrulowi.

– Fakt. Strasznie się wtedy pożarli, Rinaldo z matką. Właśnie o to. W końcu ustąpiła. Tak słyszałem od paru ludzi, którzy przy tym byli. Podobno jeden z niewielu przypadków, kiedy chłopak postawił się jej i wygrał. Zresztą, dlatego zdezerterowali. Kazała zgładzić wszystkich świadków tej kłótni. Tylko oni zdołali uciec.

– Twarda kobieta.

– Aha.

Wróciliśmy na nasze siedzenia i przegryźliśmy jeszcze co nieco. Pieśń wiatru zabrzmiała głośniejsze, a na morzu rozszalała się burza. Zapytałem Dave'a o te podobne do psów stworzenia. Wyjaśnił, że całe stada będą pewnie żerować nocą na ofiarach bitwy. Żyły w tej okolicy.

– Dzielimy się łupem – wyjaśnił. – Ja biorę racje żywnościowe, wino i wszystkie kosztowności. Im zależy tylko na ciałach.

– Na co ci kosztowności? – zdziwiłem się.

– Och, to właściwie nic cennego. Tyle że zawsze byłem oszczędny. Opowiadam o tym, jakby chodziło o jakiś skarb. – Zastanowił się. – Zresztą, nigdy nie wiadomo, co się może przydać – dodał.

– To prawda – przyznałem.

– Jak właściwie się tu dostałeś, Merle? – spytał szybko, jakby chciał, bym zapomniał o jego zdobyczy.

– Na piechotę.

– To dziwne. Nikt nie przychodzi tu z własnej woli.

– Nie wiedziałem, że dotrę w to miejsce. I chyba nie zostanę długo – dodałem widząc, że zaczyna się bawić swoim nożykiem. – W takiej chwili nie warto schodzić na dół i prosić o gościnę.

– Fakt – zgodził się.

Czy ten stary wariat naprawdę chciał mnie napaść, żeby chronić swój skarb? Żyjąc samotnie w cuchnącej jaskini i udając świętego mógł przecież stracić rozum.

– Chciałbyś wrócić do Kashfy? – spytałem. – Gdybym wskazał ci właściwą drogę?

Spojrzał na mnie przebiegłe.

– Nie znasz Kashfy – stwierdził. – Inaczej byś mnie tak nie wypytywał. A teraz twierdzisz, że możesz odesłać mnie do domu.

– Rozumiem, że nie jesteś zainteresowany.

Westchnął.

– Właściwie nie. Już nie. Za późno. To jest mój dom. Polubiłem pustelnicze życie.

Wzruszyłem ramionami.

– No cóż... dziękuję, że mnie nakarmiłeś. I za wiadomości.

Wstałem.

– Gdzie teraz pójdziesz?

– Rozejrzę się trochę po okolicy, a później wrócę do domu. – Cofnąłem się, widząc w jego oczach błysk szaleństwa.

Wzniósł nóż i zacisnął palce na rękojeści. Lecz zaraz opuścił go i odkroił kawał sera.

– Weź trochę sera, jeśli masz ochotę – powiedział.

– Nie, nie trzeba. Dziękuję.

– Chciałem zaoszczędzić ci wydatków. Szczęśliwej drogi.

– Dzięki. Powodzenia.

Aż do ścieżki słyszałem jego chichot, nim wreszcie zagłuszył go wiatr.

Następne kilka godzin poświęciłem na rozpoznanie. Pochodziłem trochę po górach. Zszedłem na rozedrgane, dymiące ziemie. Spacerowałem wzdłuż morskiego brzegu. Przeszedłem po normalnie wyglądającym terenie i przekroczyłem jezior lodowca. Przez cały czas trzymałem się jak najdalej od Twierdzy. Chciałem utrwalić to miejsce w pamięci, by potem odnaleźć tu drogę poprzez Ciebie, zamiast z trudem przebijać się przez Próg. Zauważyłem stada dzikich psów, ale interesowały je raczej ciała na polu bitwy niż coś, co się poruszało.

Na brzegach każdego z topograficznych obszarów stały kamienie graniczne ozdobione niezwyklejmi inskrypcjami. Zastanawiałem się, czy miały tylko pomagać kartografom, czy pełniły też inne funkcje. Wreszcie wyrwałem jeden z płonącej ziemi i przeniosłem jakieś pięć metrów w region lodu i śniegu. Niemal natychmiast powaliło mnie potężne drgnienie gruntu. Zdażyłem wstać i odbiec, nim otworzyła się szczelina i wystrzeliły gejzery. W niecałe pół godziny obszar gorąca zagarnął wąski pasek lodowego pola. Na szczęście byłem już dość daleko. Uniknąłem dalszych wstrząsów i z bezpiecznego miejsca obserwowałem wydarzenia. Miały swój dalszy ciąg.

Ukryłem się w skałach u podnóża gór, z których wyruszyłem. Dotarłem tu przekraczając skrawek terenów wulkanicznych. Tutaj usiadłem i patrzyłem. Niewielki obszar zmieniał swój wygląd, a wiatr roznosił po okolicy dym i parę. Podskakiwały i przetaczały się głazy; czarne sępy nadkładały drogi, by ominąć coś, co z pewnością było Źródłem ciekawych prądów termicznych.

A potem dostrzegłem poruszenie, które z początku wydało mi się sejsmicznej natury. Przeniesiony kamień graniczny podskoczył lekko i wychylił się na bok. Po chwili wniósł się jeszcze wyżej, zupełnie jakby lewitował tuż nad ziemią, i popłynął nad rozpalonym gruntem w linii prostej, z jednostajną prędkością. Dopóki – o ile mogłem to ocenić – nie osiągnął swej poprzedniej pozycji. Wtedy opadł. Natychmiast zaczęły się wstrząsy; tym razem lodowe pole przemieściło się jednym szarpnięciem i odzyskało stracony teren.

Przywołałem widzenie Logrusu i dostrzegłem wokół kamienia mroczną poświatę. Długi, prosty i równy promień światła, mniej więcej tej samej barwy, łączył ją z wysoką wieżą w tylnej części Twierdzy. Fascynujące. Wiele bym dał, by obejrzeć sobie wnętrze tej fortecy.

Wtedy, zrodzona z westchnienia i dojrzewająca do gwizdu, nad granicznym obszarem wzniosła się trąba powietrzna. Ruszyła ku mnie niby trąba jakiegoś chmurnego, wysokiego do nieba słonia. Odwróciłem się i wspiałem wyżej, wyszukując przejścia między skałami i wokół stromizn. Zjawisko ścigało mnie, jakby jego ruchem kierowała inteligencja. A sposób, w jaki utrzymywało stałą formę ponad nieregularnym terenem, sugerował sztuczne pochodzenie. W tej okolicy oznaczało to zapewne:

magiczne.

Trzeba czasu, by określić właściwą magiczną obronę, a jeszcze więcej, by ją uruchomić. Niestety, wyprzedzałem wir najwyżej o minutę, a margines prawdopodobnie się zwiężał.

Kiedy dostrzegłem za zakrętem długą, wąską szczelinę, zygzakowatą jak gałąź błyskawicy, zatrzymałem się tylko na moment, by ocenić jej głębokość. I pognałem w dół; wichur szarpał strzępami ubrania, powietrzny wir ścigał mnie z hukiem...

Droga biegła w głąb, a ja po niej, po nierównościach i skrętach. Huk narastał do ryku; zakaszlałem, gdy wchłonął mnie obłok kurzu i zaatakował grad kamiaków. Rzuciłem się na ziemię mniej więcej dwa i pół metra poniżej krawędzi szczeliny i zakryłem dłońmi głowę. Uznałem, że trąba przejdzie bezpośrednio nade mną.

Wymruczałem ochronne zaklęcia, mimo ich znikomego efektu na taką odległość i wobec takiej koncentracji energii.

Nie poderwałem się, gdy zapadła cisza. Być może widząc, że jestem poza jego zasięgiem, kierujący tornadem zrezygnował i rozproszył wirujący lej. A może to tylko oko cyklonu, a mnie czekał kolejny atak żywiołu. Nie poderwałem się wprawdzie, ale spojrzałem, gdyż nie lubię tracić pouczających okazji.

I zobaczyłem twarz, a raczej maskę. Przyglądała mi się z samego środka wiru. Była to projekcja, naturalnie, większa od rzeczywistej i nie do końca materialna. Głowę okrywał kaptur, a maska, kobaltowobiała i zasłaniająca całą twarz, przypominała osłony noszone przez hokejowych bramkarzy. Z dwóch pionowych szczelin oddechowych wydobywał się bladej dym – jak na mój gust, efekt nieco zbyt teatralny. Liczne otwory poniżej miały pewnie sprawiać wrażenie skrzywionych ironicznie ust. Spod maski dobiegał lekko stłumiony śmiech.

– Nie przesadzasz trochę? – spytałem. Przykucnąłem i wzniosłem między nami obraz Logrusu. – To dobre dla dzieciaka na Halloween. Ale przecież jesteście dorośli, prawda? Wystarczyłaby zwykła maseczka domino.

– Poruszyłeś mój kamień! – oznajmiła maska.

– Takie sprawy interesują mnie z czysto akademickich względów – wyjaśniłem, wpasowując ręce w odgałęzienia Logrusu. – Nie ma się o co denerwować. Czy to ty, Jasro? Ja...

Zagrzmiało znowu, z początku cicho, potem z coraz większą siłą.

– Dogadajmy się – zaproponowałem. – Ty odwołasz burzę, a ja obiecuję więcej nie przesuwac znaczników.

Znowu śmiech. Huk sztormu był coraz głośniejszy.

– Za późno – dobiegła odpowiedź. – Za późno dla ciebie. Chyba że jesteś mocniejszy, niż na to wyglądasz.

Do diabła! Nie zawsze silniejszy zwycięża, a mili faceci na ogół wygrywają, ponieważ to oni piszą później pamiętniki. Ramionami Logrusu badałem niematerialną maskę, aż wreszcie znalazłem połączenie, korytarz prowadzący do jej Źródła. Uderzyłem poprzez niego – atak porównywalny z wyładowaniem elektrycznym – w to, co leżało w głębi.

Zabrzmiał krzyk. Maska rozpadła się, trąba powietrzna także, a ja zerwałem się i pomknąłem jak najszybciej. Kiedy ten, w kogo trafiłem, dojdzie do siebie, wolałem być już w innym miejscu. To tutaj mogło ulec nagłemu rozpadowi.

Miałem do wyboru: skręcić w Cień albo spróbować szybszej drogi ucieczki. Gdyby czarodziej mnie śledził, kiedy zacznę przesuwac cienie, mógłby za mną podążyć. Dlatego sięgnąłem po Atuty i wybrałem kartę Randoma. Minąłem zakręt i stwierdziłem, że i tak musiałbym się tu zatrzymać – szczelina zwiężała się i dalszy bieg był niemożliwy. Podniosłem kartę i sięgnąłem myślą. Kontakt

nastąpił niemal od razu. Lecz kiedy materializowały się obrazy, poczułem dotknięcie. Byłem pewien, że to moja nemezis w błękitnej masce.

Wyraźnie już widziałem Randoma. Siedział przy perkusji z pałeczkami w rękach. Na mój widok odłożył je i wstał.

– Najwyższy czas – oświadczył, wyciągając rękę.

Sięgając czułem, że coś pędzi w moją stronę. Kiedy zetknęły się nasze palce, zasypało mnie niczym gigantyczna fala.

Przeszedłem do pracowni muzycznej w Amberze. Random otworzył usta, by coś powiedzieć, i wtedy runęła na nas kaskada kwiatów.

Spojrzał na mnie, strzepując z koszuli fiołki.

– Wolałbym, żebyś wyraził to słowami – zauważył.

Rozdział 4

Portrety artystów, sprzeczne cele, opadająca temperatura... Słoneczne popołudnie, spacer przez niewielki park po lekkim obiedzie, my, długie chwile ciszy, monosylabowe odpowiedzi na konwersacyjne zaczepki wskazujące, że nie wszystko jest w porządku na drugim końcu napiętej linii komunikacji. Potem na ławce, usadzeni, spoglądając na klomby; stan duszy ogarnia ciała, słowa, myśli...

– W porządku, Merle. Jaka jest stawka? – pyta.

– Nie wiem, o jakiej grze mówisz, Julio.

– Nie udawaj. Chcę tylko uczciwej odpowiedzi.

– Na jakie pytanie?

– To miejsce, gdzie mnie zabrałeś z plaży, tamtej nocy... Gdzie to jest?

– To było... coś w rodzaju snu.

– Bzdury! – Siada bokiem, by spojrzeć mi prosto w twarz, a ja muszę wytrzymać wzrok tych błyszczących oczu tak, by niczego nie zdradzić.

– Wraciałam tam kilka razy i szukałam drogi, którą poszliśmy. Nie ma żadnej jaskini. Nic nie ma! Co się z nią stało? Co się dzieje?

– Może nadszedł przypływ i...

– Merle! Czy ty mnie bierzesz za idiotkę? To przejście nie istnieje na żadnej mapie. Nikt w tamtej okolicy nawet nie słyszał o takich miejscach. To geograficznie niemożliwe. Zmieniały się pory dnia i pory roku. Jedyne wyjaśnienie to zjawiska nadprzyrodzone albo paranormalne, jakkolwiek zechcesz je nazwać. Co się stało? Dobrze wiesz, że winien mi jesteś wyjaśnienie. Co się stało? Dokąd mnie zabrałeś?

Uciekłem wzrokiem poza moje stopy, poza kwiaty.

– Ja... nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– Ja... – Jak miałem jej to wyjaśnić? Nie chodziło nawet o to, że wiedza o Cieniu zakłóci, może nawet zniszczy jej pogląd na rzeczywistość. Sedno problemu tkwiło w tym, że musiałbym też wytłumaczyć, skąd o tym wiem, a to z kolei wymagało zdradzenia, kim jestem, skąd pochodzę i czym jestem. A obawiałem się powierzenia jej tej informacji. Powtarzałem sobie, że przerwałoby to nasz związek równie pewnie, jak moje milczenie; a skoro nie miał żadnej przyszłości, wolałem rozstać się tak, by Julia nie dysponowała tą wiedzą. Później, o wiele później, zrozumiałem, że próbowałem tylko zracjonalizować swoją decyzję; prawdziwą przyczyną odmowy odpowiedzi było to, że nie byłem jeszcze gotów zaufać jej ani nikomu innemu. Gdybym znał ją dłużej, lepiej... powiedzmy następny rok... może bym odpowiedział. Sam nie wiem. Nie używaliśmy słowa "miłość", choć musiało czasem przychodzić jej na myśl. Tak jak mnie. Po prostu – tak sędzę – nie kochałem jej dostatecznie mocno, by jej zaufać. A potem było już za późno. Dlatego moja odpowiedź brzmiała: "Nie mogę powiedzieć".

– Masz jakąś moc, którą nie chcesz się dzielić.

– Nazywaj to, jak chcesz.

– Zrobię, co tylko zechcesz, obiecuję wszystko, na czym ci zależy.

– Mam ważne powody, Julio.

Zrywa się na nogi, podpira pod boki.

– I tych powodów też mi nie zdradzisz?

Kręcę głową.

– Samotny musi być świat, w którym żyjesz, czarowniku, jeśli zamknięty jest nawet przed tymi, którzy cię kochają.

W tej chwili uznaję, że próbuje swej ostatniej sztuczki, by wyciągnąć ze mnie odpowiedź. Tym mocniej utwierdzam się w swej decyzji.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś. Twoje milczenie jest aż nadto wymowne. Może znasz także drogę do Piekła?

Czemu się tam nie wybierzesz? Żegnam!

– Julio! Nie...

Woli nie słyszeć.

Martwa natura z kwiatami...

Przebudzenie. Noc. Jesienny wiatr za oknem. Sny. Krew życia pozbawiona ciała... wiruje... Zsunąłem nogi z łóżka i usiadłem przecierając oczy, masując skronie. Świeciło jeszcze słońce i trwało popołudnie, kiedy skończyłem opowiadać Randomowi swoją historię. Potem zwolnił mnie, żebym się trochę zdrzemnął. Cierpiałem z powodu różnicy czasu w cieniach i w tej chwili cały organizm miałem zupełnie rozregulowany. Chociaż nie byłem pewien, która jest teraz godzina. Przeciągnąłem się, wstałem, doprowadziłem się do porządku i włożyłem świeże ubranie. Wiedziałem, że już nie zasnę; w dodatku zaczynałem odczuwać głód. Narzuciłem ciepły płaszcz i wyszedłem. Wolałem raczej zjeść na mieście, niż rabować spiżarnię. Miałem ochotę na spacer, a poza tym nie wychodziłem z pałacu już od... lat, przypuszczalnie.

Zszedłem na dół, a potem skróciłem sobie drogę przez kilka dużych komnat i wielki hall, połączony z tyłu z korytarzem, którym mógłbym tu dojść prosto od schodów, gdybym miał na to ochotę. Tyle że wtedy nie obejrzałbym kilku gobelinów, z którymi chciałem odnowić znajomość: idylliczna scena leśna z parą pieszczącą się po pikniku na łące oraz scena łowiecka z ludźmi i psami ścigającymi wspaniałego jelenia; jeleni wygląda, jakby wciąż jeszcze miał szansę, jeśli tylko odważy się na szaleńczy skok ponad otchłania...

Minąłem je i ruszyłem korytarzem do wartowni. Znudzony strażnik imieniem Jordy usłyszał moje kroki i nagle usiłował wyglądać na czujnego. Przystanąłem, żeby chwilę pogadać, i dowiedziałem się, że zejdzie z posterunku dopiero o północy, czyli za dobre dwie godziny.

– Wychodzę do miasta – oznajmiłem. – Gdzie można dobrze zjeść o tej porze?

– A na co masz ochotę, książę?

– Na jakąś morską potrawę – zdecydowałem szybko.

– Jest "Kraina Wiecznych Łowów", mniej więcej w dwóch trzecich długości Głównej Alei.

Doskonałe rybne dania. Elegancki lokal...

Pokręciłem głową.

– Nie chcę eleganckich lokali.

– "Pod Siecią" wciąż jest podobno niezła... niedaleko, na rogu Kowali i Żelaznej. Niezbyt elegancka.

– Ale sam byś tam nie poszedł?

– Kiedyś chodziłem – odparł. – Ale niedawno odkryło ją kilku szlachciców i bogatych kupców.

Teraz nie czułbym się zbyt dobrze. Nie pasuję do towarzystwa.

– Do diabła! Nie zależy mi na rozmowach ani atmosferze. Szukam tylko smacznej, świeżej ryby.

Gdzie poszedłbyś najchętniej?

– To kawał drogi. Ale jeśli pójdziesz, księżę, aż do doków, nad zatokę, kawałek na zachód... Ale może nie powinieneś. Robi się późno, a po zmroku nie jest to przyjemna okolica.

– Czyżbyś mówił o Alei Śmierci?

– Tak ją czasem nazywają, jako że od czasu do czasu znajdują tam rankiem jakieś zwłoki. Może lepiej idź "Pod Sieć", zwłaszcza że jesteś sam.

– Gerard pokazał mi kiedyś te okolice, za dnia. Chyba potrafię znaleźć drogę. Nie ma sprawy. Jak się nazywa ta knajpa?

– Hm... "U Krwawego Billa".

– Dzięki. Pozdrowię Billa od ciebie.

Potrząsnął głową.

– Niemożliwe. Nazwano ją tak w związku ze sposobem jego zejścia. Teraz prowadzi ją jego kuzyn, Andy.

– Aha... A jak nazywała się przedtem?

– "U Krwawego Sama" – odparł.

Do licha, co mi tam. Pożegnałem się i ruszyłem ścieżką ku stopniom prowadzącym do ogrodowej alejki i dalej, do bocznej furtki. Strażnik wypuścił mnie na zewnątrz. Noc była chłodna, a bryza niosła światu zapachy jesieni. Wciągnąłem je do płuc i wypuściłem znowu, zmierzając w stronę Głównej Alei; dalekie, zapomniane niemal, powolne stukanie kopyt na bruku dobiegało niby dźwięk ze snu albo wspomnień. Nie było księżyca, ale gwiazdy rozjaśniały firmament, a aleja w dole biegła między kulami fosforyzującej cieczy, osadzonymi na wysokich tykach. Między nimi przemykały górskie ćmy o długich ogonach.

Zwolniłem, kiedy dotarłem do alei. Wyprzedziło mnie kilka zamkniętych powozów. Starzec prowadzący na łańcuchu maleńkiego zielonego smoka dotknął palcem kapelusza i powiedział: "Dobry wieczór". Widział, z której strony przyszedłem, choć byłem pewien, że mnie nie poznał. Moja twarz nie jest powszechnie znana w tym mieście. Po chwili poprawił mi się nastrój i poczułem, że krok odzyskuje sprężystość.

Random nie był tak zagniewany, jak się obawiałem. Ghostwheel nie sprawiał kłopotów, więc nie nakazał mi ruszać natychmiast, by jeszcze raz spróbować wyłączenia systemu. Poleciał tylko, żebym się zastanowił i zaproponował najrozsądniejsze działania. A Flora kontaktowała się z nim wcześniej i wyjaśniła, kim jest Luke. Poznał tożsamość przeciwnika, co chyba trochę go uspokoiło. Mimo moich pytań nie zdradził, jak zamierza sobie z nim poradzić. Napomknął tylko, że niedawno wysłał do Kashfy agenta, by zdobyć jakieś tajemnicze informacje.

Najbardziej zmartwił się wieścią, że banita Dalt wciąż jeszcze chodzi po tym świecie.

– Coś w tym człowieku budzi niepokój... – zaczął Random.

– Co? – spytałem.

– Przede wszystkim widziałem, jak Benedykt go powalił. To zwykle oznacza koniec kariery.

– Twardy sukinsyn – stwierdziłem. – Albo ma cholerne szczęście. Może jedno i drugie.

– Jeśli to ten sam człowiek, to jest synem Desacratrix. Słyszałeś o niej?

– Deela – mruknąłem. – Tak chyba miała na imię? Jakaś fanatyczka religijna? Wojująca?

Random przytaknął.

– Sprawiała sporo kłopotów na peryferiach Złotego Kręgu, przede wszystkim wokół Begmy. Byłeś tam kiedy?

– Nie.

– Begma to najbliższy Kashfy punkt Kręgu. To sprawia, że cała historia staje się szczególnie interesująca. Robiła napady w Begmie i sami nie mogli sobie z nią poradzić. W końcu przypomnieli nam o traktacie obronnym, jaki wiąże nas z większością królestw Kręgu. Tato postanowił wkroczyć i udzielić jej lekcji. Spaliła o jedną kaplicę Jednorożca za dużo. Zebrał skromne siły, pobił jej żołnierzy, wziął ją w niewolę i powywieszał jej ludzi. Uciekła jednak, a parę lat później, kiedy już wszyscy zapomnieli o sprawie, wróciła z nową armią i zaczęła wszystko od nowa. Begma podniosła wrzask, ale tato był zajęty. Wysłał Bleysa z większymi siłami. Było kilka nie rozstrzygniętych potyczek – to w końcu bandyci, nie regularna armia. Wreszcie Bleys przyparł ją do muru i rozbił doszczętnie. Zginęła wtedy, prowadząc swoich ludzi.

– A Dalt jest jej synem?

– Jest taka teoria. Ma sens, ponieważ od dawna robi co może, żeby utrudnić nam życie. Chodzi mu o czystą i prostą zemstę za śmierć matki. W końcu zebrał znaczne siły i spróbował zaatakować Amber. Przedarł się o wiele dalej, niż mógłbyś przypuszczać: do samego Kolviru. Ale tam czekał Benedykt, a z nim ten jego wypieszczony regiment. Posiekał ich na kawałki i wyglądało na to, że Dalt został śmiertelnie ranny. Kilku jego ludzi zdołało go wynieść z pola walki, więc nie znaleźliśmy ciała. Ale kto by się tym przejmował?

– Myślisz, że ten sam facet był przyjacielem Luke'a w dzieciństwie... i potem?

– No cóż, wiek mniej więcej się zgadza i pochodzi, zdaje się, z tego samego regionu. To chyba możliwe.

Zastanawiałem się. Według słów pustelnika, Jasra nie przepadała za Daltem. Jaką więc rolę odgrywał w tej chwili? Zbyt wiele niewiadomych, uznałem. Wolałbym, by odpowiedzi udzieliła raczej wiedza niż rozumowanie. Zostawiłem więc tę zagadkę i postanowiłem rozkoszować się kolacją.

Wciąż szedłem aleją. W pobliżu końca usłyszałem śmiechy i zobaczyłem, że kilku zatwardziałych pijaków nadal okupuje stoliki niewielkiej kawiarni. Wśród nich dostrzegłem Dropkę, ale nie zauważył mnie. Przeszedłem szybko. Nie miałem nastroju do żartów. Skręciłem w ulicę Tkaczy, która miała mnie doprowadzić do miejsca, gdzie z dzielnicy portowej bierze początek Zachodnia Winna. Obok przebiegła wysoka, zamaskowana dama. Wsiadła do oczekującego powozu, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się spod domina. Byłem całkiem pewien, że jej nie znam, i żałowałem tego. Miała piękny uśmiech.

Podmuch wiatru przyniósł zapach z czyjś kominka, a przy okazji zaszeleścił suchymi liśćmi. Zastanawiałem się, gdzie jest teraz mój ojciec.

Dalej zatem, prosto, a potem w lewo w Zachodnią Winną... Węższa od alei, ale wciąż szeroka; większe odległości między latarniami, ale nadal dostatecznie oświetlona dla nocnych wędrowców. Dwaj jeźdźcy przecłapali obok, śpiewając nie znaną mi piosenkę. W chwilę później coś dużego i ciemnego przeleciało mi nad głową, by usiąść na dachu po drugiej stronie ulicy. Dobiegło stamtąd kilka cichych skrobnięć, potem cisza. Miąłem łagodny łuk w prawo, potem następny w lewo. Wiedziałem, że przede mną jest seria ostrych zakrętów. Droga była coraz bardziej stroma.

Jakiś czas później od portu nadpłynęła bryza niosąca słony zapach morza. A jeszcze później – jakieś dwa zakręty – daleko w dole zobaczyłem samo morze: rozkołysane światła na lśniącej, falującej czerni, uwięzione w wygiętej linii jasnych punktów Drogi Portowej. Na wschodzie niebo pokrywał delikatny pył gwiazd, a na krawędzi świata pojawiła się zapowiedź horyzontu. Miałem wrażenie, że dostrzegam światło dalekiej Cabry, potem, za kolejnym zakrętem, straciłem je z oczu.

Kałuża jasności podobna do rozlanego mleka pulsowała na ulicy po prawej stronie, swym dolnym brzegiem wlewając się w kratownicę rowków między płytami bruku. Stercząca z niej pasiasta tyka

mogłaby reklamować warsztat upiornego golibrody: pęknięta kula na szczycie wciąż jeszcze fosforyzowała lekko i przypominała czaszkę na kiju; przywodziła mi na myśl grę, w którą jako dzieci bawiliśmy się w Dworcach. Kilka świetlnych odcisków stóp oddalało się od kałuży w dół – słabe, słabsze, zniknęły... Przeszedłem obok, a w dali usłyszałem krzyk morskich ptaków. Aromaty jesieni zatoneły w zapachu oceanu. Świetlny pył za moim ramieniem wzniósł się wyżej nad wodą, dryfując ku pomarszczonemu obliczu głębin. Już niedługo...

W miarę spaceru rósł mój apetyt. Przed sobą, po drugiej stronie ulicy, zobaczyłem innego spacerowicza w ciemnym płaszczu; podeszwy jego butów jarzyły się jeszcze. Pomyślałem, że wkrótce będę jadł rybę, i przyspieszyłem kroku, dogoniłem i wyprzedziłem mroczną postać. Kotka na progu przerwała na chwilę lizanie tyłka i spojrzała na mnie, z uniesioną pionowo tylną nogą.

Przemknął kolejny jeździec, tym razem pod górę. Słyszałem urywki kłótni między mężczyzną a kobietą, dobiegające z górnych okien jednego z ciemnych budynków. Następny zakręt i pojawił się róg księżyca niby wspaniała bestia wynurzająca się na powierzchnię z głębi jasnych grot, strząsająca krople blasku.

Po dziesięciu minutach dotarłem do dzielnicy portowej i odnalazłem Drogę Portową; niemal całkowity brak świetlnych kul równoważył blask padający z okien, kilka wiader płonącej smoły i lśnienie księżyca. Zapach soli i wodorostów był tu silniejszy, droga zasypana śmieciami, przechodnie ubrani bardziej kolorowo i bardziej hałaśliwi niż ci, których spotkałem w alei... jeśli nie liczyć Dropy.

Dotarłem nad zatokę, gdzie wyraźniej słyszałem szum morza: ruch, szum fal, potem ich załamywanie i plusk za linią przyboju; bliżej łagodniejsze chlupnięcia i powolne odpływy; trzeszczenie kadłubów statków, brzęk łańcuchów, uderzenia jakiejś łodzi o keję czy poler cumowniczy.

Wspomniałem "Gwiezdną strzałę", moją starą żagłówkę.

Maszerowałem po łuku ulicy aż na zachodnie nabrzeże portu. Dwa szczury przebiegły mi drogę ścigając kota w jednej z bocznych uliczek, do których skręcałem poszukując tej jednej, o którą mi chodziło. Zapach wymiocin był tu równie silny jak stałych i ciekłych ludzkich odchodów. Słyszałem krzyki, trzaski i uderzenia – w pobliżu trwała jakaś bójka, co napełniło mnie wiarą, że trafiłem we właściwe okolice. Gdzieś daleko zadźwięczał dzwonek boi. Nieco bliżej dosłyszałem znudzoną niemal wiązkę przekleństw – dwaj marynarze wyszli zza rogu, zataczając się, ze śmiechem przeszli obok mnie i natychmiast zaczęli jakąś pieśń. Na rogu sprawdziłem tablicę z nazwą ulicy. Zaulek Morskiej Bryzy, głosił napis.

Byłem na miejscu, w uliczce zwanej powszechnie Aleją Śmierci. Tutaj skręciłem. Ulica nie różniła się od innych. Przez pierwsze pięćdziesiąt kroków nie dostrzegłem żadnych zwłok ani nawet leżących pijaków, chociaż jakiś stojący w bramie człowiek usiłował sprzedać mi sztylet, a krępy osobnik z wąsikami zaproponował, że znajdzie dla mnie coś młodego i jędrnego. Odmówiłem obu, a od tego drugiego dowiedziałem się, że jestem już blisko "Krwawego Billa". Poszedłem. Oglądałem się od czasu do czasu i daleko z tyłu zauważyłem trzy postacie w ciemnych płaszczach. Mogli mnie śledzić; widziałem ich także na Drodze Portowej. Ale nie musieli. Nie cierpiałem na manię prześladowczą, uznałem więc, że mogą być kimkolwiek i zmierzać dokądkolwiek; zignorowałem ich. Nic się nie stało. Nie zaczepiali mnie, a kiedy w końcu odnalazłem "Krwawego Billa" i wszedłem, minęli drzwi.

Przeszli przez ulicę i trafili do małego bistro kawałek dalej.

Odwróciłem się i spojrzałem na wnętrze gospody "U Billa". Bar stał po prawej stronie, stoliki po lewej, na podłodze zauważyłem podejrzone plamy. Tablica na ścianie sugerowała, bym złożył

zamówienie w barze i powiedział, gdzie siedzę. Pod spodem wypisano kredą dzisiejszy jadłospis.

Podszedłem więc i czekałem, ściągając na siebie spojrzenia klientów. Po chwili zjawiał się mocno zbudowany mężczyzna o siwych, zdumiewająco krzaczastych brwiach. Spytał, czego chcę. Zamówiłem błękitnego pstrąga morskiego i wskazałem wolny stolik pod ścianą. Skinął głową i krzykiem wydał polecenia przez dziurę w ścianie. Zapytał jeszcze, czy podać butelkę Szczyn Bayle'a. Zgodziłem się, przyniósł wino i szklanę, odkorkował. Zapłaciłem i zająłem miejsce, plecami do ściany.

Naftowe płomyki migotały w brudnych osłonach na hakach. Trzej ludzie w kącie – dwaj młodzi, jeden w średnim wieku – grali w karty i podawali sobie butelkę. Przy stoliku z lewej strony siedział samotnie starszy mężczyzna. Jadł coś. Miał brzydką bliznę przecinającą lewe oko, a długi, groźny miecz, na piętnaście centymetrów wyciągnięty z pochwy, stał oparty o krzesło obok niego. Mężczyzna także siedział plecami do ściany. Następny stolik zajmowali ludzie z instrumentami muzycznymi; pewnie mieli przerwę w występach. Nalałem złotego wina i wypilem nieco: charakterystyczny smak, jaki zapamiętałem sprzed lat. Nadawało się do posiłku. Baron Bayle posiadał liczne winnice, mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na wschód od miasta. Był oficjalnym dostawcą Dworu i jego wina czerwone były na ogół doskonałe. Z białymi nie odnosił takich sukcesów i często rzucał na rynek partię towaru w marnym gatunku. Na naklejkach był jego emblemat i rysunek psa – baron lubił psy; dlatego czasem nazywano to wino Psimi Szczynami, a czasem Szczynami Bayle'a, zależnie od towarzystwa.

Miłośnicy psów obrażali się, słysząc to pierwsze określenie.

Mniej więcej w czasie, kiedy podano mi danie, zauważyłem, że dwóch młodych ludzi przy barze odrobinę zbyt często spogląda w moją stronę. Mówili do siebie coś, czego nie słyszałem, i uśmiechali się bez przerwy. Nie zwracałem na nich uwagi i zająłem się kolacją. Po chwili człowiek z blizną przy sąsiednim stoliku odezwał się cicho, nie patrząc w moją stronę i niemal nie poruszając wargami:

– Darmowa porada. Moim zdaniem ci dwaj przy barze zauważyli, że nie nosisz miecza. I wzięli cię na cel.

– Dzięki – mruknąłem.

No cóż... nie martwiłem się, czy sobie z nimi poradzę. Ale gdybym miał wybór, wolałbym raczej uniknąć sporu. Jeśli jedynym tego warunkiem był widoczny miecz, bez trudu mogłem go załatwić.

Chwila koncentracji i Logrus zatańczył mi przed oczami. Zaraz potem sięgałem poprzez niego w poszukiwaniu odpowiedniej broni: ani zbyt długiej, ani ciężkiej, dobrze wyważonej i z wygodną rękojeścią, a także z szerokim, ciemnym pasem i pochwą. Trwało to prawie trzy minuty, pewnie dlatego, że byłem taki wybredny... ale, do diabła, jeśli ostrożność wymaga miecza, chciałem dostać wygodny. A poza tym sięganie w Cień w pobliżu Amberu jest trudniejsze niż gdziekolwiek indziej.

Kiedy wskoczył mi w rękę, odetchnąłem i otarłem czoło. Potem wyjąłem go spod stołu razem z pasem i, biorąc przykład z sąsiada, wyciągnąłem z pochwy na piętnaście centymetrów i położyłem na stolku po prawej ręce. Dwaj faceci przy barze zauważyli mój pokaz. Wyszczrzyłem zęby w ich stronę. Zaczęli szybko rozmawiać i tym razem już się nie śmiali. Dolałem sobie wina i wypilem jednym haustem. Po czym wróciłem do ryby; Jordy się nie mylił. Jedzenie dawali tu doskonałe.

– Sprytna sztuczka – stwierdził mężczyzna przy sąsiednim stoliku. – Nie przypuszczam, żeby była łatwa do nauczenia?

– Nie.

– To by pasowało. Muszą być trudne, bo inaczej wszyscy by je robili. Mogą zaczepić cię mimo wszystko, skoro widzą, że jesteś sam. Zależy, ile wypiją i na ile stracą rozwagę. Martwi cię to?

- Nie.
- Tak przypuszczałem. Ale kogoś dzisiaj napadną.
- Skąd wiesz?

Po raz pierwszy spojrział prosto na mnie i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Są przewidywalni jak nakręcane zabawki. Do zobaczenia.

Rzucił na stół monetę, wstał, zapiął pas z mieczem, chwycił czarny kapelusz z pióropuszem i ruszył do drzwi.

- Uważaj na siebie.

Kiwnąłem głową.

- Dobranoc.

Kiedy zniknął, ci dwaj przy barze zaczęli coś szeptać, tym razem spoglądając raczej za nim niż na mnie. Powzięli jakąś decyzję i wyszli szybko. Przez chwilę czułem pokusę, by ruszyć za nimi, ale coś mnie powstrzymało. Z ulicy dobiegły odgłosy bójki. W kilka sekund później w drzwiach stanął jakiś człowiek, chwiał się przez moment, po czym upadł na twarz. Był to jeden z dwóch pijaków. Miał poderżnięte gardło. Andy pokręcił głową i wysłał jednego ze swoich ludzi, żeby zawiadomił najbliższy posterunek. Potem chwycił zwłoki za pięty i wywlókł na zewnątrz, by nie hamowały napływu klientów.

Później, kiedy zamawiałem drugą porcję ryby, spytałem Andy'ego o całe zajście. Uśmiechnął się ponuro.

- Niezdrowo jest stawać na drodze emisariuszowi Korony -stwierdził. – Zwykle wybierają twardych facetów.

- Ten człowiek, który siedział obok mnie, pracuje dla Randoma?

Przyjrzał się mojej twarzy, po czym przytaknął.

- Stary John pracował też dla Oberona. Zawsze tutaj jada, ile razy tędy przejeżdża.

- Ciekawe, z jakiej misji powracał.

Wzruszył ramionami.

- Kto wie? Ale płacił kashfańską walutą, a przecież nie pochodzi z Kashfy.

Rozmyślałem o tym, pochylony nad talerzem. To coś, czego chciał Random z Kashfy, było już zapewne w drodze do zamku. Chyba że jest nieosiągalne. I chyba wiązało się z Lukiem i Jastrą. Zastanawiałem się, co to takiego i do czego może się przydać.

Siedziałem jeszcze długo i myślałem; lokal był o wiele spokojniejszy niż przed godziną, nawet kiedy muzycy zaczęli nową wiązankę. Czy to Johna obserwowali przez cały czas ci bandyci, a my obaj sądziliśmy, że to na mnie patrzą? A może po prostu zdecydowali ruszyć za pierwszą osobą, jaka wyjdzie stąd samotnie? Te refleksje uświadomiły mi, że jak prawdziwy Amberyta, znów szukam wszędzie spisków... A przecież nie tak dawno wróciłem. To pewnie coś w powietrzu, uznałem. Może lepiej, że mój umysł znowu zaczął pracować według tych schematów, ponieważ wmieszałem się w wiele spraw i taka podejrzliwość wydawała się rozsądną inwestycją w przetrwanie.

Dopiłem wino i zostawiłem na stole butelkę z zawartością jeszcze paru kieliszków. Przyszło mi do głowy, że w obecnej sytuacji nie powinienem otepiać własnych zmysłów. Wstałem i przypiąłem miecz.

Kiedy mijałem bar, Andy skinął mi głową.

- Jeśli spotkasz kogoś z pałacu – rzucił cicho – możesz wspomnieć, że nie wiedziałem, że coś takiego się zdarzy.

- Znałeś ich?

- Tak. Marynarze. Ich statek przyplłynął parę dni temu. Zawsze sprawiali kłopoty. Od razu

przepuszczają wyplątę, a potem szukają sposobu, żeby szybko zarobić więcej.

– Sądysz, że mogli być zawodowcami od... usuwania ludzi?

– Dlatego, że John jest tym, kim jest? Nie. Spróbowali o jeden raz za dużo. Głównie dlatego, że byli durniami. Prędzej czy później musieli trafić na kogoś, kto zna się na robocie, i skończyć właśnie tak. Nie znam nikogo, kto by ich wynajął do czegoś poważnego.

– To znaczy, że tego drugiego też załatwił?

– Tak. Kawalek dalej. Więc możesz wspomnieć, że po prostu zdarzyło im się zjawić w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie.

Spojrzałem na niego uważnie. Mrugnął porozumiewawczo.

– Parę dni temu widziałem cię tutaj z Gerardem. Staram się nigdy nie zapominać twarzy, która może być warta zapamiętania.

Pokiwałem głową.

– Dziękuję. Dobrze karmisz.

Na zewnątrz było już chłodniej. Księżyc wisiał wyżej, a morze szumiało głośniejsze. Na ulicy nie było nikogo. Z jakiejś knajpy bliżej Drogi Portowej dobiegała głośna muzyka i towarzyszący jej śmiech. Przechodząc zajrzałem do środka: zmęczona kobieta na niewielkim podwyższeniu aplikowała sobie badanie ginekologiczne. Gdzieś w pobliżu trzasnęło pękające szkło. Jakiś pijak wytoczył się ku mnie pomiędzy budynków, wyciągając rękę. Szedłem dalej. Wiatr jęczał wśród masztów w porcie, a ja zapragnąłem nagle, by u mojego boku znalazł się Luke – jak za dawnych czasów, zanim wszystko się skomplikowało. Potrzebowałem partnera do rozmowy, w moim wieku i z podobnym usposobieniem. Moi krewni mieli za sobą zbyt wiele stuleci cynizmu i mądrości, by spoglądać na sprawy w taki sam sposób.

Dziesięć kroków dalej Frakir zaczęła pulsować gwałtownie na moim przedramieniu. Ponieważ akurat w pobliżu nie było nikogo, nie sięgnąłem nawet po miecz. Rzuciłem się na ziemię i natychmiast przetoczyłem do cienia na prawo. Równocześnie usłyszałem głuchy stuk od strony budynku naprzeciw. Przy pierwszej okazji spojrzałem w tamtym kierunku. Zobaczyłem strzałę sterczącą z muru na takiej wysokości i w takiej pozycji, że gdybym nie upadł, mogłaby mnie trafić. Jej kąt nachylenia wskazywał też, że rzuciłem się w stronę, skąd została wypuszczona.

Uniosłem się tyle tylko, by dobrać miecza, i popatrzyłem na prawo. Najbliższy dom miał pozamykane okna i drzwi. Był ciemny, a od jego frontowej ściany dzieliły mnie teraz jakieś dwa metry. Ale między nim a sąsiednimi budynkami były odstępy; geometria podpowiedziała mi, że strzala wyleciała ze szczeliny przede mną. Przetoczyłem się znowu i wsunąłem pod niski, zadaszony ganek, biegnący wzdłuż całej ściany. Wspiąłem się na niego i dopiero wtedy wstałem. Trzymając się blisko ściany, sunąłem do przodu i przeklinałem powolność, niezbędną dla zachowania ciszy. Byłem już prawie tak blisko szczeliny, że zdążyłbym zaatakować łuczника, który by się wychylił, zanim zdołałby wypuścić strzałę. Przemknęła mi jednak myśl, że napastnik może okrążyć dom i strzelić do mnie z tyłu, więc przycisnąłem się do ściany, wysunąłem klingę i spoglądałem przez ramię za siebie. Frakir wypełzła mi na dłoń i zawisła w gotowości. Gdybym dotarł do rogu i nikt się nie pojawił, nie bardzo bym wiedział, co robić dalej. Sytuacja najwyraźniej wymagała magicznej ofensywy. Ale jeśli zaklęcia nie są przygotowane – a zaniedbałem to – w sytuacjach, gdy chodzi o życie, nieczęsto można poświęcić temu niezbędną uwagę. Przystanąłem. Opanowałem oddech. Nasłuchiwałem.

Był ostrożny, ale usłyszałem cichy szmer na dachu. Zbliżał się. Nie wykluczało to innego, albo innych, czekających za rogiem. Nie miałem pojęcia, ilu ludzi bierze udział w tej zasadzce, choć zaczynała sprawiać wrażenie nieco zbyt dopracowanej jak na zwykły napad. A w takim przypadku nie wierzyłem, by napastnik był tylko jeden. I mogli na różne sposoby rozdzielić siły. Nie ruszałem

się z miejsca i myślałem gorączkowo. Kiedy zaatakują, uderzą z kilku stron. Wyobraziłem sobie łuczника za rogiem, ze strzałą na cięciwie, czekającego na sygnał. Ten na dachu ma najprawdopodobniej miecz.

Domyślałem się też mieczy u innych... Nie zastanawiałem się, kto na mnie poluje i w jaki sposób mnie odnalazł – jeśli to rzeczywiście o mnie chodziło. Takie rozważania nie przynosiły pożytku. Jeśli im się uda, to będę martwy, niezależnie od tego, czy są zwykłymi bandytami zainteresowanymi moją sakiewką, czy skrytobójcami.

Znowu. Odgłos z góry. Ktoś znalazł się wprost nade mną. Teraz już lada chwila...

Coś zaszurało na dachu i napastnik z krzykiem zeskoczył na ulicę tuż przede mną. Ten krzyk był zapewne sygnałem dla łuczника, gdyż natychmiast usłyszałem kroki, a równocześnie tupot zza drugiego rogu budynku, za sobą.

Zanim ten z dachu zdążył dotknąć nogami ziemi, rzuciłem w niego Frakir z rozkazem, by zabiła. Sam skoczyłem na łuczника, nim jeszcze wynurzył się zza rogu. W biegu zamachnąłem się mieczem. Cięcie przeszło przez jego łuk, ramię i dolną część tułowia. Sytuacja miała też pewne złe strony: za nim był ktoś z mieczem, a ktoś inny nadbiegał gankiem od tyłu.

Przyłożyłem lewą stopę do piersi skulonego łuczника i pchnąłem go na człowieka z tyłu. Wykorzystałem energię odbicia, by odwrócić się i szeroko machnąć mieczem, przechodząc do niezdarnego bloku. Natychmiast musiałem go poprawić, by odbić cięcie w głowę wyprowadzone przez człowieka, który przebiegł przez ganek. Ripostowałem w pierś, on też odbił, a ja dostrzegłem kątem oka tego z dachu. Klęczał teraz na ulicy i drapał palcami gardło. Widocznie Frakir wykonywała swoją robotę.

Przeciwnik za mną budził nieprzyjemne uczucie nagości w okolicy pleców. Musiałem coś zrobić, i to szybko, inaczej jego klinga trafi mnie w ciągu kilku sekund. Zatem...

Zamiast ripostować, udałem, że się potykam, w rzeczywistości przesuwając ciężar ciała i przyjmując pozycję. Zaatakował, tnąc od góry. Odskoczyłem na bok i pchnąłem, równocześnie skręcając tułów. Gdyby potrafił zmienić kąt uderzenia odpowiednio do mojego uniku, odczułbym to natychmiast. Niebezpieczny manewr, ale nie miałem innego wyjścia.

Nawet gdy moje ostrze zagłębiło się w jego pierś, wciąż nie wiedziałem, czy mnie trafił. Zresztą teraz nie miało to już znaczenia. Albo trafił, albo nie. Musiałem atakować, póki nie padnę albo mnie nie powalą.

Użyłem klingi jako dźwigni i obracałem go, przesuwając się w lewą stronę po łuku wokół niego. Miałem nadzieję, że wepchnę go jakoś między siebie a czwartego z wrogów. Zamiar powiódł się częściowo. Zabrakło czasu, by do końca przesunąć mojego bezwładnego, nabitego na miecz przeciwnika; wystarczyło jednak, by wywołać niewielkie zderzenie między nim a tym drugim. Zdążę, pomyślałem.

Muszę tylko wyrwać miecz i będzie jeden na jednego. Szarpnąłem...

Niech to diabli! Ostrze wklinoowało się i zablokowało między kośćmi. Tamten odzyskał równowagę, a ja wciąż obracałem trupa, żeby mnie osłaniał. Jednocześnie lewą ręką próbowałem uwolnić broń mojego niedawnego przeciwnika z jego wciąż zaciśniętych palców.

Diabli, jak wyżej. Była uwięziona w śmiertelnym uścisku; zeszytywniałe palce jak kable owijały rękojęść. Mężczyzna przesłał mi nieprzyjemny uśmiezek. Przesuwał ostrze, szukając jakiejś luki. Wtedy właśnie dostrzegłem błysk jego pierścienia z błękitnym kamieniem. Była to odpowiedź na pytanie, czy to właśnie mnie szukali dziś wieczorem w tym miejscu.

Ugiąłem kolana, przesunąłem się i umieściłem ręce nisko pod ciałem zabitego.

Takie sytuacje jak ta, czasami, przynajmniej u mnie, nagrywają się w pamięci niby na taśmie

wideo – całkowity brak wszelkich świadomych myśli i ogromna masa natychmiastowych percepcji – beczasowa, podległa jedynie sekwencyjnemu przejrzeniu, kiedy umysł bawi się odtwarzaniem.

Słyszałem krzyki na ulicy, z okien i z chodnika. Słyszałem ludzi biegnących w moją stronę. Krew spływała po chodniku i pamiętam, że nakazałem sobie ostrożność, by się nie pośliznąć. Widziałem strzelca i jego łuk, obu rozciętych, na ziemi tuż poza krawędzią ganku. Uduszony napastnik leżał trochę na prawo od człowieka, który zagrażał mi w tej chwili. Zwłoki, które przemieszczałem i ustawiałem, stały się martwym ciężarem. Odczułem niewielką ulgę widząc, że nie przybywa nikt nowy, by dołączyć do ostatniego z wrogów. A ten odskakiwał w bok z wysuniętym mieczem, gotów do ataku.

W porządku. Czas.

Z całej siły pchnąłem ciało na przeciwnika i nie czekałem, by sprawdzić rezultat tej akcji. Ryzyko, jakie miałem podjąć, nie dawało czasu na takie rozrywki. Skoczyłem na ziemię i wykonałem przewrót przez ramię obok leżącego na wznak człowieka, który upuścił miecz próbując dłońmi oderwać Frakir. Z tyłu rozległ się odgłos uderzenia i stęknięcie wskazujące, że przynajmniej częściowo trafiłem trupem w żywego. Czy to pomoże, miałem się dopiero przekonać.

W locie wysunąłem prawą rękę i chwyciłem rękojeść upuszczonego miecza. Poderwałem się, stając twarzą do przeciwnika, skrzyżowałem nogi i odskoczyłem... W ostatniej chwili. Wyprowadził serię ataków, a ja cofałem się szybko i jak szalony odbijałem ciosy. Wciąż się uśmiechał, ale moja pierwsza riposta spowolniła jego natarcie, a druga powstrzymała. Przyjąłem pozycję. Był silny, ale widziałem, że jestem szybszy. Ludzie stali w pobliżu i obserwowali nas. Usłyszałem kilka wykrzyczanych, bezużytecznych rad. Nie wiem, do którego z nas były skierowane. Zresztą to nieistotne. Wytrzymał kilka chwil, gdy przeszedłem do ataku, a potem zaczął ustępować – powoli – ale wiedziałem już, że sobie z nim poradzę.

Chciałem go jednak dostać żywego, co stanowiło dodatkową trudność. Pierścień z błękitnym kamieniem połyskiwał przede mną jak zagadka, której rozwiązanie znał ten człowiek. Potrzebowałem tego rozwiązania. Nacieralem więc, żeby go zmęczyć.

Próbowałem odwrócić go, bardzo ostrożnie, po trochu. Miałem nadzieję, że potknie się o głowę zabitego. I prawie mi się udało.

Kiedy postawił piętę na rękę trupa, przerzucił ciężar ciała do przodu, by utrzymać równowagę. W jednym z tych rzadkich momentów natchnienia, kiedy trzeba działać błyskawicznie i bez namysłu, zmienił ten ruch w atak – dostrzegł, że moja klinga zeszła z linii, gdyż przygotowywałem szerokie cięcie, by wykorzystać jego zachwianie. Zrobiłem błąd, licząc na zbyt wiele. Odbił mój miecz na ukos, odsunął swój i stanęliśmy corps d'corpus. Odwracał się w tę samą stronę co ja, a to pechowo dało mu możliwość wyprowadzenia potężnego, wspartego rozpędem ciosu w prawą nerkę.

Natychmiast sięgnął lewą stopą, by mnie podciąć, a siła zderzenia wskazywała, że pewnie mu się uda. Najlepsze, co zdołałem wymyślić, to lewą dłonią chwycić płaszcz i machnąć nim, oplątując obie nasze klingi. Próbowałem też odwrócić się padając, by wylądować na górze. To się nie powiodło. Upadliśmy obok siebie, twarzą w twarz, a osłona rękojeści miecza – chyba mojego – wbiła mi się mocno w żebra po lewej stronie. Prawą dłoń miałem uwięzioną pod sobą, lewą ciągle zaplątaną w płaszcz. Jego lewa była wolna. Sięgnął mi do twarzy. Ugryzłem go w rękę, ale nie zdołałem jej utrzymać. Tymczasem wyrwałem jakoś swoją lewą i wałnąłem go w szczękę. Odwrócił głowę, spróbował kopnąć mnie kolaniem, trafił w biodro, potem dźgnął sztywnymi palcami celując w oczy. Chwyciłem go za nadgarstek i przytrzymałem. Nadal nie mogliśmy użyć prawych rąk – byliśmy mniej więcej równej wagi – zatem musiałem tylko ścisnąć.

Kości zachrzęściły w moim uchwycie i wtedy po raz pierwszy krzyknął. Potem odepchnąłem go po

prostu, przykleknąłem i zacząłem wstawać, ciągnąc go w górę. Koniec zabawy. Zwyciężyłem.

Opada nagle bezwładnie. Przez moment sądziłem, że to jakaś końcowa sztuczka, natychmiast jednak zauważyłem sterczący mu z pleców sztylet. Człowiek z ponurą gębą, który go tam wbił, zaciskał właśnie palce, by wyrwać broń.

– Ty sukinsynu! – ryknąłem po angielsku, ale jestem pewien, że zrozumiał, o co mi chodzi. Puściłem zwłoki i wbiłem pięść w twarz obcego. Padł na plecy, a sztylet pozostał na miejscu. – Był mi potrzebny!

Pochwyciłem mojego niedawnego przeciwnika i ułożyłem w możliwie najwygodniejszej pozycji.

– Kto cię przysłał? – spytałem. – Jak mnie znaleźliście?

Uśmiechnął się słabo i krew pociekła mu z ust.

– Nic za darmo – powiedział. – Spytaj kogoś innego.

Głowa mu opadła i poplamił mi krwią koszulę. Ściągnąłem mu z palca pierścień i dołączyłem do kolekcji tych przeklętych błękitnych kamieni. Potem wstałem i spojrzałem na właściciela sztyletu. Dwaj inni pomagali mu wstać na nogi.

– Do diabła, dlaczego to zrobiłeś? – zapytałem podchodząc.

– Uratowałem ci to cholerne życie – warknął.

– Akurat! Może właśnie przez ciebie je tracę. Ten człowiek był mi potrzebny żywy.

Wtedy odezwała się osoba stojąca po jego lewej ręce.

Rozpoznałem głos. Delikatnie położyła dłoń na moim ramieniu; nie zauważyłem nawet, że uniosłem je, by uderzyć raz jeszcze.

– Zrobił to na mój rozkaz – powiedziała. – Bałam się o twoje życie i nie zdawałam sobie sprawy, że chcesz wziąć jeńca.

Patrzyłem na jej bladą, pełną godności twarz pod uniesionym kapturem płaszcza. To była Vinta Bayle, dama Caine'a, którą ostatnio widziałem na jego pogrzebie. Była też trzecią córką barona Bayle'a, któremu Amber zawdzięczał wiele nocnych pijatyk.

Zauważyłem, że drzę lekko. Odetchnąłem głęboko i spróbowałem się opanować.

– Rozumiem – mruknąłem wreszcie. – Dziękuję ci.

– Przepraszam.

Pokręciłem głową.

– Nie mogłaś wiedzieć. Co się stało, to się stało. Jestem wdzięczny każdemu, kto próbuje mi pomóc.

– Nadał mogę ci pomóc – oświadczyła. – Może nie rozumiałam tej sytuacji, ale sądzę, że niebezpieczeństwo nadal ci grozi. Chodźmy stąd. Skinąłem głową.

– Chwileczkę.

Podszedłem do drugiego zabitego i zabrałem Frakir; natychmiast zniknęła mi w lewym rękawie. Miecz, którego używałem, mniej więcej pasował do pochwy, więc wcisnąłem go i poprawiłem pas, przesuważąc broń do tyłu.

– Chodźmy – powiedziałem.

Całą czwórką ruszyliśmy w stronę ulicy Portowej. Zaciekawieni gapie pospiesznie schodzili nam z drogi. Ktoś pewnie już okradał zabitych. Wszystko się sypało; ośrodek władzy nie potrafił utrzymać porządku. Ale, do diabła, to przecież był mój dom.

Rozdział 5

Z żebrami obolałymi po spotkaniu z rękojęścią miecza szedłem z lady Vintą i dwoma służącymi Bayle'ów pod jasnym księżycem i błyszczącymi gwiazdami, poprzez morską mgłę, coraz dalej od Alei Śmierci. Miałem szczęście, że oprócz siniaka na piersi praktycznie bez szwanku wyszedłem ze starcia z tymi, którzy chcieli mnie zabić.

Nie wiem, jak mnie znaleźli tak szybko po powrocie. Miałem jednak wrażenie, że może Vinta się tego domyśla. Byłem skłonny jej zaufać. Znałem ją trochę; poza tym jej partner, wuj Caine, zginął z ręki mojego byłego przyjaciela, Luke'a. A to chyba on był dostawcą tych błękitnych kamieni.

Kiedy skręciliśmy w Portową, w kierunku morza, spytałem, co planuje.

– Myślałem, że idziemy na Winną.

– Wiesz, że grozi ci niebezpieczeństwo – oznajmiła.

– To chyba dość oczywiste.

– Mogę cię zabrać do domu ojca – stwierdziła. – Albo odprowadzić do pałacu. Ktoś jednak wiedział, że tu jesteś, i nie musiał długo szukać.

– To prawda.

– Mam łódź zacumowaną w porcie. Możemy popłynąć wzdłuż brzegu i przed świtem dotrzeć do wiejskiej rezydencji mojego ojca. Znikniesz. Kto by cię szukał w Amberze, zgubi trop.

– Nie wierzysz, że w pałacu będę bezpieczny?

– Może. Ale wszyscy w okolicy będą wiedzieli, gdzie przebywasz. Płyn ze mną, a przestanie ci to grozić.

– Kiedy nie wrócę, Random dowie się od strażników, że poszedłem w Aleję Śmierci. To go zaniepokoi i wywoła sporo zamieszania.

– Jutro skontaktujesz się z nim przez Atut i powiesz, że wyjechałeś na wieś... o ile masz ze sobą karty.

– Rzeczywiście. Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać? Nie przekonasz mnie, że nasze spotkanie było przypadkowe.

– Nie, szliśmy za tobą. Siedzieliśmy naprzeciwko karczmy Billa.

– Przewidywałaś, że będę miał kłopoty?

– Dostrzegłam taką możliwość. Gdybym wiedziała wszystko, nie byłoby całego zajścia.

– Ale o co tu chodzi? Co o tym wiesz i jaka jest w tym twoja rola?

Roześmiała się, a ja uprzytomniłem sobie, że po raz pierwszy słyszę jej śmiech. Nie była taką zimną, ironiczną kobietą, jak ją sobie wyobrażałem u boku Caine'a.

– Chcę odbić, póki trwa przyływ – powiedziała. – A odpowiedź na twoje pytanie to długa historia. Zajmie nam całą noc. Co wybierzesz, Merlinie? Bezpieczeństwo czy satysfakcję?

– Chciałbym jedno i drugie, ale może po kolei.

– Doskonale. – Zwróciła się do niższego z dwóch służących, tego, którego uderzyłem. – Jarl, wracaj do domu. Rano powiesz mojemu ojcu, że postanowiłam wrócić do Arbor. Wy tłumaczysz, że noc była piękna i miałam ochotę pożeglować, więc wzięłam łódź. Nie wspominaj o Merlinie. Mężczyzna uchylił kapelusza.

– Jak sobie życzysz, pani.

Zawrócił drogą, którą przyszliśmy.

– Chodź – rzuciła Vinta. Ona i drugi, wyższy sługa (miał na imię Drew) poprowadzili mnie między

pomosty, gdzie czekała zacumowana smukła żaglówka.

– Pływałaś już?

– Kiedyś tak. Całkiem sporo.

– To dobrze. Pomożesz nam.

Pomogłem. Niewiele rozmawialiśmy, póki nie odcumowaliśmy, nie postawiliśmy żagli i nie odплыliśmy od pomostu. Drew sterował, a my pracowaliśmy przy żaglach. Później na zmianę pełniliśmy wachty. Wiatr był spokojny. Właściwie niemal idealny. Wyśliznęliśmy się z portu, okrążyliśmy pas przyboju i bez żadnych kłopotów wypłynęliśmy na morze. Zrzuciliśmy płaszcze i przekonałem się, że Vinta ma na sobie ciemne spodnie i grubą koszulę. Bardzo praktyczny kostium, jeśli z góry planowała coś takiego. U pasa, który zdjęła także, wisiał prawdziwy długi miecz, nie żaden wysadzany klejnotami sztylecik. Obserwując jej ruchy odniosłem wrażenie, że potrafi się nim posługiwać. W dodatku kogoś mi przypominała, choć nie mogłem sobie przypomnieć, kto to był. Podobieństwo tkwiło raczej w sposobie gestykulacji i głosie niż wyglądzie. Zresztą, nie miało to większego znaczenia. Gdy tylko łódka weszła na kurs, a ja mogłem popatrzeć na ciemne wody i trochę powspominać, oddałem się myślom o ważniejszych sprawach.

Znałem zasadnicze fakty z jej życia i spotkałem ją kilkakrotnie na gruncie towarzyskim. Wiedziała, że jestem synem Corwina, urodzonym i wychowanym w Dworcach Chaosu; że pochodzę z tej linii, która w starożytności łączyła się z rodem Amberu. Z rozmowy podczas ostatniego spotkania wywnioskowałem, że słyszała, iż na kilka lat wyruszyłem w Cień, żyłem jak tubylec i zdobywałem wykształcenie. Wuj Caine chciał zapewne, by orientowała się w sprawach rodzinnych. To z kolei skłoniło mnie do rozważań, jak poważny był ich związek. Słyszałem, że byli ze sobą przez kilka lat. Dlatego zastanawiałem się teraz, ile właściwie o mnie wiedziała. Czułem się przy niej stosunkowo bezpieczny, ale musiałem zdecydować, ile powiem w zamian za informacje, które najwyraźniej posiadała – informacje o ludziach, którzy na mnie napadli. Miałem przeczucie, że dojdzie do takiej wymiany. Poza wyświadczeniem przysługi przedstawicielowi rodu panującego, co na ogół jest rozsądną inwestycją, nie miała innych powodów, by się mną interesować. Motywem musiała więc być zemsta za śmierć Caine'a. W tej sytuacji skłonny byłem wejść do gry. Zawsze dobrze jest mieć sprzymierzeńca. Musiałem jednak zdecydować, jak dużą część obrazu jej odsłonić. Czy wprowadzać w cały kompleks dziejących się wokół mnie wydarzeń? Raczej nie, choć nie wiedziałem jeszcze, o co poprosi. Prawdopodobnie zechce po prostu włączyć się do polowania, na czymkolwiek miałyby ono polegać. Kiedy spojrzałem przez ramię na podkreślone światłem księżycy ostre rysy jej twarzy, nietrudno było nałożyć na nie maskę Nemezis.

Niedaleko brzegu, gdy płynęliśmy z morską bryzą na wschód, mijając wielką skałę Kolviru, gdy światła Amberu jak klejnoty błyszczały w jej włosach, raz jeszcze poczułem, że ogarnia mnie dziwne uczucie sympatii. Dorastałem wśród mroku i egzotycznych rozbłysków, wśród nieeuklidesowych paradoksów Dworców, gdzie piękno formowało się z bardziej surrealistycznych elementów. Amber pociągał mnie z każdą wizytą bardziej, aż w końcu zrozumiałem, że jest częścią mnie, aż o nim także zacząłem myśleć, jak o domu. Nie chciałem, by Luke szturmował jego zbocza z ludźmi uzbrojonymi w karabiny ani by Dalt próbował partyzanckich ataków w okolicy. Wiedziałem, że stanę do walki, by bronić Amberu.

Na plaży, w pobliżu miejsca, gdzie na wieczny odpoczynek złożono Caine'a, dostrzegłem tańczącą plamę bieli; poruszała się wolno, potem prędszej, by w końcu zniknąć w jakiejś szczelinie zbocza. Powiedziałbym, że to Jednorożec, ale przy tej odległości i szybkości, z jaką wszystko się stało... Nie byłem pewien.

Wkrótce potem chwyciliśmy idealny wiatr, co mnie bardzo ucieszyło. Mimo całodniowej drzemki

byłem zmęczony. Ucieczka z kryształowej groty, spotkanie z Mieszkańcem, pościg powietrznego wiru i jego zamaskowanego władcy – wszystkie te zdarzenia razem płynęły w moich myślach jak zapis niemal ciągłej akcji. A teraz, po niedawnej walce, narastała postadrenalinowa reakcja. Pragnąłem tylko wsłuchiwać się w plusk fal, patrzeć, jak po bakburcie przepływa czarna, poszarpana linia brzegu, albo odwrócić się i spojrzeć na migotliwą powierzchnię morza po sterburcie. Nie chciało mi się myśleć, nie chciało mi się ruszać...

Błada dłoń na moim ramieniu.

– Jesteś zmęczony – usłyszałem.

– Chyba tak – usłyszałem siebie.

– Tu masz swój płaszcz. Może okryjesz się i odpoczniesz? Trzymamy stały kurs. Poradzimy sobie we dwójkę. Już nie jesteś nam potrzebny.

Skinąłem głową i okryłem się.

– Wierzę ci na słowo. Dzięki.

– Jesteś głodny albo spragniony?

– Nie. Zjadłem porządną kolację w mieście.

Nie zabrała dłoni. Podniosłem głowę – uśmiechała się. Po raz pierwszy widziałem jej uśmiech. Czubkami palców drugiej ręki musnęła plamę krwi na mojej koszuli.

– Nie martw się. Zaopiekuję się tobą.

Odpowiedziałem uśmiechem, ponieważ odniosłem wrażenie, że tego właśnie oczekuje. Wtedy ścisnęła mnie za ramię i odeszła, a ja spoglądałem za nią i myślałem, czy nie pominąłem jakiegoś ważnego elementu w ułożonym niedawno równaniu na jej temat. Byłem jednak zbyt zmęczony, by szukać rozwiązań dla nowej niewiadomej.

Maszyneria umysłu zwalniała, zwalniała...

Oparłem plecy o okrężnicę bakburty i spuściłem głowę, kołysany łagodnie przez fale. Półprzymkniętymi oczyma widziałem na gorsie koszuli ciemną plamę. Krew. Tak, krew...

– Pierwsza krew! – zawołał Despil. – To wystarczy! Czy jesteś usatysfakcjonowany?

– Nie! – odkrzyknął Jurt. – Ledwie go drasnąłem!

Zakreślił się na swoim kamieniu i machnął ku mnie trzema szponami trispa. Szykował kolejne natarcie. Z nacięcia na lewym ramieniu płynęła krew, a krople wznosiły się w powietrze i odpływały niby garść rubinów. Uniosłem fondon do wysokiej gardy i opuściłem trisp, trzymany daleko po prawej stronie, lekko wysunięty w przód. Ugiąłem lewe kolano i obróciłem mój kamień o dziewięćdziesiąt stopni wokół naszej wspólnej osi. Jurt natychmiast poprawia własną pozycję i opadł o dwa metry. Wykonałem jeszcze ćwierć obrotu i teraz obaj wisieliliśmy względem siebie głowami w dół.

– Bękarcie Amberu! – wrzasnął. Potrójna świetlna lanca strzeliła z jego broni, rozprysnęła się na jasne, podobne do motyli płatki i wirując spłynęła w dół, w Otchłań Chaosu, nad którą się unosiliśmy.

– Ulżyj sobie – odpowiedziałem i ścisnąłem rękojęść trispa, z jego trzech cienkich jak włos ostrzy uwalniając pulsujące promienie. Wyciągnąłem rękę wysoko, atakując jego łydki.

Odbił promienie fandomem, niemal na granicy dwuipółmetrowego zasięgu. Trisliver potrzebuje prawie trzech sekund na ponowne naładowanie, ale zamarkowałem pchnięcie w twarz, on

odruchowo uniósł fand, a ja uruchomiłem trispa próbując szerokiego cięcia na wysokości kolan. Niskim faradem przełamał sekundowy impuls, strzelił mi w twarz i zatoczył pełny krąg w tył; liczył, że okres ładowania ocali mu plecy. Wyskoczył znowu i wysoko trzymając, fandon, ciął mnie w ramię.

Ale mnie już tam nie było; okrążyłem go, opadłem i zawirowałem wyprostowany. Wyprowadziłem cięcie w odsłonięty bark, był jednak poza zasięgiem. Daleko z prawej, na kamieniu wielkości piłki plażowej, krążył Despil, a z góry opadał szybko mój sekundant, Mandor. Zaciskaliśmy swoje małe kamyki przekształconymi stopami, dryfując na krawędzi wiru w zewnętrznym prądzie Chaosu. Jurt zakreślił się wraz ze mną. Lewym przedramieniem – do którego w łokciu i nadgarstku umocowany jest fandon – wykonywał w poziomie wolne, okrężne ruchy. Metrowa zasłona półprzejrzystej siatki, obciążona u dołu mordem, lśniła w świetle ognia, rozbłyaskującego od czasu do czasu z różnych kierunków. Jurt uniósł trisp do ataku z pozycji średniej i pokazał zęby, chociaż się nie uśmiechał. Krążyliśmy po średnicy trzy metrowego, kreślonego wciąż od nowa kręgu, czekając na lukę w osłonie przeciwnika.

Przechyliłem płaszczyznę swojej orbity, a on natychmiast dopasował swoją, by dotrzymać mi towarzystwa.

Powtórzyłem manewr, on także. Potem zanurkowałem: dziewięćdziesiąt stopni w przód, fandon podniesiony i wysunięty. Obróciłem dłoń i ugiąłem łokieć, atakując szerokim cięciem pod jego gardą.

Zaklął i pchnął, ale odbiłem jego światło, a na jego lewym udzie zakwitły trzy ciemne linie. Trisliver zadaje rany na głębokość mniej więcej dwóch centymetrów; dlatego podczas poważnych starć ulubionymi celami ataku są krtań, oczy, skronie, wewnętrzne części nadgarstków i tętnice udowe. Chociaż wystarczy zadać dostatecznie wiele trafień w zupełnie dowolne miejsca, by pomachać przeciwnikowi na pożegnanie, gdy wśród roju czerwonych bąbelków odpływa do miejsca, skąd nie powraca żaden wędrowiec.

– Krew! -zawołał Mandor, gdy z nogi Jurta pociekły drobne krople. – Czy otrzymaliście satysfakcję, panowie?

– Ja tak – odpowiedziałem.

– A ja nie! – krzyknął Jurt, oglądając się za mną. Dryfowałem na jego lewą flankę i kręciłem się w prawo. – Zapytaj jeszcze raz, kiedy poderżnę mu gardło!

Jurt zaczął mnie chyba nienawidzić, zanim jeszcze nauczył się chodzić, z sobie tylko znanych powodów. Ja wprawdzie nie podzielałem tego uczucia, jednak polubienie go przekraczało moje możliwości. Zawsze dobrze nam się układało z Despilem, choć częściej brał stronę Jurta niż moją. To zrozumiałe. Byli pełnymi braćmi, a Jurt był najmłodszy.

Trisp Jurta rozbłysnął. Odbiłem światło i ripostowałem. Rozproszył moje promienie i wykręcił w bok. Podążyłem za nim. Nasze trispy zajaśniały równocześnie, oba ataki trafiły w gardę i przestrzeń między nami wypełniła się płatkami blasku. Uderzyłem znowu, kiedy tylko skończyłem ładowanie, tym razem nisko. On pchnął z góry i jeszcze raz oba sztychy skończyły w landach.

Podpłynęliśmy bliżej.

– Jurt – zacząłem. – Jeśli jeden z nas zabije drugiego, skażą go na banicję. Skończmy z tym.

– Warto – odpowiedział. – Sądziysz, że o tym nie myślałem?

I ciął mnie w twarz. Odruchowo podniosłem obie ręce, fandon i trisp, i wystrzeliłem, gdy spływała ulewa świetlnych błysków. Usłyszałem krzyk. Opuściłem fandon. Jurt zgiął się wpół, a jego trisp odpływał w pustkę. Podobnie jak jego lewe ucho, ciągnące czerwoną nitkę pękającą natychmiast w pojedyncze paciorki. Fragment skóry na głowie także zwisał luźno i Jurt próbował

wcisnąć go na miejsce. Mandor i Despil już do niego podlatywali.

– Pojedynek zakończony! – krzykali obaj, a ja obrotem głowy zabezpieczyłem trispa.

– Jaka rana? – zapytał mnie Despil.

– Nie wiem.

Jurt pozwolił mu się zbadać.

– Wyjdzie z tego – oznajmił po chwili Despil. – Ale mama będzie wściekła.

Pokiwałem głową.

– To był jego pomysł – przypomniałem.

– Wiem. Chodźmy stąd. Wracajmy.

Pomógł Jurtowi sterować w stronę wypustu Krawędzi; Mandor płynął za nimi niby złamane skrzydło. Ja wlokłem się z tyłu. Mandor, syn Sawalla, mój brat przyrodni, położył mi rękę na ramieniu.

– Aż tak ci na nim nie zależy – powiedział. – Wiem.

Przytaknąłem i zagryzłem wargę. Mimo wszystko Despil miał rację co do naszej matki, lady Dary. Faworyzowała Jurta, a on już potrafi ją jakoś przekonać, że to wszystko moja wina. Miałem czasem wrażenie, że bardziej ode mnie kocha synów Sawalla, starego diuka Pogranicza, którego poślubiła, kiedy zrezygnowała już z mojego taty. Słyszałem kiedyś, jak mówiono, że przypominam jej ojca, do którego byłem bardzo podobny. Znowu pomyślałem o Amberze i innych miejscach daleko w Cieniu; i poczułem zwykły dreszcz lęku, gdyż przypomniało mi to wijący się Logrus; wiedziałem, że będzie moim biletem do nieznanych krain. I wiedziałem, że wejść na niego szybciej, niż początkowo planowałem.

– Chodźmy do Suhuya – zaproponowałem Mandorowi, gdy razem wznieśliśmy się nad Otchłanią. – Są sprawy, o które muszę go zapytać.

Kiedy w końcu trafiłem do college'u, nie poświęcałem zbyt wiele czasu na pisanie listów do domu.

– ...domu – mówiła Vinta Bayle. – To już niedaleko. Napij się wody.

Podziała mi manierkę.

Wypiłem trochę i oddałem jej.

– Dzięki.

Wyprostowałem skulone ramiona i odetchnąłem chłodnym, morskim powietrzem. Poszukałem księżycy i znalazłem go daleko za plecami.

– Naprawdę byłeś daleko – stwierdziła.

– Mówiłem przez sen?

– Nie.

– To dobrze.

– Złe sny?

Wzruszyłem ramionami.

– Mogły być gorsze.

– Może rzeczywiście jęknąłeś cicho, tuż przed obudzeniem.

– Aha.

Daleko przed nami dostrzegłem niewielkie światełko na końcu ciemnego cypla. Skinęła w tamtą stronę.

– Kiedy miniemy to miejsce – wyjaśniła – zobaczymy zatokę Baylesport. Tam znajdziemy śniadanie i wierzchowce.

– Jak to daleko od Arbor?

– Jakieś trzy mile. Łatwa jazda.

Została przy mnie jeszcze chwilę. W milczeniu spoglądała na linię brzegu i morze. Po raz pierwszy zwyczajnie siedzieliśmy obok siebie; ręce miałem wolne i nie zajęte myśli. A mój czarodziejski zmysł przebudził się w tej krótkiej chwili. Odniosłem wrażenie, że znalazłem się w obecności magii. Nie jakiegoś prostego zaklęcia czy aury magicznego obiektu, jaki mogła nosić przy sobie Vinta, lecz czegoś niezwykle subtelnego. Przywołałem swoje spojrzenie i zwróciłem je ku niej. Nie dostrzegłem niczego wyraźnego, lecz ostrożność nakazywała sprawdzić dokładniej. Sięgnąłem zmysłami poprzez Logrus...

– Nie rób tego, proszę – powiedziała.

Właśnie popełniłem gafę. Takie sondowanie innego czarodzieja uważane jest powszechnie za nietakt.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że jesteś adeptką Sztuki.

– Nie jestem. Ale jestem wyczulona na jej działanie.

– W takim razie nadawałabyś się.

– Mam inne zainteresowania.

– Myślałem, że może ktoś rzucił na ciebie urok – wyjaśniłem. – Próbowałem tylko...

– Cokolwiek znalazłeś – odparła – być powinno. Zostawmy to.

– Jak sobie życzysz. Przepraszam.

Musiała jednak wiedzieć, że nie mogę na tym poprzestać. Nieznana magia reprezentowała potencjalne zagrożenie. Mówiła więc dalej:

– To nic, co mogłoby ci zaszkodzić. Zapewniam. Wręcz przeciwnie.

Czekałem, ale nic więcej nie miała do powiedzenia. Na razie przestałem więc myśleć o tej sprawie. Znowu spojrzałem na latarnię. W co się pakuję płynąc z Vintą? Skąd wiedziała, że wróciłem do miasta, nie mówiąc już o tym, że wybiorę się w Aleję Śmierci? Musiała się domyślać, że gnębią mnie te pytania. Jeśli mieliśmy sobie wierzyć, powinna na nie odpowiedzieć.

Popatrzyłem na nią. Uśmiechała się.

– Wiatr się zmienia pod osłoną cypla latarni – oznajmiła wstając. – Będzie sporo pracy.

– Mogę ci pomóc?

– Za chwilę. Zawołam, kiedy będziesz potrzebny.

Przyglądałem się, jak odchodzi... Odniosłem przedziwne wrażenie, że także mnie obserwuje, choćby patrzyła w inną stronę. I uświadomiłem sobie, że to uczucie towarzyszy mi już dość dawno, jak morze.

Niebo pojaśniało od wschodu, nim przybiliśmy do nabrzeża, uporządkowaliśmy pokład i ruszyliśmy szeroką, brukowaną drogą w stronę gospody ze smugą dymu nad kominem. Po solidnym śniadaniu światło poranka zalało świat z pełną mocą. Przeszliśmy do stajni i wypożyczyliśmy trzy spokojne wierzchowce na drogę do posiadłości ojca Vinty.

Był jeden z tych czystych, rześkich dni jesieni, coraz radszych i cenniejszych w miarę jak rok chyli się ku końcowi. Wreszcie trochę odpocząłem, a w gospodzie mieli kawę, co w Amberze poza pałacem nie zdarza się często. Z rozkoszą wypilem filiżankę. Przyjemnie było tak jechać wolno przez pola, wdychać zapachy ziemi, patrzeć, jak rosa znika z roziskrzonych pól i liści zwracających się ku słońcu, czuć dotyk wiatru, słyszeć i widzieć kluczy ptaków zdążających do Słonecznych Wysp na południu.

Jechaliśmy w milczeniu; nie zdarzyło się nic, co by odmieniło nastrój. Wspomnienia smutku, zdrady, cierpienia i przemocy są silne; ale bledną z czasem. Za to interludia, takie jak to, kiedy

zamykam oczy i spoglądam na kalendarz moich dni, żyją dłużej; widzę siebie jadącego obok Vinty Bayle pod porannym niebem, tam gdzie domy i płoty są z kamienia, gdzie słychać wołanie morskich ptaków, poprzez krainę winorośli na wschód od Amberu. Sierp czasu nie ma dostępu do tego zakamarka mojego serca.

Kiedy dotarliśmy do rezydencji Arbor, przekazaliśmy konie pod opiekę stajennych Bayle'a, którzy mieli dopilnować ich powrotu do stajni w miasteczku. Drew odszedł do swojej kwatery, a ja ruszyłem z Vintą do wielkiego domu na szczycie wzgórza. Roztaczał się stamtąd przepiękny widok na skalne doliny i zbocza, gdzie hodowano winorośle. Kiedy zmierzaliśmy do wejścia, podbiegło wielkie stado psów i próbowało nawiązać znajomość. Jeszcze wewnątrz słyszeliśmy czasem ich głosy. Drewno i kute żelazo, szare kamienne podłogi, wysokie belkowane stropy, rzędy okien, portrety rodzinne, kilka niewielkich gobelinów w barwach łososia, brązu, kości słoniowej i błękitu, kolekcja starej, oksydowanej broni, pasma sadzy na szarych kamieniach wokół kominka... Przeszliśmy przez wielki hall na schody.

– Zajmij ten pokój – powiedziała otwierając drzwi z ciemnego drewna.

Skinąłem głową, wszedłem i rozejrzałem się. Był przestronny, duże okna wyglądały na południowe zbocza doliny. Większość służby wyniosła się na jesień do miejskiej rezydencji barona.

– Tam jest łazienka – dodała Vinta, wskazując drzwi po lewej stronie.

– Świetnie. Dzięki. Dokładnie tego mi trzeba.

– Zatem odzyskuj siły. – Podeszła do okna i spojrzała w dół. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, za godzinę spotkamy się na tarasie.

Podszedłem i wyrzałem na wielki, brukowany plac, ocieniony wiekowymi drzewami – ich liście, żółte już, czerwone i brunatne, zalegały patio. Wokół były puste teraz klomby. Stały stoły i krzesła, a między nimi dobrane ze smakiem krzewy w donicach.

– Doskonale.

Odwróciła się do mnie.

– Życzysz sobie czegoś szczególnego?

– Gdybyście mieli trochę kawy, nie odmówiłbym jednej czy dwóch filiżanek.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Uśmiechnęła się i jakby pochyliła w moją stronę. Miałem wrażenie, że oczekuje, bym ją objął. Lecz gdybym się mylił, sytuacja stałaby się odrobinę niezręczna. A w tych okolicznościach nie zależało mi na zbytniej zażyłości. Nie wiedziałem przecież, jaką grę próbuje rozegrać. Dlatego odpowiedziałem uśmiechem i ścisnąłem ją za rękę.

– Dziękuję – powiedziałem i cofnąłem się. – Sprawdzę teraz, co z kapielą.

Odprowadziłem ją do wyjścia i zamknąłem drzwi.

Przyjemnie było zdjąć buty. A jeszcze przyjemniej odmakać przez długi, ciepły czas.

Później, w świeżo wyczarowanym kostiumie, zszedłem na dół i odszukałem boczne drzwiczki, które z kuchni prowadziły na patio. Vinta, także wykąpana i przebrana, w brązowych spodniach do konnej jazdy i luźnej beżowej bluzie, siedziała przy stole na wschodnim krańcu tarasu.

Przygotowano dwa nakrycia, zauważyłem też dzbanek z kawą i tacę owoców i serów. Podszedłem; liście szeleściły mi pod stopami. Usiadłem.

– Jesteś zadowolony? – spytała.

– Całkowicie.

– Zawiadomiłeś Amber, gdzie jesteś?

Przytaknąłem. Random trochę się zdenerwował, że wyszedłem bez uprzedzenia, ale przecież mi tego nie zabronił. Uspokoił się, kiedy wyjaśniłem, że nie wyjechałem zbyt daleko. W końcu przyznał

nawet, że postąpiłem rozsądnie znikając w tak niezwykły sposób. "Miej oczy otwarte i informuj mnie o wszystkim", brzmiały jego ostatnie słowa.

– To dobrze. Kawy?

– Tak, proszę.

Nalała mi i wskazała tacę. Wybrałem jabłko i nadgryzłem je.

– Różne rzeczy zaczynają się dziać ostatnio – stwierdziła dość enigmatycznie.

– Trudno zaprzeczyć – przyznałem.

– A twoje problemy bywają najrozmaitszej natury.

– Istotnie.

Wypiła łyk kawy.

– Czy miałbyś ochotę opowiedzieć mi o nich? – spytała w końcu.

– Są odrobinę nazbyt rozmaite – odparłem. – Nocą ty także wspomniałaś o jakiejś zbyt długiej historii.

Uśmiechnęła się blado.

– Uważasz zapewne, że nie masz powodów, by ufać mi bardziej, niż to konieczne – rzekła. – Nie dziwię się. Po co obdarzać zaufaniem kogoś, kogo nie musisz, gdy nadciąga niebezpieczeństwo, które nie do końca rozumiesz? Czy tak?

– To chyba rozsądna strategia.

– A jednak muszę cię zapewnić, że najważniejsze jest dla mnie twoje bezpieczeństwo.

– Sądzisz może, że dysponuję środkami, by dotrzeć do mordercy Caine'a?

– Tak – przyznała. – A ponieważ może stać się także twoim zabójcą, chciałabym go znaleźć.

– Próbujesz mnie przekonać, że nie zemsta jest twoim głównym celem?

– Dokładnie. Wolę raczej ochraniać żywych, niż mścić się za umarłych.

– To chyba czysto akademickie rozróżnienie, gdyby w obu wypadkach chodziło o tę samą osobę.

Czy sądzisz, że tak właśnie jest?

– Nie jestem pewna, czy to Luke wysłał wczoraj za tobą tych ludzi – stwierdziła.

Położyłem jabłko obok filiżanki i napiłem się kawy.

– Luke? – zapytałem. – Jaki Luke? Co możesz wiedzieć o jakimś Luke'u?

– Lucas Raynard – odparła spokojnie. – Wyszkolił grupę najemników na pustyni Pecos w Nowym Meksyku. Zaopatrzył ich w specjalną amunicję, której można używać w Amberze, a potem odesłał do domu. Mieli oczekiwać na jego rozkaz, by zebrać się i ruszyć tutaj. Zamierzali spróbować czegoś, co wiele lat temu nie udało się twojemu ojcu.

– Niech to szlag! – mruknąłem.

To wiele wyjaśniało... choćby to, dlaczego Luke zjawił się w Hiltonie w Santa Fe ubrany w wojskowy dres, z historyjką o zamiłowaniu do wycieczek po Pecos i z tym niezwykłym nabojem, który znalazłem u niego w kieszeni. A także liczne wyprawy, jakie podejmował w te okolice – bardziej liczne, niż wymagałyby tego interesy. Coś takiego nigdy nie przyszło mi do głowy, ale wiązało się sensownie ze wszystkim, czego dowiedziałem się od tamtej pory.

– W porządku – ustąpiłem. – Rozumiem, że znasz Luke'a Raynarda. Mogłabyś mi wytłumaczyć, jak się tego dowiedziałeś?

– Nie.

– Nie?

– Nie mogłabym. Obawiam się, że będę musiała zagrać według twoich zasad i wymieniać informację za informację. Kiedy się nad tym zastanawiam, sądzę, że tak będzie dla mnie najwygodniej. Co ty na to?

– Każde z nas w każdej chwili może zrezygnować?

– Co przerwie wymianę, chyba że zmienimy umowę.

– Zgoda.

– Czyli ty jesteś mi winien. Wczoraj wróciłeś do Amberu. Gdzie byłeś?

Westchnąłem i ugryzłem kawałek jabłka.

– Wiele żądasz – stwierdziłem w końcu. – Pytanie ma szeroki zakres. Byłem w wielu miejscach.

Wszystko zależy od tego, jak daleko zechcesz się cofnąć.

– Powiedzmy: od mieszkania Meg Devlin do wczoraj – odparła.

Zakrztusiłem się.

– Dobrze, wygrałaś. Masz znakomite Źródła informacji – przyznałem. – Ale o tym musiała ci powiedzieć Fiona. Współdziałałaś z nią jakoś, prawda?

– To nie twoja kolej na stawianie pytań – przypomniała. – Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje.

– No dobrze. Kiedy wyszedłem od Meg, Fi i ja wróciliśmy do Amberu. Następnego dnia Random wysłał mnie, żebym wyłączył maszynę, którą zbudowałem. Nazywa się Ghostwheel. Nie powiodło mi się, ale po drodze spotkałem Luke'a. Pomógł mi w ciężkiej sytuacji. Potem, w rezultacie pewnego nieporozumienia z moim tworem, musiałem użyć niezwykłego Atutu, by przenieść siebie i Luke'a w bezpieczne miejsce. Później Luke uwięził mnie w kryształowej grocie...

– Aha! – zawołała.

– Mam przerwać w tym miejscu?

– Nie, mów dalej.

– Byłem więźniem przez jakiś miesiąc, chociaż minęło ledwie kilka dni czasu Amberu. Wypuściło mnie dwóch facetów pracujących dla pewnej damy imieniem Jasra. Posprzeczałem się z nimi trochę, z damą także, i przeatutowałem do San Francisco, do mieszkania Flory. Tam złożyłem wizytę w lokalu, gdzie miało miejsce morderstwo...

– U Julii?

– Tak. Odkryłem magiczną bramę, którą zdołałem otworzyć. Przeszedłem nią do miejsca zwanego Twierdzą Czterech Światów. Trwała tam bitwa. Atakującymi dowodził prawdopodobnie człowiek imieniem Dalt, swego czasu cieszący się w naszych okolicach pewną sławą. Później ścigał mnie magiczny wir i przyzywał zamaskowany czarnoksiężnik. Wyatutowałem się i przybyłem tutaj, właśnie wczoraj.

– To już wszystko?

– W streszczeniu, tak.

– Niczego nie opuściłeś?

– Owszem. Na przykład na progu bramy spotkałem Mieszkańca, ale jakoś udało mi się przejść.

– Nie, to należy do zestawu. Jeszcze coś?

– Hmm... Tak, były jeszcze dwa dość dziwaczne połączenia, zakończone kwiatami.

– Opowiedz mi o nich.

Opowiedziałem. Kiedy skończyłem, pokręciła głową.

– Tego nie rozumiem.

Skończyłem kawę i jabłko. Nalała mi drugą filiżankę.

– Teraz moja kolej – oświadczyłem. – Co miało znaczyć to "aha", kiedy wspomniałem o kryształowej grocie?

– To był błękitny kryształ, prawda? Blokował twoją moc?

– Skąd wiesz?

– Miał ten sam kolor co kamień w pierścieniu, który wczoraj w nocy zabrałeś temu człowiekowi.

– Tak.

Wstała i obeszała stół, zatrzymała się na chwilę, wreszcie wskazała w okolice mojego biodra.

– Czy mógłbyś wyłożyć na stół wszystko, co masz w tej kieszeni?

Uśmiechnąłem się.

– Pewnie. Skąd wiedziałaś?

Nie odpowiedziała, ale to było już inne pytanie. Wyjąłem z kieszeni cały zestaw błękitnych kamieni: odpryski z jaskini, wyrwany rzeźbiony guzik, pierścień... Ułożyłem wszystko na stole.

Podniosła guzik, przyjrzała się, wreszcie skinęła głową.

– Tak, to także.

– Co także?

Zignorowała pytanie. W kropli kawy rozlanej na jej spodeczku umoczyła palec wskazujący i wykreśliła wokół kamieni trzy kręgi, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Potem skinęła głową raz jeszcze i wróciła na miejsce. Przywołałem widzenie na czas, by zobaczyć, że buduje wokół nich klatkę sił. Kiedy się przyglądałem, miałem wrażenie, że kamienie wydychają ledwie widoczne, uwięzione wewnątrz kręgów pasma błękitnego dymu.

– Mówiłaś chyba, że nie jesteś czarodziejką.

– Nie jestem – potwierdziła.

– Nie będę marnował pytania. Ale odpowiedz mi na poprzednie. Jakie znaczenie mają te błękitne kamienie?

– Są powiązane z grota i ze sobą nawzajem – wyjaśniła. – Po krótkim przeszkoleniu ktoś może wziąć jeden z nich i po prostu iść, podążając za słabym przyciąganiem psychicznym. W końcu trafi do groty.

– Chcesz powiedzieć: przez Ciebie?

– Tak.

– Intrygujące, ale jakoś nie dostrzegam użyteczności tego zjawiska.

– To nie wszystko. Jeśli zignorujesz przyciąganie groty, wyczujesz pociągnięcia wtórne. Naucz się jeszcze rozróżniać charakterystyki poszczególnych kamieni a wszędzie wytropisz ich właścicieli.

– To już bardziej przydatne. Myślisz, że tak właśnie odnaleźli mnie ci ludzie wczoraj w nocy?

Ponieważ miałem pełną kieszeń tych kamieni?

– To na pewno pomogło. Jednak w twoim przypadku nie były już chyba konieczne.

– Dlaczego nie?

– Wywierają pewien dodatkowy efekt. Każdy, kto miał je w posiadaniu przez pewien czas, dostraja się do nich. Można je wyrzucić, ale dostrojenie pozostaje. Taką osobę można wysledzić, jakby wciąż miała kamień. Ty masz już pewnie własną charakterystykę.

– To znaczy, że jestem naznaczony nawet teraz, bez nich?

– Tak.

– Ile czasu trzeba, żeby to minęło?

– Nie jestem pewna, czy to w ogóle możliwe.

– Musi być jakaś metoda.

– Nie wiem na pewno, ale przychodzi mi do głowy kilka możliwych rozwiązań.

– Na przykład?

– Przejście Wzorca Amberu albo pokonanie Logrusu Chaosu. Jak się wydaje, one praktycznie rozrywają człowieka na kawałki i składają z powrotem w czystszej formie. Znane są przypadki, kiedy usunęły bardzo dziwne stany. O ile pamiętam, właśnie Worzec przywrócił pamięć twojemu ojcu.

– Tak... Nie pytam nawet, skąd wiesz o Logrusie. Możesz mieć rację. I jak często bywa, to zbyt niewygodne, żeby mogło mi się przydać. Czyli uważasz, że mogą właśnie mnie namierzać, z kamieniami czy bez?

– Tak.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytałem.

– Potrafię wyczuć. To było dodatkowe pytanie. Ale to jedno przyznam ci za darmo, dla dobra transakcji.

– Dziękuję. Rozumiem, że teraz twoja kolej.

– Zanim zginęła, Julia spotykała się z okultystą, niejakim Victorem Melmanem. Czy wiesz dlaczego?

– Studiowała z nim, szukała dróg rozwoju... tak przynajmniej twierdził facet, który ją wtedy znał. To było już po naszym zerwaniu.

– Nie całkiem o to mi chodziło. Czy wiesz, dlaczego szukała dróg rozwoju?

– Brzmi to dla mnie jak drugie pytanie, ale może jestem ci winien odpowiedź. Człowiek, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że ją przestraszył. Wierzyła, że posiadam jakąś szczególną moc, więc zaczęła szukać sposobów rozwinięcia swojej. W obronie własnej.

– Dokończ – poprosiła.

– Nie rozumiem.

– To nie była pełna odpowiedź. Czy naprawdę dałeś jej powód, by wierzyła w to i bała się ciebie?

– No cóż, chyba tak. A teraz moje pytanie: skąd właściwie dowiedziałaś się o Julii?

– Byłam tam – odparła. – Znałam ją.

– Mów dalej.

– To już wszystko. Teraz moja kolej.

– Nie jest to wyczerpująca odpowiedź.

– Ale niczego więcej się nie dowiesz. Uznaj ją albo nie, jak chcesz.

– Zgodnie z naszą umową, mogę przerwać wymianę.

– To prawda. Zrobisz to?

– A czego chciałabyś się teraz dowiedzieć?

– Czy Julia rozwinęła w sobie te zdolności, których poszukiwała.

– Mówiłem już, że przestaliśmy się widywać, zanim wplątała się w te sprawy. Skąd mógłbym wiedzieć?

– Znalazłeś w jej mieszkaniu portal. Tamtędy prawdopodobnie przedostała się bestia, która ją zabiła. Dwa pytania, nie po to, żebyś na nie odpowiadał, ale żebyś się zastanowił. Przede wszystkim: komu zależało na jej śmierci? I czy metoda zabójstwa nie wydaje ci się dziwna? Potrafię sobie wyobrazić wiele prostszych sposobów pozbycia się kogoś.

– Masz rację – przyznałem. – Dużo łatwiej posłużyć się bronią niż magią. A dlaczego, mogę się tylko domyślać. Zakładałem, że była to pułapka na mnie, a śmierć Julii mieściła się w schemacie dorocznych prezentów na trzydziestego kwietnia. Czy o tym także wiesz?

– Zostawmy tę kwestię na później. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że każdy czarodziej ma swój styl, tak samo jak malarz, pisarz czy muzyk. Kiedy trafiłeś na bramę w mieszkaniu Julii, czy dostrzegłeś coś, co moglibyśmy nazwać podpisem autora?

– Nic szczególnego sobie nie przypominam. Naturalnie, spieszyłem się, żeby się przebić. Nie miałem czasu na podziwianie estetyki obiektu. Ale nie, nie potrafię powiązać przejścia ze stylem kogokolwiek, kogo prace bym znał. Do czego zmierzasz?

– Zastanawiałam się właśnie, czy zdołała wykształcić u siebie pewne umiejętności tego typu, a potem przypadkiem sama otworzyła przejście i poniosła konsekwencje.

– Absurd!

– Jak chcesz. Próbuję tylko znaleźć jakieś wytłumaczenie. Rozumiem zatem, że nigdy nie dostrzegłeś u niej niczego, co wskazywałoby na ukryte zdolności magiczne?

– Nie, niczego takiego sobie nie przypominam.

Dopiłem kawę i nalałem sobie znowu.

– Jeśli sądzisz, że to nie Luke teraz na mnie poluje, to kto? – zapytałem.

– Kilka lat temu zorganizował ci serię pozorowanych wypadków.

– Tak. Niedawno przyznał się do tego. Powiedział też, że po pierwszych kilku próbach zrezygnował.

– To się zgadza.

– Zwariować można... Nie mam pojęcia, co wiesz, a czego nie wiesz.

– Dlatego właśnie rozmawiamy, prawda? To twój pomysł, żeby załatwić to w taki sposób.

– Wcale nie! Ty zaproponowałaś wymianę!

– Dziś rano tak. Ale pomysł należy do ciebie. Myślę tu o pewnej rozmowie telefonicznej w domku pana Rotha...

– Ty? Ten niewyraźny głos w słuchawce? Jak to możliwe?

– Wolisz posłuchać o tym czy raczej o Luke'u?

– O tym! Nie, o Luke'u! O jednym i drugim, do diabła!

– Sam widzisz, że rozsądek nakazuje trzymać się wcześniejszych ustaleń. Porządek nikomu jeszcze nie zaszkodził.

– Zgoda, przekonałaś mnie po raz kolejny. Opowiedz o Luke'u.

– Jako obserwator odniosłam wrażenie, że zaprzestał zamachów, gdy tylko lepiej cię poznał.

– To znaczy w okresie, kiedy się zaprzyjaźniliśmy? Nie udawał wtedy?

– Wtedy nie wiedziałam jeszcze na pewno. Bez wątpienia przez całe lata aprobował zamachy na ciebie... Ale wierzę, że udaremnił niektóre.

– Więc kto je organizował, kiedy Luke się wycofał?

– Rudowłosa dama, z którą jest chyba spokrewniony.

– Jasra?

– Tak, tak ma na imię. Wciąż nie wiem o niej tyle, ile bym chciała. Masz coś na jej temat?

– Chyba zachowam to na poważną wymianę.

Po raz pierwszy spojrzała na mnie mrużąc oczy i zaciskając zęby.

– Czy nie rozumiesz, Merlinie, że próbuję ci pomóc?

– Rozumiem tylko, że zależy ci na informacjach, które posiadam. W porządku. Zgadzam się na wymianę, ponieważ ty także wiesz o kilku ciekawych sprawach. Muszę jednak przyznać, że twoje motywy wydają mi się dość niejasne. Skąd, u diabła, wzięłaś się w Berkeley? Co planowałaś, dzwoniąc do mnie w domu Billa? Na czym polega twoja moc, o której twierdzisz, że nie jest magią? Jak...

– To już trzy pytania – odparła. – I początek czwartego. Może wolisz spisać je wszystkie, a ja zrobię to samo? Potem możemy oboje wrócić do swoich pokojów i zdecydować, na które z nich najbardziej chcemy poznać odpowiedzi.

– Nie. Grajmy dalej. Ale rozumiesz chyba, dlaczego chcę się tego wszystkiego dowiedzieć. Dla mnie to kwestia przetrwania. Z początku myślałam, że zależy ci na informacjach prowadzących do zabójcy Caine'a. Ale ty twierdzisz, że nie. I nie chcesz zdradzić prawdziwych motywów.

– Jak to nie? Robię to, bo chcę cię chronić!

– Doceniam to uczucie. Ale dlaczego? Kiedy się dobrze zastanowić, prawie mnie nie znasz.

– Mimo to takie są moje motywy i nie będę dłużej tego tłumaczyć. Uwierz albo nie.

Wstałem i zacząłem spacerować po patio. Nie miałem ochoty oddawać informacji, która mogła się okazać kluczowa dla bezpieczeństwa mojego, a w rezultacie i Amberu – chociaż trzeba przyznać, że jak dotąd, wymiana była opłacalna. To, co powiedziała dotychczas Vinta, brzmiało rozsądnie. Nawiasem mówiąc, ród Bayle'ów od dawna znany był ze swojej lojalności wobec Korony, cokolwiek była ona warta. Niepokoiło mnie właściwie tylko jedno: upierała się, że nie chodzi jej o zemstę. Było to bardzo nieamberowskie podejście. Poza tym – jeśli w ogóle potrafiła ocenić, co wyda mi się prawdopodobne – wystarczyło tylko przyznać, że chce krwi, a uznałbym jej troskę za zrozumiałą. Kupiłbym całą historię i niczego się w niej nie doszukiwał. A co mi zaproponowała? Ogólne nic i tajne motywacje... Co mogło oznaczać, że mówi prawdę. Rezygnacja z wygodnego kłamstwa na korzyść tej niezbyt wiarygodnej wersji mogła być dowodem szczerości. A najwyraźniej wiedziała jeszcze sporo...

Usłyszałem cichy grzechot na stole. Z początku myślałem, że to Vinta demonstruje zniecierpliwienie bębniąc palcami po blacie. Lecz kiedy się obejrzałem, siedziała nieruchomo i nawet na mnie nie patrzyła. Podeszedłem bliżej, szukając Źródła tego dźwięku. Pierścień, odpryski błękitnych kamieni, a nawet guzik podskakiwały na stole, jakby z własnej woli.

– Ty to robisz? – spytałem.

– Nie.

Kamień w pierścieniu trzasnął i wyskoczył z mocowania.

– Więc co?

– Przerwałam połączenie – wyjaśniła. – Sądzę, że coś próbuje je przywrócić, ale bezskutecznie.

– Jeśli nawet, to jestem dostrojony i nie potrzebują ich, żeby mnie znaleźć.

– Być może działa tu więcej niż jedna grupa – zauważyła. – Powinnam chyba wysłać sługę do miasta i kazać mu wrzucić to wszystko do morza. Jeśli ktoś zechce tam za nimi podążyć, proszę bardzo.

– Te odpryski powinny doprowadzić z powrotem do groty, a pierścień do zabitego – stwierdziłem.

– Ale wolałbym jeszcze nie wyrzucać guzika.

– Dlaczego? Jest wielką niewiadomą.

– Dokładnie. Ale te rzeczy powinny działać w obie strony, prawda? To oznacza, że mogę wykorzystać guzik i znaleźć drogę do tego miotacza kwiatów.

– To może być niebezpieczne.

– Na dłuższą metę rezygnacja może się okazać jeszcze bardziej niebezpieczna. Nie. Całą resztę możesz wyrzucić do morza, ale guzik zostaje.

– Dobrze. Na razie zablokuję je dla ciebie.

– Dzięki. Jasra jest matką Luke'a.

– Chyba żartujesz!

– Nie.

– To wyjaśnia, dlaczego nie przyciskał jej w sprawie późniejszych trzydziestych kwietnia. Fascynujące! Otwiera zupełnie nowe pola domysłów.

– Podzielisz się nimi?

– Później, później. Tymczasem zajmę się tymi kamieniami.

Sięgnęła do kręgu i chwyciła je. Przez moment zdawały się tańczyć w jej dłoni. Wstała.

– Hm... guzik – przypomniałem.

– Tak.

Schowała guzik do kieszeni, a pozostałe trzymała w ręku.

– Zestrosisz się, jeśli będziesz tak przechowywać ten guzik – ostrzegłem.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Są powody. Przepraszam teraz. Poszukam pojemnika na pozostałe kamienie, a potem kogoś, kto je przewiezie.

– Czy ta osoba się nie zestroi?

– To wymaga czasu.

– Rozumiem.

– Napij się jeszcze kawy... albo zjedz coś.

Odeszła. Zjadłem kawałek sera. Próbowałem ocenić, czy nasza rozmowa więcej dostarczyła odpowiedzi czy nowych pytań. I usiłowałem dołożyć do starej łamigłówki kilka nowych klocków.

– Ojczy.

Obejrzałem się, szukając tego, kto to powiedział. Nie znalazłem nikogo.

– Tutaj, niżej.

Na pobliskim klombie, pustym, jeśli nie liczyć kilku suchych łodyg i liści, dostrzegłem krążek światła wielkości monety. Poruszył się i tym zwrócił moją uwagę.

– Ghost? – zapytałem.

– Aha – dobiegła spomiędzy liści odpowiedź. – Czekałem, aż zostaniesz sam. Nie bardzo ufam tej kobiecie.

– Dlaczego nie?

– Nie skanuje normalnie, jak inni ludzie. Nie wiem, na czym to polega. Ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać.

– Więc o czym?

– No wiesz... czy mówiłeś poważnie, kiedy powiedziałeś, że nie chcesz mnie wyłączyć?

– Rany! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem! Twoja edukacja i w ogóle... I taszczenie wszystkich twoich części do takiego miejsca, gdzie byłbyś bezpieczny! Jak możesz o to pytać?

– Sam słyszałem, jak Random ci to zlecał...

– Ty też nie robisz wszystkiego, co ci każą, prawda? Zwłaszcza jeśli chodzi o ataki na mnie, kiedy chcę tylko sprawdzić parę programów. Należy mi się chyba odrobina szacunku!

– Ee... no tak. Wiesz, przykro mi.

– Powinno ci być przykro. Miałem przez ciebie masę kłopotów.

– Szukałem cię od paru dni i nigdzie nie mogłem znaleźć.

– Kryształowe groty to nic przyjemnego.

– Nie mam zbyt wiele czasu... – Światło zamigotało, zbladło niemal do granic widzialności i znowu rozbłysło. – Odpowiedz mi szybko na jedno pytanie?

– Strzelaj.

– Ten człowiek, który był z tobą, kiedy tu przyszedłeś... i odszedłeś... Taki duży, rudowłosy?

– Luke. Co z nim?

– Mogę mu zaufać? – głos Ghosta był słaby, ledwie słyszalny.

– Nie! – wrzasnąłem. – To idiotyczny pomysł!

Ghost zniknął i nie wiedziałem, czy słyszał moją odpowiedź.

– Co się dzieje?

Głos Vinty, gdzieś z góry.

– Kłótnia z towarzyszem zabaw z wyobraźni! – zawołałem.

Nawet z tej odległości dostrzegłem zdziwienie na jej twarzy. Rozglądała się, aż nabrała przekonania, że naprawdę jestem sam. Skinęła głową.

– Aha – mruknęła. I dodała: – Zejdę za chwilę.

– Nie ma pośpiechu – zapewniłem.

Gdzie można odnaleźć mądrość i gdzie znaleźć zrozumienie? Gdybym wiedział, poszedłbym tam od razu. W tej chwili stałem raczej pośrodku wielkiej mapy, wśród obszarów, gdzie czały się wizerunki szczególnie paskudnych zmiennych losowych. Doskonałe miejsce, moim zdaniem, żeby pogadać samemu ze sobą. I Wróciłem do środka, żeby skorzystać z toalety. Za dużo tej kawy...

Rozdział 6

No cóż, może.

To znaczy z Julią.

Siedziałem sam w pokoju przy świecy i myślałem. Vinta poruszyła pewne wspomnienia, które dzięki niej wypłynęły na powierzchnię.

To zdarzyło się później, kiedy nie spotykaliśmy się już tak często...

Poznałem Julię na wykładach z metod numerycznych. Zaczęliśmy się spotykać, najpierw dość rzadko: kawa po zajęciach i takie rzeczy. Potem częściej i wkrótce sprawa stała się poważna. Teraz kończyła się tak, jak zaczęła: po trochu...

Wychodziłem z supermarketu z torbą zakupów, kiedy poczułem na ramieniu dłoń Julii. Wiedziałem, że to ona, odwróciłem się i obok nie było nikogo. Kilka sekund później pomachała do mnie z drugiej strony parkingu. Podszedłem, przywitałem się, zapytałem, czy nadal pracuje w tym sklepie z oprogramowaniem co ostatnio. Zaprzeczyła. Pamiętam, miała wtedy na szyi mały pentagram na łańcuszku. Mógł bez trudu – może nawet powinien – zwisać ukryty pod bluzką. Ale wtedy, oczywiście, bym nie zauważył, a wszystkie jej gesty sugerowały, że koniecznie chce, bym go dostrzegł. Dlatego zignorowałem go. Wymieniliśmy ogólne uwagi; odrzuciła moje zaproszenie na kolację i do kina, choć proponowałem kilka wieczorów z rzędu.

– Co teraz robisz? – zapytałem.

– Studiuję.

– Co?

– Och... różne rzeczy. Niedługo zrobię ci niespodziankę.

Znowu nie zareagowałem, chociaż akurat wtedy podszedł do nas jakiś nadmiernie przyjazny irlandzki seter. Położyła mu rękę na głowie, powiedziała: "Siad", a on usiadł. Znieruchomiał jak posąg przy jej nodze i został na miejscu, kiedy odeszliśmy. Z tego co wiem, wciąż siedzi tam szkielet psa, niby jakaś współczesna rzeźba obok rzędu wózków.

Wtedy nie wydało mi się to szczególnie ważne. Ale w retrospekcji zacząłem się zastanawiać...

Wybraliśmy się na przejażdżkę, Vinta i ja. Pamiętając moją irytację, musiała wyczuć, że konieczna jest przerwa. Miała rację. Kiedy po lekkim obiedzie zaproponowała wycieczkę po posiadłości, zgodziłem się chętnie. Potrzebowałem czasu do namysłu, zanim wrócimy do naszych wzajemnych pytań i dyskusji. Pogoda była piękna, a okolica atrakcyjna.

Jechaliśmy krętą ścieżką poprzez łąki, docierając w końcu do północnych wzgórz, skąd aż po lśniące w słońcu morze ciągnęła się szachownica pól. Niebo było pełne wiatrów, strzępów chmur, przelatujących ptaków... Vinta nie prowadziła w żadne konkretne miejsce, a mnie to nie przeszkadzało.

Po drodze przypomniałem sobie wizytę w winnicy Napa Valley.

– Czy butelkujecie wino tutaj, na miejscu? – zapytałem, kiedy zwolniliśmy, by dać koniom odpocząć. – Czy raczej w mieście? A może w Amberze?

– Nie wiem – odparła.

– Myślałem, że tutaj się wychowałeś.

– Nigdy nie zwracałam na to uwagi.

Powstrzymałem się od komentarzy na temat patrycjuszowskiego podejścia. Jeśli nie żartowała, to naprawdę nie wiem, jak mogła nie wiedzieć czegoś takiego. Dostrzegła moją minę.

– Robiliśmy to w różny sposób w różnych okresach – dodała szybko. – Od kilku lat mieszkam w mieście. Nie wiem, gdzie ostatnio rozlewamy wina.

Ładna obrona; niczego nie mogłem jej zarzucić. Moje pytania nie miały być żadną pułapką, wyczułem jednak, że właśnie trafiłem na coś ważnego. Może dlatego, że nie zostawiła tej sprawy. Zaczęła opowiadać, że często wysyłają wielkie beczki i tak właśnie sprzedają wino. Z drugiej strony, niektórzy klienci wolą je w butelkach... Po chwili przestałem jej słuchać. Z jednej strony mogłem się tego spodziewać po córce winiarza, z drugiej jednak sam bez trudu wymyśliłbym coś podobnego. Nie mogłem sprawdzić. Miałem wrażenie, że próbuje mnie zagadać, próbuje coś ukryć. A nie wiedziałem co.

– Dzięki – wtrąciłem, gdy przerwała dla nabrania tchu. Spojrzała na mnie dziwnie, ale zrozumiała aluzję i nie opowiadała dalej.

– Musisz znać angielski – stwierdziłem w tym języku. – Jeśli to, co mi wcześniej mówiłaś, jest prawdą.

– Wszystko, co mówiłam, jest prawdą – odparła po angielsku, bez śladu obcego akcentu.

– Gdzie się nauczyła?

– Na cieniu-Ziemi, gdzie studiowałaś.

– Możesz mi powiedzieć, co tam robiłaś?

– Wypełniałam specjalną misję.

– Dla swojego ojca? Dla Korony?

– Wolę nie odpowiadać, niż cię okłamywać.

– Doceniam to. Naturalnie, spróbuję odgadnąć.

Wzruszyła ramionami.

– Mówisz, że byłaś w Berkeley? – spytałem.

Chwila wahania.

– Tak.

– Nie pamiętam, żebym cię tam widział.

Znowu wzruszenie ramion. Miałem ochotę chwycić ją i potrząsnąć.

– Wiedziałaś o Meg Devlin – powiedziałem zamiast tego. – Twierdzisz, że byłaś w Nowym Jorku...

– Mam wrażenie, że wyprzedzasz mnie w ilości pytań.

– Nie wiedziałem, że znowu gramy. Sądziłem, że zwyczajnie rozmawiamy.

– Dobrze więc: tak.

– Powiedz mi jeszcze coś, a może potrafię ci pomóc. Uśmiechnęła się.

– Nie potrzebuję pomocy. To ty masz kłopoty.

– Czy mogę spytać mimo wszystko?

– Pytaj. Każde twoje pytanie zdradza mi coś ciekawego.

– Wiedziałaś o najemnikach Luke'a. Czy odwiedziłaś także Nowy Meksyk?

– Owszem, byłam tam.

– Dziękuję – rzekłem.

– To wszystko?

– To wszystko.

– Doszedłeś do jakichś wniosków?

– Może.

– Powiesz mi, o co chodzi?

Z uśmiechem pokręciłem głową.

Nie wracałem już do tego. Kilka zawołanych aluzji po drodze dowodziło, że zastanawia się, co nagle odkryłem lub dostrzegłem. To dobrze. Postanowiłem trzymać ją w niepewności. Chciałem się zrewanżować za małomówność w tych kwestiach, które mnie interesowały najbardziej. Może to doprowadzi do pełnej wymiany informacji. Poza tym, naprawdę doszedłem do niezwykłych wniosków. Nie były jeszcze kompletne, ale jeśli się nie myliłem, prędzej czy później będzie mi potrzebny dalszy ciąg odpowiedzi. Czyli nie do końca blefowałem.

Wokół nas trwało popołudnie: złociste, pomarańczowe, czerwone, żółte, z jesiennowilgotnym aromatem niesionym podmuchami wiatru. Niebo było błękitne, jak pewne kamienie...

Może z dziesięć minut później zadałem bardziej neutralne pytanie.

– Możesz mi pokazać drogę do Amberu?

– Nie znasz jej?

Pokręciłem głową.

– Nigdy nie byłem w tej okolicy. Wiem tylko, że istnieją szlaki biegnące tędy i prowadzące do Wschodniej Bramy.

– Zgadza się. To chyba kawałek dalej na północ. Poszukajmy.

Zawróciła do drogi, którą jechaliśmy jeszcze niedawno. Skręciliśmy w nią, co uznałem za logiczne. Nie komentowałem niezbyt precyzyjnej wypowiedzi Vinty. Spodziewałem się za to, że zwróci uwagę, że nie określiłem swoich planów na przyszłość. Miałem wrażenie, że tego ode mnie oczekuje.

Niecałe półtora kilometra dalej dotarliśmy do skrzyżowania. W lewym dalszym rogu stał kamień, na którym wryto odległości do Amberu, z powrotem do Baylesport, do Baylecrest na wschodzie i jakiegoś Murn prosto przed nami.

– Co to jest Murn? – zainteresowałem się.

– Taka mała wioska. Hodują krowy.

Aby to sprawdzić, musiałbym przejechać prawie trzydzieści kilometrów.

– Zamierzasz konno wracać do Amberu? – spytała.

– Tak.

– Dlaczego nie użyjesz Atutu?

– Chcę lepiej poznać okolice. To mój dom. Podoba mi się tutaj.

– Przecież uprzedzałam cię... o zagrożeniu. Kamienie cię naznaczyły. Oni mogą cię wysledzić.

– To jeszcze nie znaczy, że wysledzą. Wątpię, by mocodawca wczorajszych napastników wiedział już, że mnie spotkali i zawiedli. Gdybym nie wyszedł na kolację, wciąż jeszcze czailiby się w mieście. Jestem pewien, że mam kilka dni łaski. Zdążę usunąć te znaki, o których mówisz.

Zeskoczyła z siodła i pozwoliła koniowi skubać rzadką trawę. Zrobiłem to samo. To znaczy zsiadłem.

– Chyba masz rację – przyznała. – Po prostu wolałabym, żebyś nie podejmował żadnego ryzyka. Co planujesz po powrocie?

– Jeszcze nie wiem. Przypuszczam, że im dłużej będę czekał, tym bardziej zniecierpliwi się osoba stojąca za wydarzeniami ostatniej nocy. I może wyśle jakiegoś osiłka.

Chwyciła mnie za ramię i odwróciła tak, że nagle znalazła się tuż przy mnie. Byłem lekko zaskoczony, lecz, wolna ręka odruchowo objęła damę, jak to zwykle czyni przy takich okazjach.

– Nie miałeś chyba zamiaru odjeżdżać teraz? Bo jeśli tak, jadę z tobą.

– Nie – odparłem zgodnie z prawdą. Planowałem wyjazd jutro rano, po dobrze przespanej nocy.

– Więc kiedy? Wciąż mamy wiele do omówienia.

– Doprowadziliśmy chyba tę zabawę w pytania i odpowiedzi tak daleko, że żadne z nas nie ma

ochoty posuwać się jeszcze dalej...

– Są pewne sprawy...

– Wiem.

Niezręczna sytuacja. Tak, była atrakcyjna. I nie, w takim sensie wolałem nie mieć z nią nic wspólnego. Częściowo dlatego, że czułem, iż pragnie jeszcze czegoś – nie byłem pewien czego. A częściowo ponieważ dysponowała niezwykłą mocą, na działanie której wolałem się nie wystawiać. Jak zwykle mawiał mój wujek Suhuy, występując formalnie jako czarodziej: "Jeśli czegoś nie rozumiesz, nie baw się tym". A miałem przecucie, że wszystko poza przyjazną znajomością może się przerodzić w pojedynek energii.

Dlatego pocałowałem ją szybko, by pozostać na przyjaznym gruncie, i uwolniłem się.

– Może wyruszę jutro – powiedziałem.

– To dobrze. Miałam nadzieję, że zostaniesz na noc. Może nawet dłużej. Będę cię chronić.

– Owszem, jestem jeszcze bardzo zmęczony.

– Musimy cię dobrze karmić, żebyś odzyskał siły.

Musnęła czubkami palców mój policzek i nagle uświadomiłem sobie, że skądś ją znam. Skąd? Nie wiedziałem. I to także trochę mnie przestraszyło. Nawet bardziej niż trochę. Kiedy ruszyliśmy z powrotem do Arbor, zacząłem planować, jak wymknąć się stamtąd jeszcze nocą. I tak, siedząc w swoim pokoju, sącząc z kielicha wino nieobecnej gospodyni – czerwone – i obserwując świece migoczące w podmuchach bryzy wpadających przez otwarte okno, czekałem. Przede wszystkim, by w domu zapadła cisza, co już nastąpiło. Po drugie, by minął odpowiedni czas. Drzwi były zaryglowane. Przy kolacji wspomniałem kilkakrotnie, jak bardzo jestem zmęczony, a potem wyszedłem wcześniej. Nie jestem takim egocentrycznym samcem, by wierzyć, że każda kobieta mnie pragnie; jednak Vinta dała do zrozumienia, że może mnie odwiedzić. Musiałem jakoś wytłumaczyć swój ciężki sen.

Nie chciałem jej urazić. Miałem aż nadto problemów, by dodatkowo zwracać przeciwko sobie tego niezwykłego sprzymierzeńca. Żałowałem, że nie mam jakiejś dobrej książki, ale ostatnią zostawiłem u Billa. Gdybym spróbował ją teraz ściągnąć, może Vinta wyczułaby posłanie jak kiedyś Fiona wiedziała, że tworzę Atut, i zaczęła dobijać się do drzwi, by sprawdzić, co, do diabła, się dzieje. Ale nikt się nie dobijał, a ja nasłuchiwałem trzasków w uśpionym domu i szelestów z zewnątrz. Świece były coraz krótsze, a cienie na ścianie pływały i falowały w ich niepewnym blasku. Myślałem i sączyłem wino. Już niedługo...

Zdawało mi się? Czy naprawdę usłyszałem swoje imię, wyszeptane z jakiegoś nieokreślonego punktu?

– Merle...

Znowu.

Realne, ale...

Pole widzenia zafalowało przez chwilę i wtedy zrozumiałem, co to znaczy: bardzo słaby kontakt przez Atut.

– Tak – rzuciłem, otwierając umysł. – Kto to?

– Merle, mały... Pomóż mi albo już po mnie...

Luke!

– Tutaj – powiedziałem. Sięgałem coraz dalej, aż obraz wyostrzył się i utrwalił.

Przygarbiony, ze zwieszoną głową, opierał się plecami o mur.

– Jeśli to jakaś sztuczka, Luke, jestem przygotowany – uprzedziłem. Wstałem szybko, przeszedłem do stolika, gdzie zostawiłem miecz, wyjąłem go i wysunąłem klingę.

– Żadna sztuczka. Spiesz się! Wyciągnij mnie stąd! Podniósł lewą rękę, ja uniosłem swoją i

chwyciłem go. Natychmiast padł na mnie, aż się zachwiałem. Pomyślałem, że to atak, ale był tylko bezwładnym ciężarem.

Zobaczyłem, że jest cały zalany krwią. W prawej dłoni wciąż ścisnął zakrwawiony miecz.

– Chodź. Tutaj.

Podtrzymując go, przeprowadziłem kilka kroków dalej i ułożyłem na łóżku. Wyjąłem z palców miecz i odłożyłem na krzesło obok swojego.

– Co się stało, do licha?

Zakaszła i niepewnie potrząsnęła głową. Kilka razy głęboko odetchnęła.

– Widziałem chyba kieliszek wina... – szepnęła. – Kiedy mijaliśmy stół.

– Tak. Zaczekaj.

Przyniosłem wino, podparłem Luke'owi głowę i przysunąłem kielich do ust. Pił wolno, przerywając dla nabrania tchu.

– Dzięki – powiedział, kiedy skończył, a potem głowa opadła mu na bok.

Zemdłał. Sprawdziłem puls. Był szybki, ale jakby trochę słaby.

– Niech cię szlag, Luke! – burknąłem. – Wybrałeś najgorszy moment...

Ale on nie słyszał. Leżał tylko i krwawił. Kilka przekleństw później zdążyłem go rozebrać i przemywając mokrym ręcznikiem, szukałem ran pod całą tą krwią. Miał jedną paskudną na piersi po prawej stronie; mogła sięgać płuca. Oddychał jednak płytko i nie byłem pewien. Jeśli tak, to miałem tylko nadzieję, że w pełni odziedziczył amberowską zdolność regeneracji. Przyłożyłem mu kompres, przytrzymałem na miejscu i sprawdziłem pozostałe obrażenia. Podejrzywałem pęknięcie kilku żeber. Lewą rękę miał złamaną powyżej łokcia; nastawiłem ją i wziąłem w łubki, używając listewek z krzesła, które zauważyłem wcześniej za szafą. Potem przywiązałem rękę do piersi. Znalazłem jeszcze z tuzin różnej głębokości nakłuc i nacięć na udach, prawym biodrze, prawym ręką, ramieniu i na plecach. Oczyszcziłem je wszystkie i opatrzyłem, przez co zaczął przypominać ilustrację z podręcznika pierwszej pomocy. Później sprawdziłem jeszcze ranę na piersi i przykryłem go.

Myślałem o pewnych logrusowych metodach leczenia; znałem je teoretycznie, ale nigdy nie miałem okazji sprawdzić w praktyce. Luke był bardzo blady, więc uznałem, że chyba lepiej spróbuję. Kiedy skończyłem, jego twarz wyraźnie nabrała koloru. Rzuciłem swój płaszcz na koc, którym był przykryty. Zbadałem puls i tym razem był mocniejszy. Zakląłem jeszcze, żeby nie wyjść z wprawy, zdjąłem z krzesła miecze i usiadłem. W chwilę później zaniepokoiło mnie wspomnienie rozmowy z Ghostwheelem. Czy Luke próbował się dogadać z moim dziełem? Powiedział, że potrzebuje mocy Ghosta, by zrealizować swe plany wobec Amberu. A dzisiaj rano Ghost pytał, czy może mu zaufać, zaś moja odpowiedź była wyraźnie negatywna.

Czyżby stan Luke'a był efektem sposobu, w jaki Ghost zrywał negocjacje? Wyjąłem Atuty i odszukałem jasny krąg Ghostwheela. Skoncentrowałem się, przygotowałem umysł do kontaktu, posłałem wezwanie.

W ciągu kilkuminutowej próby dwukrotnie czułem, że jestem blisko czegoś... poruszonego... Ale nic więcej, jakby rozdzielała nas tafla szkła. Czyżby Ghost był zajęty? A może nie miał ochoty na rozmowę?

Odłożyłem karty. Posłużyły jednak, by skierować moje myśli na inny tor.

Zebrałem pokrwawione ubranie Luke'a i przeszukałem kieszenie. W bocznej znalazłem komplet Atutów, kilka czystych kart i ołówki. Tak, były chyba namalowane w tym samym stylu co tamte, które zacząłem nazywać Atutami Zguby. Dodałem do talii jeszcze jeden przedstawiający mnie; Luke trzymał go w ręku, kiedy się tutaj przeatutował.

Miał fascynujący zestaw. Był tam Atut Jasry i Victora Melmana. Był także Julii i nie dokończony

Bleysa. Był Atut kryształowej groty i Atut dawnego mieszkania Luke'a. Kilka przekopował z Atutów Zguby, znalazłem też nie znany mi pałac, pokój, gdzie kiedyś mieszkałem, portret ponurego jasnowłosego faceta w zieleni i czerni, innego szczupłego o kasztanowych włosach w brązie i czerni, i kobiety tak do niego podobnej, że musieli być rodzeństwem. To dziwne, ale ostatnią parę namalowano w innym stylu, a nawet, powiedziałbym, inną ręką. Z tych nieznanymi postaciami byłem mniej więcej pewien tylko blondyna: sądząc po kolorach uznałem, że to Dalt, stary przyjaciel Luke'a i najemnik.

W talii znalazłem także trzy różne szkice czegoś, co przypominało Ghostwheela, wszystkie trzy niezbyt udane. Usłyszałem warknięcie Luke'a – otworzył oczy i rozglądał się.

– Spokojnie – powiedziałem. – Jesteś bezpieczny.

Kiwnął głową i zamknął oczy. Po chwili otworzył je znowu.

– Hej! Moje karty – szepnął słabym głosem.

Uśmiechnąłem się.

– Ładna robota – zauważyłem. – Kto je malował?

– Ja – odpowiedział. – Któż by inny?

– Gdzie się uczyłeś?

– U ojca. Był w tym dobry.

– Jeśli możesz tworzyć Atuty, to musiałeś przejść Wzorzec.

Przytaknął.

– Gdzie?

Obserwował mnie przez moment, po czym spróbował wzruszyć ramionami i skrzywił się.

– W Tir na Nog'th.

– Ojciec cię tam zabrał i pomógł?

Znowu skinienie głowy.

Dlaczego go nie przycisnąć, skoro wyraźnie miałem dobrą passę? Wyjąłem kartę.

– To jest Dalt – stwierdziłem. – Byliście razem w drużynie skautów?

Nie odpowiedział. Spojrzałem na niego, zobaczyłem zmrużone oczy i zmarszczone czoło.

– Nigdy go nie widziałem – wyjaśniłem. – Ale rozpoznaję barwy i wiem, że pochodzi z twoich okolic: z Kashfy.

Luke uśmiechnął się.

– W szkole też zawsze odrabiałeś prace domowe.

– Zwykle w terminie – zgodziłem się. – Ale za tobą nie mogłem nadążyć. Na przykład, nie widzę tu Atutu Twierdzy Czterech Światów. A tu jest ktoś, kogo nie znam.

Pomachałem mu kartą szczupłej damy. Uśmiechnął się znowu.

– Słabnę i znowu brakuje mi tchu – powiedział. – Byłeś przy Twierdzy?

– Tak.

– Ostatnio?

Kiwnąłem głową.

– Wiesz co? – zaproponował. – Powiedz, co widziałeś pod Twierdzą i skąd wiesz o pewnych moich sprawach, a ja ci powiem, kim ona jest.

Zastanowiłem się szybko. Mógłbym mówić tak, by nie powiedzieć mu niczego, o czym by już nie wiedział. Zatem...

– Ale ty pierwszy.

– Dobrze. Ta dama – rzekł – to Sand.

Przyglądałem się w takim skupieniu, że poczułem wstęp kontaktu. Przerwałem go.

– Dawno zaginiona – dodał.

Podniosłem kartę podobnego do niej mężczyzny.

– To zatem musi być Delwin.

– Zgadza się.

– Nie ty malowałeś te dwie karty. To nie twój styl, zresztą nie wiedziałbyś nawet, jak wyglądali.

– Spozrzegawczy jesteś. To mój ojciec, jeszcze w czasie zamętu... niewiele na tym skorzystał.

Jemu też nie chcieli pomóc.

– Też?

– Nie byli zainteresowani udzieleniem mi pomocy, mimo braku sympatii dla tego miejsca. Możesz uznać, że wypadli z gry.

– Tego miejsca? – powtórzyłem. – Jak myślisz, Luke, gdzie się znalazłeś?

Szeroko otworzył oczy i rozejrzał się dookoła.

– W obozie wroga – odpowiedział. – Nie miałem wyboru. To twoje pokoje w Amberze, zgadza się?

– Nie.

– Nie żartuj sobie, Merle. Dostałeś mnie. Jestem twoim więźniem. Gdzie trafiłem?

– Znasz Vintę Bayle?

– Nie.

– Była kochanką Caine'a. To jej rodzinna posiadłość na wsi. Ona sama jest gdzieś w tym domu. Może nawet tu zajrzy. Myślę, że na mnie leci.

– Uhm... Och! Czy to twarda kobieta?

– Bardzo.

– Co ty wyrabiasz? Podrywasz ją tak krótko po pogrzebie? To niezbyt eleganckie.

– No wiesz! Gdyby nie ty, nie byłoby żadnego pogrzebu.

– Nie udawaj oburzenia, Merle. A ty byś się nie mścił, gdyby to twojego ojca, Corwina, zabił Caine?

– To nieuczciwe. Mój ojciec nie zrobiłby tego, co zrobił Brand.

– Może nie, a może tak. Ale przypuśćmy, że by zrobił. Co wtedy? Nie zapolowałbyś na Caine'a?

Odwrociłem się.

– Nie wiem – wyznałem w końcu. – To tylko hipotezy.

– Zrobiłbyś to, Merle, wiesz o tym doskonale. Jestem pewien.

Westchnąłem.

– Może... No dobrze, może rzeczywiście. Ale na tym bym poprzestał. Nie próbowałbym zamachów na pozostałych. Nie chcę ci sprawiać przykrości, ale twój ojciec był psychiczny. Na pewno sam o tym wiesz. A ty nie jesteś. Zastanawiałem się nad tym wszystkim. Widzisz, Amber uznaje osobistą wendetę, zatem twoja sprawa nadaje się do obrony. I zabójstwo nie nastąpiło nawet w Amberze, gdyby już Random szukał dla ciebie usprawiedliwień.

– A dlaczego miałby szukać?

– Ponieważ ja zaświadczę o twojej uczciwości w innych kwestiach.

– Daj spokój, Merle...

– To przecież klasyczny przypadek wendety: syn, który chciał pomścić śmierć ojca.

– Sam nie wiem... Chwileczkę, czy ty przypadkiem nie chcesz się wykręcić od powiedzenia tego, co obiecałeś?

– Nie, ale...

– No więc dotarłeś do Twierdzy Czterech Światów. Czego się tam dowiedziałeś i w jaki sposób?

– No dobrze. Ale zastanów się nad tym.

Twarz nawet mu nie drgnęła.

– Spotkałem tam starego pustelnika imieniem Dave... – zacząłem.

Luke usnął, zanim skończyłem. Mówiłem coraz ciszej, wreszcie umilkłem i siedziałem nieruchomo. Po pewnym czasie wstałem, znalazłem butelkę wina i nalałem sobie, ponieważ Luke opróżnił kielich do dna. Podszedłem do okna i spojrzałem w dół, na patio, gdzie wiatr szeleścił liśćmi. Myślałem nad tym, co mówiłem Luke'owi. Nie był to pełny obraz; po części dlatego, że nie miałem czasu a szczegóły, ale przede wszystkim on sam nie był specjalnie zainteresowany. Lecz jeśli nawet Random formalnie uniewinni go w sprawie morderstwa Caine'a, to Julian lub Gerard spróbują go pewnie zabić zgodnie z tym samym kodeksem wendety. Nie bardzo wiedziałem, co mam zrobić. Powinienem zawiadomić o wszystkim Randoma, ale niech mnie diabli, jeśli będę się z tym spieszył.

Chciałem jeszcze zapytać o wiele rzeczy, a kiedy Luke zostanie więźniem w Amberze, dostęp do niego będzie dużo trudniejszy. Dlaczego musiał się urodzić akurat jako syn Branda?

Wróciłem do krzesła przy łóżku. Obok leżały nasze miecze i Atuty Luke'a. Przeniosłem to wszystko w drugi koniec pokoju, gdzie usiadłem na wygodniejszym krześle, które zajmowałem poprzednio. Raz jeszcze przejrzałem karty. Zdziwiająca. Trzymałem w ręku kawał historii...

Rilga, żona Oberona, okazała się mało odporna, szybko zaczęła się starzeć i wybrała pustelnicze życie w wiejskim klasztorze. Oberon wyjechał i ożenił się znowu, budząc tym niezadowolenie ich dzieci, Caine'a, Juliana i Gerarda. Ale żeby utrudnić pracę genealogom i pedantom rodzinnego legalizmu, uczynił to w miejscu, gdzie czas płynął o wiele szybciej niż w Amberze. Można wysunąć interesujące argumenty zarówno za, jak i przeciw bigamicznej naturze małżeństwa z Harlą. Nie mnie to osądzać. Całą tę historię powiedziała mi wiele lat temu Flora. Nigdy nie miała najlepszych stosunków z Delwinem i Sand, owocami tego związku, popierała zatem frakcję probigamiczną. Aż do dzisiaj nie widziałem wizerunków Delwina i Sand. W pałacu nie było ich portretów, a o nich samych rzadko wspomniano. Zresztą mieszkali w Amberze przez stosunkowo krótki okres, kiedy Harla była królową. Po jej śmierci byli coraz bardziej niezadowoleni z polityki Oberona wobec ich rodzinnego kraju, gdzie często składali wizyty. Po jakimś czasie odeszli, przysięgając, że nie chcą mieć z Amberem nic wspólnego. Tak przynajmniej słyszałem. Mogły też wchodzić w grę jakieś rodzinne intrygi. Nie wiem. I oto zobaczyłem dwoje zaginionych członków królewskiej rodziny. Luke widocznie dowiedział się o nich i nawiązał kontakt w nadziei, że ożywi dawne urazy i zdobędzie sprzymierzeńców. Przyznał, że mu się nie udało.

Nie można przez dwieście lat trwać w gniewie, a według moich informacji tyle właśnie minęło od ich wyjazdu. Zastanawiałem się przez moment, czy nie powinienem się z nimi połączyć; tylko po to, by powiedzieć "dzień dobry". Jeśli odmówili pomocy Luke'owi, nie wierzyłem, by zechcieli udzielić jej stronie przeciwnej, kiedy już dowiedzieli się, że istnieje jakaś przeciwna strona. Jednak wypadało, bym jako nie znany im jeszcze członek rodziny, przedstawił się i złożył wyrazy szacunku. Postanowiłem, że kiedyś to zrobię; chwila obecna nie wydawała się odpowiednia. Wraz z dobrymi intencjami dołożyłem ich Atuty do własnego zbioru.

Dalej był Dalton – przysięgły wróg Amberu. Studiowałem jego kartę i myślałem. Jeśli naprawdę był dobrym przyjacielem Luke'a, może powinienem go zawiadomić, co zaszło. Może wie coś o okolicznościach zajścia i udzieli informacji, które zdołam wykorzystać. Im dłużej o tym myślałem – wspominając niedawną obecność Dalta pod Twierdzą Czterech Światów – tym bardziej kuszący był kontakt. Całkiem możliwe, że dowiem się także czegoś na temat rozwoju sytuacji w tamtym miejscu.

Przygryzłem kciuk. Powinienem czy nie powinienem?

Nic mi chyba nie groziło. Niczego nie miałem zamiaru zdradzać. Mimo to miałem pewne obawy.

Do licha, pomyślałem. Bez ryzyka... Hej, hej! Sięgałem poprzez zimną nagle kartę... Gdzieś tam moment zaskoczenia, potem zrozumienie. Wizja zafalowała niby ożywiony portret.

– Kim jesteś? – zapytał mężczyzna, z dłonią na rękojeści wyciągniętego do połowy miecza.

– Na imię mi Merlin – wyjaśniłem. – Mamy wspólnego znajomego, niejakiego Rinaldo. Chciałem cię zawiadomić, że został ciężko ranny.

W tej chwili obaj unosiliśmy się pomiędzy naszymi rzeczywistościami, realni i doskonale dla siebie widoczni. Był wyższy, niż sądziłem na podstawie portretu, i stał pośrodku komnaty o kamiennych ścianach; okno po jego lewej ręce ukazywało błękit nieba i strzęp chmury. Zielone oczy, z początku otwarte szeroko, zmrużył teraz, wysuwając nieco zaczepnie dolną szczękę.

– Gdzie on jest? – zapytał.

– Tutaj. Ze mną.

– Dobrze się składa – stwierdził. Miecz znalazł się w jego ręku; ruszył do przodu.

Odwróciłem Atut, ale to nie przerwało połączenia. Musiałem wezwać Logrus, który opadł między nas niby ostrze gilotyny. Doznałem wstrząsu, jakbym dotknął przewodu pod napięciem. Jedynym pocieszeniem było, że Dalt przeżył pewnie to samo.

– Merle, co się dzieje? – rozległ się zachrypnięty głos Luke'a. – Widziałem... Dalta.

– Tak. Właśnie go wywołałem.

Lekko uniósł głowę.

– Po co?

– Żeby powiedzieć mu o tobie. Jesteście przecież przyjaciółmi.

– Ty durniu! To on mnie tak urządził.

Zaniósł się kaszlem, więc skoczyłem mu na pomoc.

– Przynieś trochę wody – poprosił.

– Już lecę.

Wybiegłem do łazienki i napełniłem szklanekę. Podtrzymałem go, kiedy pił.

– Może powinienem ci powiedzieć – stwierdził w końcu. – Nie myślałem... że będziesz się bawił... w taki sposób... kiedy nie wiesz... o co chodzi...

Znowu zakaszłał i napił się wody.

– Trudno zdecydować, o czym ci mówić... a o czym nie – kontynuował po chwili.

– Dlaczego nie powiesz wszystkiego? – zaproponowałem.

Pokręcił głową.

– Nie mogę. To by cię pewnie zabiło. A raczej nas obu.

– Sądząc po ostatnich wydarzeniach, może to nastąpić niezależnie od tego, czy mi powiesz czy nie.

Uśmiechnął się słabo i wypił jeszcze łyk.

– Po części są to sprawy osobiste – oświadczył. – Nie chcę mieszać w nie innych.

– Rozumiem, że twoje coroczne wiosenne zamachy na mnie też były sprawą osobistą – zauważyłem. – A jednak czułem się jakoś wmieszany.

– Dobrze, dobrze. – Opadł na plecy i uniósł prawą rękę. – Mówiłem ci przecież, że już dawno z tym skończyłem.

– Ale te zamachy nie ustały.

– Nie były moim dziełem.

W porządku, postanowiłem. Trzeba spróbować.

– To była Jasra, prawda?

– Co o niej wiesz?

– Wiem, że jest twoją matką. Domyślam się, że to była również jej wojna.

Skinął głową.

– Więc wiesz... Dobrze. To ułatwia sprawę. – Przerwał, by nabrać tchu. Kazała mi organizować te trzydzieste kwietnia dla praktyki. Kiedy poznałem cię lepiej i przerwałem, wpadła we wściekłość.

– I dalej działała sama?

Przytaknął.

– Chciała, żebyś zabił Caine'a – powiedziałem.

– Ja też chciałem go zabić.

– Ale innych? Założę się, że naciskała na ciebie. A ty nie jesteś przekonany, że im się należy.

Milczenie.

– Jesteś?

Odwrócił wzrok; usłyszałem, jak zgrzytu zębami.

– Ty nie masz się czego bać – oświadczył w końcu. – Nie mam zamiaru cię krzywdzić. Jej także nie pozwolę.

– A co z Bleysem, Randomem, Fioną, Florą, Gerardem...

Roześmiał się, co kosztowało go skrzywienie ust i szybki ruch ręką do piersi.

– Jeśli o nas chodzi, nie muszą się martwić – odparł. – Nie w tej chwili.

– Nie rozumiem.

– Pomyśl tylko. Mogłem się przeatutować do swojego dawnego mieszkania, przestraszyć na śmierć nowych lokatorów i wezwać karetkę. Teraz byłbym już w szpitalu.

– To dlaczego nie jesteś?

– Wychodziłem już z gorszych ran. Jestem tutaj, bo potrzebuję twojej pomocy.

– Tak? W czym?

Spojrzał na mnie, potem odwrócił głowę.

– Ona ma kłopoty i musimy ją ratować.

– Kto? – spytałem, znając już odpowiedź.

– Moja matka.

Miałem ochotę wybuchnąć śmiechem, ale nie mogłem, kiedy spojrzałem mu w twarz. Prośenie mnie o pomoc w ratowaniu kobiety, która chciała mnie zabić, i to nie raz, ale wiele razy, i której życiowym celem było unicestwienie całej mojej rodziny, wymagało wielkiej odwagi. Odwagi albo...

– Nie mam się do kogo zwrócić.

– Jeśli mnie do tego namówisz, Luke, zasłużysz na tytuł Sprzedawcy Roku – oświadczyłem. – Ale chętnie posłucham.

– W gardle mi zaschło – poskarżył się.

Wyszedłem napełnić szklankę. Kiedy wracałem, wydało mi się, że słyszę na korytarzu jakieś szmery. Podając Luke'owi wodę, nasłuchiwałem.

Wypił i skinął głową, lecz wtedy usłyszałem kolejny szmer. Podniosłem palec do ust i spojrzałem na drzwi. Odstawiłem szklankę, wstałem i przeszedłem przez pokój, chwytając po drodze miecz.

Zanim dotarłem do drzwi, ktoś zapukał delikatnie.

– Tak? – rzuciłem podchodząc.

– To ja – odpowiedział głos Vinty. – Wiem, że jest tam Luke, i chcę go zobaczyć.

– Żeby go wykończyć? – spytałem.

– Mówiłam ci już, że nie jest to moim zamiarem.

– W takim razie nie jesteś człowiekiem.

– Nigdy nie twierdziłam, że jestem.

– Zatem nie jesteś Vintą Bayle – powiedziałem.

Zapadła długa cisza.

– Przypuśćmy, że nie.

– Powiedz mi więc, kim jesteś.

– Nie mogę.

– Może spotkamy się w połowie drogi – zaproponowałem, sięgając do wszystkich swoich domysłów na jej temat. – Powiedz mi, kim byłaś.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Owszem. wiesz. Wybierz jedną, którąkolwiek. To nieistotne.

Znowu cisza. Wreszcie...

– Wyciągnęłam cię z ognia. Ale nie potrafiłam zapanować nad koniem. Umarłam w jeziorze.

Otuliłeś mnie swoim płaszczem...

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem. Ale wystarczała. Ostrzem miecza odsunąłem rygiel. Pchnęła drzwi i spojrzała na klingę w mojej dłoni.

– Dramatyczne – zauważyła.

– Wywarłaś na mnie wrażenie – odparłem – mówiąc o niebezpieczeństwach, jakie mi zagrażają.

– Niedostatecznie mocne, jak widzę. – Weszła z uśmiechem.

– O co ci chodzi?

– Nie słyszałam, żebyś go pytał o błękitne kamienie ani o to, co może cię śledzić w rezultacie zestrojenia.

– Podśluchiwałaś.

– Wieloletnie przyzwyczajenie.

– Luke, to jest Vinta Bayle – przedstawiłem ją. – Mniej więcej.

Nie odrywając wzroku od jej twarzy, podniósł prawą rękę.

– Chcę wiedzieć tylko jedno... – zaczął.

– Nie wątpię – przerwała mu. – Zamierzam cię zabić czy nie? Myśl o tym. Jeszcze nie zdecydowałam. Pamiętasz, jak kiedyś zabrakło ci benzyny na północ od San Luis Obispo i odkryłeś, że nie masz portfela? Żeby wrócić do domu, musiałeś pożyczyć pieniędzy od swojej dziewczyny. Przypominała ci dwa razy, zanim je oddałaś.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – wyszeptał.

– Kiedyś wdałeś się w bójkę z trzema motocyklistami – mówiła dalej. – Niewiele brakowało, żebyś stracił oko, kiedy jeden z nich trafił cię łańcuchem w głowę. Pięknie się zagoiło. Nie widać nawet blizny...

– Wygrałem – dorzucił Luke.

– Tak. Niewielu ludzi potrafi tak podnieść i cisnąć Harleya.

– Skąd to wszystko wiesz? Musisz mi powiedzieć.

– Może kiedyś ci powiem. Wspomniałam o tym, żeby skłonić cię do szczerości. Teraz zadam kilka pytań, a twoje życie będzie zależeć od tego, czy szczerze mi odpowiesz. Rozumiesz...

– Vinto – wtrąciłem. – Mówiłaś, że nie chcesz zabijać Luke'a.

– Nie jest na szczycie mojej listy – odparła. – Ale jeśli jest zamieszany w to, co się dzieje, zginie.

Luke ziewnął.

– Powiem ci o tych kamieniach – wymruczał. – Nikt nie podąża teraz błękitnokamiennym śladem Merle'a.

– Czy Jasra mogła posłać kogoś tym tropem?

– Możliwe. Nie wiem.

– Co z ludźmi, którzy wczoraj w nocy napadli na niego w Amberze?

- Pierwszy raz o tym słyszę – zapewnił przymykając oczy.
- Popatrz na to – rozkazała, wyjmując z kieszeni niebieski guzik.

Otworzył oczy i spojrzał z ukosa.

- Poznajesz to?
- Nie. – Znowu opuścił powieki.
- I nie chcesz wyrządzić Merle'owi żadnej krzywdy?
- Zgadza się – odpowiedział cichnym głosem.
- Pozwól mu spać – wtrąciłem, gdy znowu otworzyła usta. – Nigdzie się stąd nie ruszy.

Spojrzała zagniewana, ale kiwnęła głową.

- Masz rację – przyznała.
- I co teraz zrobisz? Zabijesz go, póki śpi?
- Nie – orzekła. – Mówił prawdę.
- Czy to jakaś różnica?
- Owszem. Na razie.

Rozdział 7

Wyspałem się całkiem niezłe mimo przeszkód, w tym jakiejś dalekiej walki psów i wycia. Vinta nie zdradzała chęci do dalszej gry w pytania i odpowiedzi, a ja nie chciałem, żeby dłużej męczyła Luke'a. Przekonałem ją, żeby sobie poszła i dała nam odpocząć. Potem rozsiadłem się w wygodnym fotelu i oparłem nogi o drugi. Liczyłem, że na osobności dokończę rozmowę z Lukiem. Pamiętam, że zachichotałem tuż przed zaśnięciem; zastanawiałem się, komu z nich bardziej nie ufam.

Obudził mnie pierwszy brzask na niebie i jakieś kłótnie ptaków. Przeciągnąłem się kilka razy i ruszyłem do łazienki. W połowie ablucji usłyszałem kasznięcie Luke'a, a potem wypowiedziane szeptem moje imię.

– Jeśli nie masz krwotoku, to zaczekaj chwilę – zawołałem, wycierając się. – Chcesz wody?

– Tak, przynieś trochę.

Zarzuciłem ręcznik na ramię i wziąłem szklankę.

– Jest tu jeszcze? – zapytał Luke.

– Nie.

– Daj wodę i idź sprawdzić w korytarzu, dobra? Poradzę sobie jakoś.

Kiwnąłem głową i podałem mu szklankę. Jak najciszej uchyliłem drzwi. Wyszedłem na korytarz, zajrzałem za róg. Nie było nikogo.

– Teren czysty – szepnąłem wracając do pokoju.

Luke zniknął. W chwilę później usłyszałem go w łazience.

– Zwariowałeś? Pomógłbym ci! – zawołałem.

– Potrafię jeszcze sam się odpryskać – stwierdził, stając niepewnie w drzwiach. Zdrową ręką opierał się o ścianę. – Musiałem sprawdzić, czy dam radę – wyjaśnił, opadając na brzeg łóżka. Przycisnął dłonią żebra i oddychał ciężko. – Niech to diabli! Boli!

– Pomogę ci się położyć.

– Dzięki. Słuchaj, ona nie może wiedzieć, że potrafię nawet tyle.

– Dobrze. Uspokój się. Wypoczywaj.

Pokręcił głową.

– Chcę ci powiedzieć jak najwięcej, zanim ona znowu tu wpadnie. A zrobi to, możesz mi wierzyć.

– Taki jesteś pewny?

– Tak. Nie jest człowiekiem, a jest lepiej zestrojona z nami dwoma niż wszystkie błękitne kamienie razem. Nie znam twojego stylu magii, ale ja mam własny i rozumiem, co mi mówi. To twoje pytanie, kim była, skłoniło mnie do namysłu. Rozszyfrowałeś ją już?

– Nie, nie do końca.

– Ja wiem, że potrafi zmieniać ciała jak ubrania... i może podróżować przez Ciebie.

– Czy nazwiska Meg Devlin albo George'a Hansena coś ci mówią?

– Nie. A powinny?

– Nie przypuszczam. Ale jestem pewien, że była nimi obojgiem.

Nie wspominałem o Danie Martinezie. Nie dlatego, że strzelał się z Lukiem i po tej informacji stałby się jeszcze bardziej nieufny. Raczej dlatego, że nie powinien się domyślić, że wiem o jego partyzanckich operacjach w Nowym Meksyku, a rozmowa doprowadziłaby nas pewnie do tej sprawy.

– Była też Gail Lampron.

– Tą swoją dziewczyną, jeszcze w szkole?

– Tak. Od razu zauważyłem w niej coś znajomego. Ale zrozumiałem dopiero później. Widzisz, ona ma wszystkie te drobne gesty Gail to, jak odwraca głowę, co robi z rękami i oczami podczas rozmowy. A potem wspomniała o dwóch zdarzeniach, które miały tylko jednego wspólnego świadka: Gail.

– Mam wrażenie, że chciała, byś wiedział.

– Tak sędzę -- zgodził się.

– Ciekawe tylko, dlaczego nie powiedziała tego wprost.

– Chyba nie może. Podlega jak gdyby zakłęciu, chociaż nie wiadomo, bo przecież nie jest człowiekiem. – Mówiąc to, spoglądał ukradkiem w stronę drzwi. – Sprawdź jeszcze raz – poprosił.

– Nadal czysto – oznajmiłem. – A co powiesz...

– Innym razem – przerwał mi. – Muszę się stąd wydostać.

– Rozumiem, że wolisz nie być zbyt blisko niej... – zacząłem.

Pokręcił głową.

– Nie w tym rzecz. Muszę jak najszybciej zaatakować Twierdzę Czterech Światów.

– W twoim stanie...

– No właśnie. O to mi chodzi. Muszę się stąd wydostać, żeby szybko wrócić do formy. Myślę, że stary Sharu Garrul się uwolnił. Tylko tak umiem wytłumaczyć to, co się stało.

– A co się stało?

– Odebrałem od matki wezwanie o pomoc. Kiedy uwolniłem ją od ciebie, wróciła do Twierdzy.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego wróciła do Twierdzy?

– Wiesz, to ośrodek mocy. Łączą się tam cztery światy, a to wyzwala masę swobodnej energii, którą adept może wykorzystać...

– Naprawdę stykają się tam cztery światy? To znaczy, że zależnie od kierunku marszu trafiasz do różnych cieni?

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Tak – potwierdził wreszcie. – Ale nigdy nie skończę, jeśli będziesz pytał o wszystkie szczegóły.

– A ja nie rozumiem, jeśli zbyt wiele opuścisz. Czyli wróciła do Twierdzy, żeby nabrać sił, a tymczasem wpadła w kłopoty. Wezwwała cię, żebyś jej pomógł. Po co jej była ta moc?

– Hm... Wiesz, miałem problemy z Ghostwheelem. Myślałem już, że zaraz go przekonam do przejścia na naszą stronę. Ale ona uznała chyba, że nie czynię dostatecznych postępów, i najwyraźniej spróbowała związać go potężnym zaklęciem, kiedy...

– Chwileczkę! Rozmawiałeś z Ghostem? Jak się z nim połączyłeś? Te Atuty, które rysowałeś, są do niczego.

– Wiem. Poszedłem tam.

– Jak ci się udało?

– W kostiumie płetwonurka. Miałem piankę i butle z tlenem.

– Ty spryciarzu! Interesujące podejście.

– Nie na darmo byłem najlepszym handlowcem w Grand D. Już prawie go przekonałem. Ale ona dowiedziała się, gdzie cię zapuszkowałem. Postanowiła przyspieszyć sprawy, opanować twój umysł, a potem wykorzystać dla przypieczętowania umowy. Rozumiesz, tak jakbyś ty też przeszedł na naszą stronę. W każdym razie ten plan zawiódł, musiałem przybyć i wyrwać ci ją. Potem się rozdzieliliśmy. Myślałem, że jedzie do Kashfy, ale ona ruszyła do Twierdzy. Mówiłem już: przypuszczam, że

próbowała jakichś magicznych akcji przeciw Ghostwheelowi. I myślę, że przypadkiem uwolniła Sharu, a ten odbił zamek i uwięził ją. W każdym razie dotarło do mnie rozpaczliwe wezwanie, więc...

– Ten stary czarownik – mruknąłem. – Był tam zamknięty przez... jak długo?

Luke próbował wzruszyć ramionami, ale zrezygnował.

– Skąd mam wiedzieć, u licha? Służył za wieszak, jeszcze, kiedy byłem dzieckiem.

– Wieszak?

– Tak. Przegrał czarnoksięski pojedynek. Nie wiem właściwie, czy to ona go załatwiła czy ojciec.

Ktokolwiek to zrobił, dostał go w połowie inwokacji, z rozłożonymi rękami i w ogóle. Tak zamarł, sztywny jak deska. Później postawili go koło wejścia. Ludzie wieszali na nim płaszcze i kapelusze, służba odkurzała go od czasu do czasu. Nawet wyryłem mu na nodze swoje imię, jak na drzewie. Zawsze myślałem, że to mebel. Wiele lat później dowiedziałem się, że w swoim czasie miał opinię niezłego zawodnika.

– Czy nosił przy pracy błękitną maskę?

– Zagiąłeś mnie. Nic nie wiem o jego stylu. Słuchaj, zostawmy te akademickie dyskusje, bo ona wróci tu, zanim skończymy. Może nawet powinniśmy zniknąć już teraz, a później opowiem ci resztę.

– No tak... – mruknąłem. – Jak sam zauważyłeś w nocy, jesteś moim więźniem. Musiałbym zwariować, żeby cię wypuścić, zanim powiesz mi o wiele więcej niż do tej pory. Stanowisz zagrożenie dla Amberu. Bomba, którą rzuciłeś w czasie pogrzebu, była aż nadto realna. Sądzisz, że dam ci jeszcze jedną szansę?

Uśmiechnął się, ale tylko na moment.

– Dlaczego musiałeś się urodzić jako syn Corwina? – mruknął. – Przyjmiesz moje słowo?

– Nie wiem. Będę miał kłopoty, kiedy się dowiedzą, że już cię trzymałem i wypuściłem. Co proponujesz? Przysięgniesz zrezygnować z wojny z Amberem?

Przygryzł wargę.

– Nie mogę tego zrobić, Merle. Absolutnie.

– Nie mówisz mi o pewnych sprawach, prawda?

Skinął głową. I nagle uśmiechnął się.

– Ale złożę ci propozycję nie do odrzucenia.

– Luke, skończ z tymi głodnymi kawałkami.

– Daj mi jedną minutę, zgoda? Sam zobaczysz, że nie możesz sobie pozwolić na odmowę.

– Luke, nie dam się na to nabrać.

– Tylko minutę. Sześćdziesiąt sekund. Kiedy skończę, zawsze możesz powiedzieć: nie.

– No dobrze – westchnąłem. – Mów.

– Dobra. Posiadam informację kluczową dla bezpieczeństwa Amberu i jestem pewien, że nikt nawet się nie domyśla, o co chodzi. Przekażę ci ją, jeśli mi pomożesz.

– Dlaczego chcesz nam oddać taką wiadomość? To jakbyś grał przeciwko sobie.

– Wcale nie chcę. I rzeczywiście gram. Ale nic więcej nie mam do zaoferowania. Pomóż mi przenieść się stąd do miejsca, które znam i gdzie czas płynie tak szybko, że wyzdrowieję w ciągu dnia czy dwóch czasu Twierdzy.

– Albo tutejszego, jak przypuszczam.

– Fakt. Potem... Och, auu... Padł na plecy, zdrową ręką przycisnął ranę na piersi i zaczął jęczeć.

– Luke!

Podniósł głowę, mrugnął do mnie, spojrzął na drzwi i jęczał dalej.

Po chwili usłyszałem pukanie.

– Proszę! – zawołałem.

Weszła Vinta i przyjrzała się nam obu. Kiedy patrzyła na Luke'a, miałem wrażenie, że na jej twarzy pojawił się wyraz szczerzej troski. Podeszła i położyła mu dłonie na ramionach.

– Przeżyjesz – oznajmiła po minucie.

– W tej chwili – burknął – sam nie wiem, czy to błogosławieństwo, czy raczej przekleństwo.

Niespodziewanie objął ją zdrową ręką, przyciągnął do siebie i pocałował.

– Cześć, Gail – rzucił. – Dawno się nie widzieliśmy.

Cofnęła się, lecz nie tak szybko, jak mógłbym oczekiwać.

– Widzę, że już ci się polepszyło – zauważyła. – Merle zrobił coś, żeby ci pomóc. – Uśmiechnęła się lekko. – Tak, rzeczywiście dawno, głuptasie. Nadal lubisz jajka przysmażone z obu stron?

– Tak. Ale nie pół tuzina. Dzisiaj wystarczą dwa. Nie jestem w najlepszej formie.

– Dobrze. Chodźmy, Merle. Będziesz musiał mi pomóc.

Luke spojrział na mnie dziwnie, z pewnością przekonany, że Vinta chce porozmawiać właśnie o nim. Ja z kolei nie byłem pewien, czy mogę zostawić go samego. Wprawdzie miałem w kieszeni wszystkie Atuty, ale wciąż nie do końca znałem jego możliwości, a jeszcze mniej zamiary. Dlatego ociągałem się.

– Może ktoś powinien zostać z inwalidą?

– Nic mu nie będzie – stwierdziła. – A przyda mi się twoja pomoc, bo nie chcę przestraszyć służby.

Z drugiej strony, może miała do powiedzenia coś ciekawego...

Wciągnąłem koszulę i przyglądałem włosy.

– Dobra – mruknąłem. – To na razie, Luke.

– Może znajdziesz dla mnie jakąś laskę, wytniesz kij albo coś podobnego.

– Chyba za bardzo ci się spieszy – stwierdziła Vinta.

– Nigdy nic nie wiadomo.

Zabrałem ze sobą miecz. Na schodach przyszło mi do głowy, że kiedy tylko dwoje z naszej trójki spotykało się na osobności, na ogół mieli sobie do powiedzenia coś o tym trzecim.

– Ryzykował, zwracając się do ciebie – zauważyła Vinta, kiedy tylko Luke znalazł się poza zasięgiem głosu.

– To prawda.

– Musiało mu się źle układać, skoro uznał, że tylko ciebie może prosić o pomoc.

– To także prawda.

– Jestem również przekonana, że chce czegoś więcej, nie tylko bezpiecznej kryjówki, gdzie mógłby wrócić do zdrowia.

– Prawdopodobnie.

– "Prawdopodobnie", akurat. Na pewno już cię o to prosił.

– Możliwe.

– Prosił czy nie prosił?

– Vinto, najwyraźniej powiedziałaś mi już wszystko, co zamierzałaś powiedzieć – oświadczyłem. – I vice versa. Rachunki wyrównane. Nie muszę ci niczego wyjaśniać. Jeśli zechcę zaufać Luke'owi, zrobię to. Zresztą, jeszcze nie zdecydowałem.

– Więc złożył ci propozycję. Mogę ci pomóc podjąć decyzję, jeśli zdradzisz, o co chodzi.

– Nie, dziękuję. Nie jesteś lepsza od niego.

– Dbam tylko o twoje bezpieczeństwo. Nie spiesz się z odrzucaniem sprzymierzeńca.

– Nie spieszę się – zapewniłem. – Ale jeśli się chwilę zastanowisz, sama przyznasz, że znam go

lepiej niż siebie. Chyba wiem, w jakich sprawach nie powinienem mu ufać, a które są bezpieczne.

– Mam nadzieję, że nie stawiasz w tej grze swojego karku.

Uśmiechnąłem się.

– W tej kwestii jestem dość konserwatywny.

Dotarliśmy do kuchni. Vinta porozmawiała chwilę z kobietą, której wcześniej nie spotkałem, a która chyba tu rządziła. Przekazała jej instrukcje co do śniadania, po czym bocznymi drzwiami wyprowadziła mnie na patio. Wskazała kępę drzew po wschodniej stronie.

– Znajdziesz tam dość młodych pędów na laskę dla Luke'a.

– Zapewne. – Ruszyliśmy w tamtym kierunku. – Więc naprawdę byłeś Gail Lampron – powiedziałem nagle.

– Tak.

– Nie rozumiem tej zamiany ciał.

– A ja nie będę ci tłumaczyć.

– Powiesz, dlaczego nie?

– Nie.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie mogę.

– Ale gdybym już coś wiedział, zgodzisz się oświecić mnie jeszcze trochę?

– Może. Spróbuj.

– Jako Dan Martinez strzeliłeś do jednego z nas. Do którego?

– Do Luke'a – odpowiedziała.

– Czemu?

– Nabrałam przekonania, że to nie on... to znaczy, że on ci zagraża...

– ...i chciałaś mnie chronić – dokończyłem.

– Dokładnie.

– Co miałaś na myśli mówiąc: "że to nie on"?

– Przejęzyczenie. To chyba odpowiednie drzewko.

Parsknąłem.

– Za grube. Dobrze, niech będzie.

Wszedłem z gąszcz. Po prawej stronie dostrzegłem pewne możliwości. Idąc wśród iglic poranka przebijających strop gałęzi, gdy mokre liście i rosa lgnęły do moich butów, dostrzegłem po drodze jakieś niezwykle ślady, rząd zagłębień prowadzący dalej na prawo, gdzie...

– Co to jest? – spytałem retorycznie, gdyż nie spodziewałem się, by Vinta znała odpowiedź. Skręciłem ku ciemnej masie w cieniu pod starym drzewem.

Dotarłem na miejsce pierwszy. To był jeden z psów Bayle'ów – wielki, brązowy okaz. Miał rozerwane gardło. Krew poczerniała już i zakrzepła. Dalej na prawo zauważyłem szczątki mniejszego psa – coś wypruło mu flaki.

Zbadałem najbliższą okolicę. Na mokrej ziemi odbiły się ślady bardzo wielkich łap. Nie były to jednak trójpalczaste łapy tych morderczych, psiopodobnych stworów, które poznałem dawniej. Te wydawały się po prostu tropem bardzo wielkiego psa.

– Pewnie to właśnie słyszałem w nocy – zauważyłem. – Brzmiało to tak, jakby gryzły się psy.

– Kiedy to było? – spytała.

– Niedługo po twoim wyjściu. Drzemałem.

Wtedy zrobiła coś dziwnego. Przyklękła, schyliła się i obwąchała ślady. Kiedy wstała, jej twarz wyrażała lekkie zdziwienie.

– Co znalazłaś? – zapytałem.

Pokręciła głową, potem spojrzała na północny wschód.

– Nie jestem pewna – stwierdziła po chwili. – Ale to odeszło tędy.

Dokładniej przestudiowałem grunt, wyprostowałem się i ruszyłem tropem napastnika. Rzeczywiście, odbiegł w tamtą stronę; zgubiłem trop po kilkuset metrach, kiedy opuścił zagajnik. Zawróciłem.

– To pewnie któryś z psów zaatakował pozostałe – stwierdziłem. – Lepiej znajdziemy Luke'owi ten kij i wracajmy, jeśli chcemy zjeść ciepłe śniadanie.

W kuchni dowiedzieliśmy się, że posiłek Luke'a został odesłany do pokoju. Nie wiedziałem, co robić. Chciałem przyłączyć się do niego i kontynuować rozmowę. Gdybym jednak tak postąpił, Vinta poszłaby za mną i z rozmowy trzeba by zrezygnować. W takich okolicznościach z nią również nie mógłbym rozmawiać swobodnie. Będę więc musiał zostać z nią na dole, a zatem zostawić Luke'a samego dłużej, niż miałem na to ochotę. Zgodziłem się więc, gdy zaproponowała:

– Zjedźmy tutaj.

Zaprowadziła mnie do wielkiej sali. Przypuszczam, że wybrała ją, gdyż okno mojego pokoju wychodziło na patio i Luke słyszałby nas, gdybyśmy tam usiedli. Zajęliśmy miejsca na końcu długiego stołu z ciemnego drewna. Tam przygotowano nam nakrycia.

– Co teraz zrobisz? – odezwała się, gdy zostaliśmy sami.

– O co ci chodzi? – spytałem, sącząc sok winogronowy.

Spojrzała w górę.

– Z nim – wyjaśniła. – Zabierzesz go do Amberu?

– To by było logiczne.

– Dobrze. Powinieneś chyba przetransportować go jak najszybciej. W pałacu mają niezły sprzęt medyczny.

– Tak zrobię – przytaknąłem.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

– Zrobisz to, prawda? – upewniła się Vinta.

– Czemu pytasz?

– Ponieważ każda inna decyzja byłaby niemądra. Ale on nie zechce tam jechać. Spróbuje zatem namówić cię do czegoś, co da mu pewną swobodę na czas powrotu do zdrowia. Sam wiesz, że potrafi człowieka zagadać. Przekona cię, że to znakomity pomysł, cokolwiek to będzie. Musisz pamiętać, że jest wrogiem Amberu, a kiedy będzie gotów do kolejnego ataku, ty staniesz się przeszkodą.

– To ma sens – przyznałem.

– Jeszcze nie skończyłam.

– Och?

Uśmiechnęła się i na chwilę zajęła jedzeniem, pozwalając mi na domysły.

– Miał powód, żeby zwrócić się właśnie do ciebie – podjęła w końcu. – Mógł się zaszyć w dowolnym miejscu i tam lizać rany. Zjawił się u ciebie, ponieważ czegoś chce. Ryzykuje, ale to wykalkulowane ryzyko. Nie zgadzaj się na to, Merle. Nic mu nie jesteś winien.

– Sam nie wiem, czemu właściwie uważasz, że sam nie potrafię o siebie zadbać.

– Tego nie powiedziałam. Ale czasem argumenty są wyrównane i odrobina wsparcia może zaważyć na decyzji, Znasz Luke'a, ale ja również. To nie jest odpowiednia pora, by mu ustępować.

– Coś w tym jest – przyznałem.

– A więc postanowiłeś dać mu to, czego chce!

Uśmiechnąłem się i łyknąłem kawy.

– Do licha, nie był dostatecznie długo przytomny, żeby sprzedać mi swój towar – odparłem. – Zastanawiałem się nad tym i chcę wiedzieć, o co mu chodzi.

– Nie twierdzę, że nie powinieneś dowiedzieć się jak najwięcej. Przypominam tylko, że rozmowa z Lukiem to czasem coś w rodzaju dyskusji ze smokiem.

Znowu napiłem się kawy.

– Lubiałś go? – zapytałem.

– Lubiałam? – powtórzyła. – Tak. I nadal go lubię. Ale w tej chwili nie ma to znaczenia.

– Nie jestem pewien.

– Co masz na myśli?

– Nie skrzywdziłabyś go bez ważnych powodów.

– Nie. To prawda.

– W tej chwili nie jest dla mnie groźny.

– Tak się wydaje.

– A gdybym zostawił go pod twoją opieką i sam pojechał do Amberu, żeby przejść Wzorzec i przygotować ich na wieści?

Energicznie potrząsnęła głową.

– Nie – oświadczyła. – Nie będę... nie mogę... przyjąć w tej chwili takiej odpowiedzialności.

– Dlaczego nie?

Zawahała się.

– Tylko mi nie mów, że nie możesz – ciągnąłem. – Znajdź jakiś sposób i powiedz tyle, ile zdołasz.

Odpowiedziała powoli, jakby starannie dobierała każde słowo.

– Ponieważ ważniejsze jest dla mnie pilnowanie ciebie niż Luke'a. Wciąż grozi ci niebezpieczeństwo, którego nie rozumiem, nawet, jeśli nie on jest tego bezpośrednią przyczyną. Strzeżenie cię przed nieznaną groźbą ma wyższy priorytet niż opieka nad nim. Tym samym nie mogę tu pozostać. Jeśli ty wracasz do Amberu, to ja także.

– Wdzięczny jestem za troskę, ale nie chcę, żebyś za mną chodziła.

– Oboje nie mamy wyboru.

– Przypuśćmy, że po prostu wyatutuję się stąd do jakiegoś dalekiego cienia?

– Będę zmuszona podążyć za tobą.

– W tej postaci, czy jakiejś innej?

Odwróciła głowę i zaczęła grzebać w talerzu.

– Przyznałaś już, że możesz być innymi osobami. Odnajdujesz mnie w jakiś tajemniczy sposób, a potem przejmujesz kontrolę nad kimś z mojego otoczenia.

Podniosła do ust filiżankę.

– Być może coś nie pozwala ci tego przyznać – mówiłem dalej. – Ale tak właśnie jest. Wiem o tym.

Sztywno skinęła głową i wróciła do jedzenia.

– Powiedzmy, że wyatutuję się w tej chwili – powiedziałem. – A ty ruszysz za mną, wykorzystując swoje tajemnicze metody. – Wspomniałem rozmowy telefoniczne z Meg Devlin i panią Hansen. – Wtedy prawdziwa Vinta Bayle obudzi się we własnym ciele z luką w pamięci. Tak?

– Tak – przyznała cicho.

– A Luke znajdzie się w towarzystwie kobiety, która z radością go zabije, gdy tylko się domyśli, z kim ma do czynienia.

– Dokładnie tak. – Uśmiechnęła się blado.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Próbowaliśmy ograniczyć mój wybór, skłonić mnie, bym przeatutował się do Amberu i zabrał Luke'a ze sobą. Nie lubię, kiedy się mną kieruje albo do czegoś zmusza. Odruchowo robię wtedy coś innego, niż ode mnie oczekują. Nalałem kawy do filiżanek. Spojrzałem na kolekcję psich portretów na ścianie. Wypiłem trochę, rozkoszując się smakiem. Milczałem, bo nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym jeszcze dodać.

W końcu ona zaczęła.

– I co zrobisz? – zapytała.

Dopiłem kawę i wstałem.

– Zaniosę Luke'owi laskę – odparłem.

Wsunąłem krzesło na miejsce i przeszedłem do rogu, gdzie postawiłem kij.

– A potem? – Nie ustępowała. – Co zrobisz potem?

Spojrzałem na nią, ważąc kij w dłoni. Siedziała wyprostowana sztywno, z dłońmi na blacie stołu. Znowu dostrzegłem w jej twarzy maskę Nemezis. Czułem niemal elektryzację powietrza.

– To co muszę – odpowiedziałem, ruszając do drzwi.

Przyspieszyłem, gdy tylko zniknąłem jej z oczu. Na schodach, kiedy byłem pewien, że za mną nie idzie, przeskakiwałem po dwa stopnie. Po drodze wyjąłem z kieszeni karty i odszukałem właściwą.

Luke odpoczywał wsparty na poduszkach. Taca ze śniadaniem stała na krzeselku obok łóżka. Zarygłowałem drzwi.

– Co się dzieje, chłopie? Atakują nas czy co? – zapytał.

– Zbieraj się – rzuciłem.

Wziąłem jego miecz, podszedłem do łóżka, pomogłem mu usiąść i wcisnąłem do rąk broń i kij.

– Nie mam wyboru – wyjaśniłem. – A nie chcę oddawać cię Randomowi.

– Pocieszające – zauważył.

– Ale musimy się wynieść. Natychmiast.

– Jeśli o mnie chodzi, to zgoda.

Wsparł się na kiju i wstał ostrożnie. Usłyszałem jakiś hałas w korytarzu, ale było już za późno. Uniosłem kartę i skoncentrowałem się.

Ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

– Coś planujesz i uważam, że robisz błąd! – zawołała Vinta.

Nie odpowiadałem. Wizja krystalizowała się. Framuga pękła pod straszliwym kopnięciem, a wyrwany rygiel zawisł luźno. Luke spojrzał lekko przestraszony, kiedy chwyciłem go za ramię.

– Chodźmy.

Vinta wpadła do pokoju, kiedy przeprowadzałem już Luke'a. Wyciągała rękę, oczy jej błyszczały, a krzyk "Głupcze!" zdawał się przechodzić w wycie, gdy oblała ją tęcza. Potem zafalowała i zniknęła.

Staliśmy na trawie. Luke wypuścił powietrze – musiał wstrzymywać oddech.

– Lubisz chyba takie zagrania na ostatnią chwilę – stwierdził. Potem rozejrzał się i rozpoznał okolicę.

Uśmiechnął się krzywo.

– Kto by pomyślał – mruknął. – Kryształowa grotka.

– Z własnego doświadczenia wiem, że czas płynie tu w tempie mniej więcej takim, jakiego potrzebujesz.

Skinął głową. Ruszyliśmy wolno w kierunku wysokiego, niebieskiego wzgórza.

– Wciąż jest mnóstwo zapasów – dodałem. – A śpiwór powinien leżeć tam, gdzie go zostawiłem.

– Przyda się – mruknął.

Zatrzymał się zdyszany, zanim dotarliśmy do stóp wzgórza. Dostrzegłem, że spogląda w lewo, na garstkę porozrzucanych kości. Minęło pewnie kilka miesięcy, odkąd padła tam ta dwójka, która usunęła głaz. Ścierwojady miały dość czasu, żeby solidnie wykonać swoją robotę. Luke wzruszył ramionami, zrobił parę kroków i wsparł się o niebieską skałę. Wolno opadł do pozycji siedzącej.

– Będiesz musiał poczekać, zanim spróbuję wejść na górę – oznajmił. – Nawet z twoją pomocą.

– Jasne – zgodziłem się. – Możemy dokończyć rozmowy. O ile pamiętam, chciałeś właśnie złożyć mi propozycję nie do odrzucenia. Ja miałem przenieść cię w takie miejsce jak to, gdzie odzyskasz siły szybko, według czasu Twierdzy. Ty z kolei obiecałeś przekazać informację istotną dla bezpieczeństwa Amberu.

– Zgadza się – przyznał. – Nie słyszałeś też końca mojej historii. Jedno wiąże się z drugim.

Przykucnąłem naprzeciw niego.

– Mówiłeś, że twoja matka uciekła do Twierdzy, wpadła w jakieś kłopoty i wezwała cię na pomoc.

– Tak – potwierdził. – Zostawiłem sprawy z Ghostwheelem i próbowałem jakoś jej pomóc. Skontaktowałem się z Dalem, a on zgodził się przybyć i zaatakować Twierdzę.

– Zawsze dobrze jest mieć znajomy oddział najemników, których można szybko sprowadzić – stwierdziłem. Spojrzał na mnie spod oka, ale zdołałem zachować niewinną minę.

– Poprowadziliśmy więc ludzi przez Ciebie i ruszyliśmy do szturmowania – kontynuował. – To nas musiało widzieć, kiedy tam byłeś.

Wolno pokiwałem głową.

– Wyglądało na to, że pokonaliście mury. Co się nie udało?

– Wciąż nie wiem. Wszystko szło dobrze. Obrona się sypała, wdzieraliśmy się coraz głębiej, aż nagle Dalt napadł na mnie. Rozdzieliliśmy się na pewien czas, potem zjawił się znowu i zaatakował. Najpierw myślałem, że się pomylił; obaj byliśmy brudni i pokrwawieni. Krzyknąłem, że to ja. Ale nie ustępował. Dlatego tak mnie posiekał. Z początku nie chciałem mu robić krzywdy, bo sądziłem, że to jakieś nieporozumienie i za parę sekund zauważy swój błąd.

– Myślisz, że cię sprzedał? Czy może planował to już wcześniej? Jakież urazy?

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Zatem magia?

– Może. Nie wiem.

Przyszła mi do głowy niezwykła myśl.

– Czy wiedział, że zabiłeś Caine'a? – zapytałem.

– Nie. Postanowiłem nikomu nie zdradzać wszystkiego na swój temat.

– Nie oszukujesz mnie, co?

Roześmiał się i zrobił ruch, jakby chciał klepnąć mnie w ramię, ale zaraz skrzywił się i zrezygnował.

– Dlaczego pytasz? – rzucił po chwili.

– Sam nie wiem. Z ciekawości.

– Pewnie – mruknął. – Pomóż, mi wejść na górę i do środka – dodał. – Zobaczę, ile zostawiłeś zapasów.

– Dobrze.

Wstałem i pomogłem mu się podnieść. Przeszliśmy kawałek na prawo, gdzie zbocze było najłagodniejsze, i wolno doprowadziłem go na szczyt.

Oparł się na lasce i zajrzał do otworu.

– Niełatwe zejście – stwierdził. – Przynajmniej dla mnie. Z początku myślałem, że podtoczysz

beczkę ze spiżarni, a ja zeskoczę na nią, a potem na ziemię. Ale teraz widzę, że to jeszcze głębiej, niż pamiętam. Na pewno coś sobie złamię.

– Hmm... – mruknąłem. – Zaczekaj. Mam pewien pomysł.

Zawróciłem. Na dole skręciłem w prawo wzdłuż podstawy błękitnego zbocza, minąłem dwie lśniące skarpy i zniknąłem Luke'owi z oczu.

Wolałem bez koniecznej potrzeby nie używać Logrusu w jego obecności. Nie powinien wiedzieć, jak załatwiam pewne rzeczy i nie miałem ochoty mu uświadamiać, co potrafię, a czego nie. Też nie lubię zdradzać zbyt wiele na swój temat.

Logrus pojawił się na mój zew, a ja sięgnąłem w niego i wyciągnąłem ramiona. Pragnienie zadrzało, celem się stało. Płynęło wezwanie jak myśli wołanie, daleko, coraz dalej...

Strasznie długo wyciągałem logrusowe ramiona. Musieliśmy naprawdę trafić w jakieś pustkowie Cienia...

Kontakt.

Nie szarpałem, a raczej wywierałem powolny, stały nacisk. Czuję, jak sunie ku mnie poprzez cienie.

– Hej, Merle! Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziałem, nie wchodząc w szczegóły.

Bliżej, jeszcze bliżej...

Jest!

Zachwiałem się, gdy przybyła zdobycz, ponieważ wpadła na mnie zbyt blisko jednego z końców. Drugi uderzył o ziemię. Przesunąłem się do środka, chwyciłem mocno, podniosłem i ruszyłem w powrót. Ułożyłem ją na stromym odcinku stoku, kawałek przed miejscem, gdzie zostawiłem Luke'a, i wszedłem szybko. Potem ciągnąłem ją za sobą.

– Skąd wzięłeś drabinę? – zdziwił się.

– Znalazłem.

– To z boku wygląda jak świeża farba.

– Widocznie ktoś zgubił ją niedawno.

Opuściłem drabinę do otworu. Kiedy sięgnęła dna, z góry wystawał jeszcze prawie metr. Przesunąłem ją kawałek, żeby poprawić stabilność.

– Zaczę schodzić pierwszy – powiedziałem. – I będę tuż pod tobą.

– Znieś najpierw moją laskę i miecz, dobrze?

– Pewnie.

Zniosłem. Zanim wyszedłem na górę, Luke chwycił szczeble i rozpoczął zejście.

– Bodziesz mnie musiał nauczyć tej sztuczki – oświadczył dysząc ciężko.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odpowiedziałem.

Schodził powoli, odpoczywając na każdym szczeblu. Na dole był spocony i zdyszany. Natychmiast opadł na ziemię i przycisnął dłoń do piersi. Po dłuższej chwili przeczołgał się do tyłu i oparł o ścianę.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

– Będę się czuł. – Kiwnął głową. – Za parę minut. Cios w pierś zawsze odbiera siły.

– Chcesz koc?

– Nie, dziękuję.

– Odpocznij tutaj, a ja sprawdzę w spiżarni, czy ktoś nie dobrał się do zapasów. Przynieść ci coś?

– Trochę wody.

Zapasom nic się nie stało, a śpiwór leżał na miejscu. Wróciłem do Luke'a z wodą i kilkoma

ironicznymi wspomnieniami tamtych chwil, kiedy on zrobił dla mnie to samo.

– Dobra wiadomość – powiedziałem. – Wszystkiego jest pod dostatkiem.

– Nie wypijeś chyba całego wina? – spytał między jednym łykiem wody a drugim.

– Nie.

– To dobrze.

– Mówiłeś, że posiadasz informację niezwykle istotną dla interesów Amberu – przypomniałem. –

Powiesz mi teraz?

– Jeszcze nie. – Uśmiechnął się.

– Myślałem, że taka była umowa.

– Nie słyszałeś wszystkiego. Przerwano nam.

Potrząsnąłem głową.

– No dobrze, przerwano nam – zgodziłem się. – Powiedz mi resztę.

– Muszę stanąć na nogach, żeby zdobyć Twierdzę i uwolnić matkę...

Przytaknąłem.

– Dostaniesz tę informację, kiedy już ją uwolnimy.

– Zaraz! Chwileczkę! Trochę za wiele wymagasz!

– Nie za wiele wobec tego, czym płacę.

– Wychodzi na to, że kupuję kota w worku.

– Tak, chyba tak. Ale przekonasz się, że warto.

– A jeśli wartość twoich informacji objawi się wtedy, kiedy ja będę jeszcze czekać?

– Nie, przeliczyłem sobie wszystko. Moja rekonwalescencja potrwa kilka dni czasu Amberu. Nie

wierzę, by sprawy skomplikowały się tak szybko.

– Luke, to mi zaczyna wyglądać na jakiś numer.

– Bo tak jest – przyznał. – Ale przyniesie korzyści zarówno Amberowi jak mnie.

– No właśnie. Nie wyobrażam sobie, żebyś zdradził przeciwnikowi coś podobnego.

Westchnął.

– To może nawet wystarczyć, żeby mnie odciąć od stryczka.

– Chcesz odwołać wendetę?

– Sam jeszcze nie wiem. Ale sporo ostatnio myślałem i gdybym postanowił spróbować tej drogi,

miałbym niezłe wejście.

– A gdybyś postanowił nie próbować, to działasz przeciwko sobie. Zgadza się?

– Jakoś zdołam to przeżyć. Zadanie będzie trudniejsze, ale wciąż wykonalne.

– Czy ja wiem? Jeśli ktoś się o tym dowie, a ja nie przedstawię żadnych powodów, dlaczego cię

wypuściłem, wpadnę w bagno po uszy.

– Nikomu nie powiem, jeśli ty nie powiesz.

– Jest jeszcze Vinta.

– A ona upiera się, że głównym celem jej życia jest opieka nad tobą. Zresztą, kiedy wrócisz, jej już

nie będzie. A raczej będzie prawdziwa Vinta, która właśnie przebudziła się z niespokojnego snu.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Bo zniknąłeś. Na pewno ruszyła cię szukać.

– Domyślasz się, kim ona jest naprawdę?

– Nie, ale kiedyś chętnie pomogę ci zgadywać.

– Nie teraz?

– Nie. Teraz muszę się jeszcze przespać. Znowu słabnę.

— Więc powtórzmy jeszcze raz naszą umowę. Co zamierzasz robić, w jaki sposób chcesz to

załatwić i co obiecujesz?

Ziewnął.

– Zostanę tutaj, póki nie wrócę do formy. Skontaktuję się z tobą, kiedy będę gotów do szturmu na Twierdzę. Co mi przypomina, że wciąż masz moje Atuty.

– Wiem. Mów dalej. Jak planujesz zdobyć Twierdzę?

– Pracuję nad tym. Zawiadomię cię. Wtedy zresztą możesz nam pomóc albo nie, jak uznasz za stosowne. Chociaż nie przeszkadzałby mi drugi czarodziej do pomocy. Kiedy będziemy w środku, a ona wolna, powiem, co obiecałem, a ty możesz to przekazać w Amberze.

– A jeśli przegracie? – spytałem.

Odwrócił wzrok.

– No cóż, zawsze istnieje taka możliwość – zgodził się po chwili. – Co powiesz na taką propozycję: spiszę wszystko i będę miał ze sobą. Przed atakiem przekażę ci to osobiście albo przez Atut. Wygramy czy przegramy, zostaniesz spleacony.

Wyciągnął zdrową rękę. Uścisnąłem ją.

– Zgoda.

– Więc oddaj mi Atuty, a ja połączę się z tobą, jak tylko będę gotów.

Zawahałem się. Wreszcie wyjąłem talię, która ostatnio znacznie pogrubiała. Odłożyłem swoje i część jego, a jemu oddałem pozostałe.

– Co z resztą?

– Chcę im się przyjrzeć, Luke. Zgoda?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze mogę zrobić nowe. Ale oddaj mi Atut matki.

– Trzymaj.

Wziął kartę.

– Nie wiem, co planujesz – powiedział. – Ale dam ci dobrą radę: nie zadawaj się z Daltem. Nawet kiedy jest normalny, nie należy do najsympatyczniejszych ludzi, a myślę, że w tej chwili coś z nim jest nie tak. Trzymaj się od niego z daleka.

Skinąłem głową i wstałem.

– Idziesz już? – spytał.

– Tak.

– Zostaw mi drabinę.

– Jest twoja.

– Co powiesz w Amberze?

– Nic... na razie. Słuchaj, może przyniosę ci tutaj trochę jedzenia? Nie będziesz musiał sam chodzić.

– Niezły pomysł. I butelkę wina.

Ruszyłem korytarzem i po chwili wróciłem ze stosem prowiantu. Przyciągnąłem też śpiwór.

Wszedłem na drabinę i zatrzymałem się.

– Nie podjąłeś jeszcze decyzji – rzuciłem. – Prawda?

– Nie bądź taki pewny. – Uśmiechnął się.

Na górze spojrzałem na wielki głaz, który kiedyś więził mnie w grocie. Niedawno planowałem odpłacić Luke'owi tym samym. Mógłbym wyliczyć czas i wrócić po niego, jak tylko wyzdrowieje. W ten sposób na pewno by nie uciekł. Zrezygnowałem, nie tylko dlatego, że nikt o nim nie wiedział i gdyby coś mi się przytrafiło, Luke byłby trupem. Główną przyczyną było to, że zamknięty nie dosięgnąłby mnie przez Atut, kiedy nadejdzie pora, by ruszać. Tak przynajmniej to sobie

tłumaczyłem. Schyliłem się jednak, chwyciłem krawędź głazu i pchnąłem go bliżej otworu.

– Merle! Co ty robisz? – głos z dołu.

– Szukam robaków na ryby – odpowiedziałem.

– Przestań! Nie...

Roześmiałem się i popchnąłem jeszcze kawałek.

– Merle!

– Pomyślałem, że wolisz mieć drzwi zamknięte, bo przecież może padać. Ale są za ciężkie. Nic z tego. Nie przejmuj się.

Odwróciłem się i skoczyłem. Uznałem, że powinno mu pomóc trochę dodatkowej adrenaliny.

Rozdział 8

Zeskoczyłem na ziemię i pobiegłem dalej, do miejsca, gdzie wyczarowałem drabinę. Było osłonięte z kilku stron.

Wyjąłem jedną z czystych kart. Czas naglił. Kiedy znalazłem ołówek, okazało się, że jest złamany. Sięgnąłem po miecz; miał klingę długości mojego ramienia. Odkryłem dla niej nowe zastosowanie. Po minucie czy dwóch karta leżała przede mną na kamieniu, a ja szkicowałem swój pokój w Arbor; przez moje dłonie płynęła moc Logrusu. Musiałem pracować starannie, przelewając w rysunek odpowiednie wrażenie tamtego miejsca. Wreszcie skończyłem i wyprostowałem się. Atut był jak należy, gotów. Otworzyłem umysł i spoglądałem na swe dzieło, aż stało się rzeczywistością. A potem wszedłem do pokoju. Dokładnie w chwili, kiedy przypominałem sobie coś, o co powinienem spytać Luke'a. Za późno.

Za oknem cienie drzew wyciągały się ku wschodowi.

Najwyraźniej zniknąłem stąd prawie na cały dzień. Rozejrzałem się. Na zasłanym teraz łóżku zauważyłem kawałek papieru, dla ochrony przed podmuchami wiatru przyciśnięty rogiem poduszki. Podniosłem kartkę, zdejmując z niej wcześniej mały niebieski guzik.

List był po angielsku. Brzmiał: SCHOWAJ GUZIK BEZPIECZNIE, DOPÓKI NIE BĘDZIESZ GO POTRZEBOWAŁ. NA TWOIM MIEJSCU NIE NOSIŁABYM GO ZBYT CZĘSTO. MAM NADZIEJĘ, ŻE PODJĄŁEŚ SŁUSZNĄ DECYZJĘ. ZAPEWNE WKRÓTCE SIĘ PRZEKONAM. DO ZOBACZENIA.

Podpisu nie było.

W bezpiecznym miejscu czy nie, nie mogłem przecież zostawić go tutaj. Zawinałem więc guzik w list i wsadziłem do kieszeni. Potem wyjąłem z szafy płaszcz i przewiesiłem sobie przez ramię.

Wyszedłem na korytarz. Zamek był wyłamany, więc zostawiłem drzwi szeroko otwarte. Nasłuchiwałem uważnie, nie usłyszałem jednak żadnych głosów, żadnych szmerów.

Dotarłem do schodów i ruszyłem w dół. Zauważyłem ją w ostatniej chwili, tak nieruchomo siedziała przy oknie z prawej strony. Obok, na małym stoliczku, stała taca z chlebem i serem, kielich i butelka wina.

– Merlin! – zawołała, unosząc się w fotelu. – Służba powiedziała mi, że tu byłeś, ale nie mogłam cię znaleźć.

– Odwołano mnie – wyjaśniłem. Zszedłem z ostatniego stopnia i zbliżyłem się do niej. – Jak się czujesz?

– Skąd... co o mnie wiesz? – spytała.

– Prawdopodobnie nie pamiętasz niczego, co miało miejsce w ciągu ostatnich kilku dni – wyjaśniłem.

– Masz rację – przyznała. – Może usiądziesz?

Skinęła w stronę pustego fotela naprzeciw niej.

– Częstuj się. – Wskazała tacę. – Pozwól, że naleję ci wina.

– Dziękuję – odparłem. Zauważyłem, że pije białe.

Wstała, podeszła do szafki i wyjęła drugi kielich. Wróciła, nalała zdrową porcję Sików Bayle'a i postawiła przede mną. Pomyślałem, że może dobre wino trzymają dla siebie.

– Czy możesz jakoś wytłumaczyć ten zanik pamięci? – zapytała. – Byłam w Amberze, a następna rzecz, jaką pamiętam, to że zbudziłam się tutaj i minęło kilka dni.

– Tak – przyznałem, częstując się krakersem z kawałkiem sera. – Kiedy mniej więcej stałaś się znowu sobą?

– Dziś rano.

– Nie ma powodów do zmartwień. Teraz już nie. Objawy nie powinny się powtórzyć.

– Ale co to było?

– Po prostu coś, co się tu działo. – Skosztowałem wina.

– Bardziej przypomina to czary niż grypę.

– Może była w tym odrobina czarów – potwierdziłem. – Nigdy nie wiadomo, co może tu przywiać z Cienia. Ale prawie wszyscy, którzy na to zapadli, czują się teraz doskonale.

Zmarszczyła czoło.

– To dziwne...

Zjadłem jeszcze parę krakersów i łyknąłem wina. Rzeczywiście, to lepsze trzymali dla siebie.

– Nie ma absolutnie żadnych powodów do niepokoju – powtórzyłem.

– Wierzę ci. – Z uśmiechem skinęła głową. – A co właściwie tu robisz?

– Zatrzymałem się na chwilę. Wracam do Amberu... skądinał. Co mi przypomina: czy mógłbym pożyczyć konia?

– Naturalnie. Kiedy chcesz odjechać?

– Jak tylko dostanę konia.

Wstała.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że się spieszysz. Zaprowadzę cię do stajni.

– Dzięki.

Po drodze złapałem jeszcze dwa krakersy z serem i wypilem resztę wina. Zastanawiałem się, gdzie teraz dryfuje błękitna mgiełka.

Wybrałem dobrego konia; powiedziała, że mogę go odprowadzić do ich stajni w Amberze. Osiodłałem go i założyłem uprząż. Był szary i miał na imię Smuga. Potem zarzuciłem płaszcz i ścisnąłem dłonie Vinty.

– Dziękuję za gościnność. Nawet jeśli jej nie pamiętasz.

– Nie żegnaj się jeszcze. Przejedź dookoła, do kuchennych drzwi przy patio. Dam ci manierkę i jakiś prowiant na drogę. Nie mieliśmy chyba szalonego romansu, o którym teraz zapomniałam?

– Dżentelmen nie mówi o takich rzeczach.

Roześmiała się i klepnęła mnie w ramię.

– Odwiedź mnie kiedyś, kiedy będę w Amberze. Odświeżysz moje wspomnienia.

Chwyciłem juki, worek owsa dla Smugi i długi powróż.

Potem wyprowadziłem konia na zewnątrz. Vinta pobiegła do domu. Wskoczyłem na siodło i ruszyłem wolno za nią. Kilka psów odprowadzało mnie w podskokach. Dłuższą drogą okrążyłem rezydencję, a w pobliżu kuchni ściągnąłem wodze i zeskoczyłem na ziemię. Spoglądałem na patio, żalując, że nie mam takiego samego. Mógłbym siadywać tam rankami i popijać kawę. A może chodziło o towarzystwo?

Po chwili otworzyły się drzwi. Vinta wręczyła mi zawiniątko i manierkę.

– Daj znać mojemu ojcu, że wrócę za kilka dni – poprosiła, kiedy przytraczałem prowiant. – Powiedz, że wyjechałam na wieś, bo nie czułam się najlepiej, ale teraz już wszystko w porządku.

– Z przyjemnością – obiecałem.

– Właściwie nie wiem, po co się tu zjawiłeś. Ale jeśli ma to związek z polityką albo intrygami, wolę nie wiedzieć.

– Dobrze.

– Jeśli służący zaniósł śniadanie wysokiemu, rudowłosemu mężczyźnie, który wyglądał na poważnie rannego, to pewnie lepiej o tym zapomnieć?

– Raczej tak.

– Będzie więc zapomniane. Ale chciałabym poznać tę historię.

– Ja też – odparłem. – Zobaczymy, co da się zrobić.

– No to szczęśliwej podróży.

– Dzięki. Postaram się, żeby była szczęśliwa.

Ścisnąłem jej rękę, odwróciłem się, wskoczyłem na konia.

– Na razie.

– Do zobaczenia w Amberze – odpowiedziała.

Ruszyłem dalej wokół domu, aż znów znalazłem się przy stajni. Minałem ją i wjechałem na szlak, znany mi z naszej wycieczki i biegnący we właściwym kierunku. Za plecami zawył pies, a po chwili przyłączył się drugi. Od południa wiał lekki wiatr, niosący jesienne liście. Chciałem być już na drodze, daleko stąd i sam. Cenię samotność, ponieważ wtedy najlepiej mi się myśli, a wiele spraw miałem do przemyślenia.

Jechałem na północ. Mniej więcej po dziesięciu minutach trafiłem na polną drogę, którą przecinaliśmy wczoraj. Tym razem skręciłem na zachód i dotarłem do skrzyżowania ze znakiem wskazującym, że Amber leży na wprost. Ruszyłem.

W żółtej ziemi odcisnęły się koleiny wielu kół. Mijałem wzniesienia i dolinki, ugory i pola otoczone niskimi kamiennymi murkami, kilka drzew po obu stronach traktu.

Daleko w przodzie widziałem surowe szczyty gór, wznoszące się nad coraz bliższym lasem. Jechałem swobodnym klusem, wracając myślami do wydarzeń ostatnich dni. Bez wątpienia miałem gdzie zaciętego wroga. Luke zapewnił mnie, że to już nie on, i muszę przyznać, że był przekonujący. Nie musiał przychodzić po pomoc do mnie, co zauważył on sam i Vinta. Sam znalazłby drogę do błękitnej groty albo jakiegoś innego sanktuarium. A ta sprawa z pomocą w uwolnieniu Jasry z pewnością mogła poczekać. Moim zdaniem Luke próbował pogodzić się ze mną jak najszybciej, ponieważ byłem jego jedynym kontaktem z dworem Amberu, a los chyba przestał mu sprzyjać. Miałem przecucie, że chciałby formalnie określić swoją sytuację w Amberze; wspomniał o informacji, którą obiecał przekazać jako znak dobrej woli, a jednocześnie argument w przetargu. Nie wiem, czy byłem niezbędny dla realizacji planów uwolnienia Jasry. Znał przecież Twierdzę na wylot, był swego rodzaju czarodziejem i miał grupę najemników, których mógł przetransportować z cienia-Ziemi. Ta jego amunicja powinna działać nie gorzej niż w Amberze. A niezależnie od tego, mógł przecież od razu przeatutować grupę szturmową na miejsce. Nie musiał nawet wygrywać bitwy; wystarczyło przeskoczyć do środka, złapać Jasrę i zniknąć. Nie, naprawdę nie sądziłem, by konieczny był mój udział w tej operacji. Przypuszczam, że zarzucił na mnie wędkę w nadziei, że kiedy atmosfera się oczyści, rozważymy spokojnie, co ma i czego chce, i złożymy mu jakąś ofertę.

Miałem też wrażenie, że teraz, kiedy Caine zginął i honor rodu został zaspokojony, Luke byłby skłonny odwołać swoją wendetę. A wtedy Jasra stałaby się kulą u nogi. Nie wiedziałem, jak bardzo jest od niej zależny, przyszło mi jednak do głowy, że ta tajemnicza wiadomość może dotyczyć właśnie metod unieszkodliwienia Jasry.

Gdyby przekazał nam ją dyskretnie i tak, by wydawało się, że sami na to wpadliśmy, zachowałby twarz wobec matki i zagwarantował sobie pokój z nami. Kuszący pomysł. Musiałem tylko znaleźć sposób, by przedstawić go na dworze, nie narażając się przy tym na zarzut, że uwolnienie Luke'a było zdradą. A zatem wykazać, że zyski warte są ryzyka.

Drzewa przy drodze rosły gęściej, a sam las zbliżył się wyraźnie. Przejechałem drewnianym

mostkiem nad czystym potokiem, a cichy plusk towarzyszył mi jeszcze przez długi czas. Po lewej stronie widziałem brunatne pola i odległe zabudowania, po prawej wóz z pękniętą osią...

A jeśli źle odczytałem intencje Luke'a? Czy mogłem przycisnąć go jakoś i sprawić, by te interpretacje okazały się jednak słuszne? Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Nie byłem nim zachwycony, ale rozważyłem mimo wszystko. Wiązał się z ryzykiem i szybkością. Miał przy tym pewne zalety. Analizowałem go przez chwilę, po czym wróciłem do wyjściowych rozważań.

Gdzieś tam był nieprzyjaciel. Jeśli to nie Luke, to kto? Oczywistym kandydatem wydawała się Jasra. Bardzo wyraźnie określiła swoje uczucia wobec mnie przy obu okazjach, gdy się spotkaliśmy. Mogła też wysłać tych zbójów, którzy zaatakowali mnie w Alei Śmierci. W takim przypadku, skoro Jasra jest teraz więźniem w Twierdzy, nic mi już chyba nie grozi. Chyba że wysłała jeszcze kilku, zanim dostała się w niewolę. Ale to chyba przesada. Po co marnować na mnie tylu ludzi? Jeśli szukała zemsty, byłem tylko niewiele znaczącą figurą w jej planach. A tym, którzy mnie napadli, mało brakowało do wykonania zadania.

A jeśli to nie Jasra? W takim razie wciąż byłem w niebezpieczeństwie. Czarownik w niebieskiej masce – zakładałem, że to Sharu Garrul – wysłał za mną tornado, co było wstępem o wiele mniej przyjaznym od kwiatów, które nadeszły później. Te z kolei dowodziły, że on właśnie krył się za tą dziwną rozmową w mieszkaniu Flory w San Francisco. Wtedy sam zainicjował kontakt, co oznaczało, że ma wobec mnie jakieś plany. Co takiego powiedział? Że w przyszłości nasze cele mogą być sprzeczne. Interesujące, zwłaszcza w retrospekcji. Ponieważ dostrzegałem teraz możliwość, że tak właśnie się stanie.

Ale czy to naprawdę Sharu Garrul nasłał na mnie morderców? Coś tu się nie zgadzało, chociaż musiał wiedzieć – dowodził tego niebieski guzik w mojej kieszeni – o mocy błękitnego kamienia, który ich do mnie doprowadził. Przede wszystkim nasze cele nie znalazły się jeszcze w sprzeczności. Po drugie, styl chyba nie był odpowiedni dla tajemniczego, rzucającego kwiaty władcy żywiołów. Mogłem się mylić, naturalnie, ale od kogoś takiego oczekiwałem raczej jakiegoś pojedynku na czary. Pola ustąpiły miejsca dzikim ugorom – zbliżałem się do granicy lasu. Zwiastun zmierzchu wkroczył już pod zielone liście jego dziedziny. Jednak ten las nie przypominał starej, gęstej puszczy, jak Arden. Z daleka dostrzegałem liczne przerwy w dachu gałęzi. Droga wciąż była szeroka i dobrze utrzymana. Wjeżdżając w cienisty chłód, mocniej otuliłem się płaszczem. Zapowiadała się przyjemna wycieczka – jeśli nadal tak to będzie wyglądać. Nie spieszyłem się. Zbyt wiele miałem problemów i musiałem pomyśleć...

Gdybym tylko potrafił dowiedzieć się czegoś więcej od tej niezwyklej, bezimiennej istoty, która ostatnio panowała nad Vintą Bayle. Wciąż nie miałem pojęcia, jaka jest jej prawdziwa natura. Tak, "jej". Wyczuwałem jakoś, że jest to istota raczej żeńska niż męska, chociaż kierowała też George'em Hansenem i Danem Martinezem.

Może powodem był fakt, że kochałem się z Meg Devlin. Trudno powiedzieć. Ale dość długo znałem Gail, a Pani z Jeziora wydawała się prawdziwą panią...

Dosyć. Wybrałem zaimiek. W grę wchodziły ważniejsze sprawy. Na przykład, dlaczego wszędzie mnie śledziła, upierając się przy tym, że chce mnie chronić? Nie miałem nic przeciwko temu, ale wolałbym poznać jej motywów.

Była jednak kwestia o wiele bardziej istotna. To w końcu jej sprawa, że chce mnie chronić. Problem w tym, przed czym jej zdaniem potrzebowałem ochrony. Musiała myśleć o jakimś bardzo konkretnym zagrożeniu, a nie napomknęła nawet, o co może chodzić. Czy więc to był nieprzyjaciel? Prawdziwy nieprzyjaciel? Przeciwnik Vinty?

Spróbowałem przypomnieć sobie wszystko, co o niej wiedziałem albo się domyśliłem.

Jest niezwykłą istotą, która czasem przyjmuje postać niebieskiej mgiełki. Potrafi podążać za mną przez Ciebie. Jej moc pozwala na opanowanie ludzkiego ciała i całkowite stłumienie naturalnej jaźni. Przez wiele lat przebywała w moim otoczeniu, a ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jej pierwszą inkarnacją, o jakiej wiem, była Gail, dawna dziewczyna Luke'a.

Czemu Gail? Jeśli chroniła mnie, to dlaczego chodziła z Lukiem? Dlaczego nie została którąś z moich dziewczyn? Czemu nie Julią? Ale nie. Wybrała Gail. Czy dlatego, że to Luke stanowił zagrożenie i wolała obserwować go z bliska? Ale przecież nie przeszkodziła mu w zamachach na moje życie. A potem Jasrze. Wiedziała przecież, sama przyznała, że to Jasra dokonywała następnych. Dlaczego po prostu nie usunęła obojga?

Mogła opanować ciało Luke'a, wejść przed rozpędzony samochód, wyfrunąć ze zwłok, a potem zrobić to samo z Jasrą. Nie bała się śmierci nosiciela. Dwa razy widziałem, jak to robi.

Chyba że skądś wiedziała, że wszystkie zamachy na mnie się nie powiodą. Czy mogła interweniować w wypadku paczki z bombą? Czy miała coś wspólnego z moimi przeczuciami tamtego ranka otwartych palników? I przy innych okazjach? Mimo wszystko, łatwiej chyba byłoby dotrzeć do samego Źródła i usunąć je. Wiedziałem, że nie ma oporów przed zabijaniem. Kazała zabić ostatniego z napastników w Alei Śmierci.

Dlaczego więc?

Przychodziły mi na myśl dwa wyjaśnienia. Jedno, że naprawdę polubiła Luke'a i szukała sposobów, by unieszkodliwić go nie zabijając. Zaraz jednak przypomniałem sobie ją we wcieleniu Martineza i teoria upadła. Przecież strzelała tamtej nocy w Santa Fe. No dobrze. Istniała też inna możliwość: to nie Luke był głównym zagrożeniem, a ona lubiła go i pozwoliła żyć, kiedy przerwał te zabawy z trzydziestymi kwietnia, a nasze stosunki znowu się poprawiły. W Nowym Meksyku nastąpiło coś, co skłoniło ją do zmiany zdania. Nie miałem pojęcia, co to było. Potem jechała za mną do Nowego Jorku i wcieliła się po kolei w George'a Hansena i Meg Devlin. Luke zniknął wtedy z horyzontu; nie pojawił się aż od incydentu na wycieczce. Nie zagrażał mi, lecz ona wciąż podejmowała gorączkowe próby nawiązania ze mną kontaktu. Czy nadciągało prawdziwe niebezpieczeństwo?

Myślałem intensywnie, ale wciąż nie miałem pojęcia, na czym mogłoby polegać. Czyżby moje domysły biegły fałszywym tropem? Z pewnością nie była wszechwiedząca. Sprowadziła mnie do Arbor, żeby uzyskać informacje, nie tylko aby usunąć mnie ze sceny napadu. A pewne jej pytania były nie mniej intrygujące niż niektóre odpowiedzi.

Mój umysł wykonał salto w tył. Jak brzmiało jej pierwsze pytanie?

Wylądowałem zwinnie na stopach myśli: u Billa Rotha słyszałem to pytanie kilkakrotnie. Jako George Hansen postawiła je niby przypadkiem, a ja skłamałem. Postawiła je jako głos w słuchawce telefonu, a ja odmówiłem odpowiedzi. Jako Meg Devlin, w łóżku, skłoniła mnie w końcu do szczerego wyznania: jak ma na imię moja matka. Kiedy powiedziałem, że Dara, zaczęła w końcu mówić. Ostrzegła mnie przed Lukiem. Skłonna była chyba powiedzieć coś więcej, lecz przybycie męża prawdziwej Meg przerwało nam rozmowę.

O czym mogło to świadczyć? Dowodziło, że pochodzę z Dworców Chaosu, o których ani razu nie wspomniała. A jednak to musiało być ważne.

Miałem wrażenie, że znam już odpowiedź, ale nie uświadomię jej sobie, póki nie sformułuję właściwego pytania.

Dość o tym. To ślepy zaułek. Nic nie umiałem wywnioskować z faktu, że ona wie o moich związkach z Dworcami. Oczywiście wiedziała też o moich związkach z Amberem, i też nie miałem pojęcia, jak wkomponować to w układ wydarzeń. Na razie musiałem porzucić tę kwestię, by wrócić

do niej przy innej okazji. Miałem wiele innych problemów. A przynajmniej wiele nowych pytań, które zadam jej przy następnym spotkaniu. Byłem pewien, że się jeszcze spotkamy.

A potem przyszło mi do głowy coś innego. Jeśli w ogóle mnie chroniła, musiała to robić bardzo dyskretnie. Udzieliła wielu informacji, zapewne prawdziwych, ale nie miałem żadnej możliwości ich sprawdzenia. Poczynając od tych telefonów i obserwowania mnie w Nowym Jorku, aż po zabicie jedyne go potencjalnego Źródła informacji w Alei Śmierci, sprawiała raczej kłopoty niż pomagała. Możliwe, że pojawi się znowu i wyskoczy z tą swoją pomocą w najmniej odpowiednim momencie.

Zamiast więc przygotowywać się do dyskusji z Randomem, przez następną godzinę dumiałem nad naturą istoty, która potrafi wstąpić w ciało i opanować umysł dowolnej osoby. O ile wiem, można tego dokonać jedynie pewną skończoną ilością sposobów. Dzięki temu szybko ograniczyłem pole poszukiwań. Przypomniałem sobie, co o niej wiem, i wykorzystałem pewne techniczne sztuczki, jakich nauczył mnie wujek. Kiedy uznałem, że rozpracowałem problem, wróciłem do początku i zadumałem się nad siłami, które były w to zaangażowane.

Od sił przeszedłem do harmonicznych wibracji ich aspektów. Użycie czystej mocy, choć robi wrażenie, jest marnotrawstwem, w dodatku bardzo męczącym dla wykonawcy. Nie wspomnę nawet, że to estetyczne barbarzyństwo. Lepiej przygotować się z awansu.

Ułożyłem mówione znaki i zredagowałem z nich zakłęcie. Suhuy potrafiłby pewnie zrobić to krócej, ale w tych sprawach działa prawo malejących zysków; moje zakłęcie powinno wystarczyć, jeśli nie pomyliłem się w kwestiach zasadniczych. Złożyłem je i zestawiłem. Było dość długie – za długie, by je recytować w pośpiechu. Przystudiowałem zakłęcie dokładnie i dostrzegłem trzy punkty zaczepienia, które powinny je utrzymać. Choć lepsze byłyby cztery.

Przywołałem Logrus i wsunąłem język w jego ruchomy wzorzec. Potem wypowiedziałem zakłęcie, powoli i wyraźnie, opuszczając tylko cztery wybrane, kluczowe słowa. Las wokół zamarł w absolutnej ciszy i tylko mój głos dźwięczał donośnie. Czar zawisł przede mną jak okaleczony motyl dźwięku i koloru, pochwycony w synestetycznej sieci mojej osobistej wizji Logrusu. Pojawi się znowu, gdy go przywołam, i zostanie uwolniony, gdy wypowiem cztery opuszczone słowa.

Odesłałem wizję i poczułem, jak rozluźnia mi się język. Teraz nie tylko ona była zdolna do kłopotliwych niespodzianek.

Przystanąłem, by łyknąć wody. Niebo pociemniało i znowu zabrzmiały odgłosy lasu. Zastanawiałem się, czy nadeszły jakieś wieści od Fiony albo Bleysa, i jak radzi sobie w mieście Bill. Słuchałem szumu gałęzi. I nagle odniosłem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje... nic zimne wejrzenie Atutu, ale uczucie, że jakaś para oczu wbija we mnie wzrok. Zadrzałem. To przez te myśli o nieprzyjaciółach.

Poluzowałem miecz i jechałem dalej. Noc była jeszcze młoda i więcej mil przede mną niż za plecami. Jechałem poprzez zmierzch. Byłem ostrożny, ale nie widziałem ani nie słyszałem niczego podejrzanego. Czy pomyliłem się co do Jasry, Sharu Garrula, a nawet Luke'a? Czy ściagała mnie już banda morderców? Co jakiś czas ściągałem wodze i nasłuchiwałem. Nie usłyszałem niczego, co można by uznać za odgłos pogoni. Wyraźnie czułem w kieszeni niebieski guzik. Czy był latarnią morską dla posłania jakiegoś złowrogiego maga? Nie chciałem się go pozbywać, gdyż przewidywałem dla niego liczne zastosowania. Poza tym, jeśli już mnie dostroił – a prawdopodobnie tak – nic by mi nie przyszło z wyrzucenia go teraz. Ukryję go raczej w jakimś bezpiecznym miejscu, a potem spróbuję wygasić jego wibracje. Do tej pory nie warto było podejmować żadnych działań.

Niebo ciemniało stopniowo i, z pewnym wahaniem, postanowiło się pokazać kilka gwiazd. Smuga i ja zwolniliśmy jeszcze bardziej, lecz droga była równa, a jej wyraźnie widoczna jasna powierzchnia nie stwarzała zagrożeń. Z prawej strony rozległo się wołanie sowy i po chwili

dostrzegłem ciemną sylwetkę szybującą niezbyt wysoko między drzewami. Nocna jazda byłaby przyjemna, gdybym nie wymyślał własnych upiórów i nie straszył się nimi. Uwielbiam zapach jesieni i lasu; postanowiłem spalić później w ognisku trochę liści – dla tego nieporównanego z żadnym innym aromatu.

Powietrze było chłodne i czyste. Stukot kopyt, nasze oddechy i wiatr były chyba jedynymi odgłosami, póki chwilę później nie spłoszyliśmy jelenia; długo jeszcze słyszeliśmy cichnący tętent jego racic. Przejechaliśmy przez niewielki, lecz solidny drewniany mostek, ale żaden troll nie pobierał myta. Droga pięła się w górę, a my podążaliśmy wraz z nią, powoli, ale systematycznie docierając do coraz wyżej położonych terenów. Przez splecione gałęzie widziałem liczne gwiazdy, nie dostrzegłem jednak nawet chmurki. Drzewa liściaste były coraz bardziej nagie i coraz częściej trafiały się iglaste. Silniej dmuchał wiatr.

Zatrzymałem się teraz częściej, by Smuga mógł odpocząć, by posłuchać, przegryźć coś z zapasów. Postanowiłem nie rozbijać biwaku przynajmniej do wschodu księżyca – jego czas próbowałem odgadnąć na podstawie wspomnień zeszłej nocy, kiedy księżyc pojawił się zaraz po tym, jak opuściłem Amber. Jeśli dotrę odpowiednio daleko, pozostała na jutrzejszy ranek część drogi będzie całkiem prosta.

Frakir raz tylko ścisnęła mi lekko nadgarstek. Ale, do licha, takie rzeczy zdarzały się nawet na ulicy, kiedy zajechałem komuś drogę. Może akurat przebiegał głodny lis, zobaczył mnie i zapragnął być niedźwiedziem. Mimo wszystko zatrzymałem się wtedy tam dłużej, niż zamierzałem; szykowałem się na atak i usiłowałem nie sprawiać takiego wrażenia.

Ale nic się nie stało, a Frakir nie powtórzyła ostrzeżenia, więc po chwili ruszyłem dalej. Wróciłem do idei przyciśnięcia trochę Luke'a, a przy okazji Jasry. Nie był to jeszcze plan, ponieważ brakowało wszystkich właściwie szczegółów. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wydawał się zwariowany. Przede wszystkim jednak był niezwykle kuszący i potencjalnie rozwiązywał wiele problemów. Zastanawiałem się, czemu nigdy nie stworzyłem Atutu Billa Rotha. Poczulem nagle, że powinienem pogadać z dobrym adwokatem. Może przed zakończeniem sprawy przyda mi się ktoś, kto przemówi w moim imieniu. Trochę za ciemno, by próbować rysunku... Zresztą na razie nie ma potrzeby. Chciałem z nim tylko porozmawiać, przekazać najnowsze wieści, poznać zdanie kogoś, kto nie jest bezpośrednio zaangażowany.

Przez następną godzinę Frakir nie próbowała mnie przed niczym ostrzegać. Rozpoczęliśmy łagodny zjazd, wkrótce docierając do bardziej osłoniętych terenów, gdzie unosił się ciężki aromat sosen. Myślałem... o czarownikach i kwiatach, o Ghostwheelu i jego kłopotach, o imieniu tej istoty, która ostatnio panowała nad Vintą. Miałem też do przemyślenia inne sprawy, a niektóre sięgały bardzo daleko wstecz.

Wiele przystanków później, kiedy cienka strużka księżycowego blasku sączyła się za mną przez gałęzie, postanowiłem przerwać jazdę i poszukać miejsca na nocleg. W najbliższym strumieniu pozwoliłem Smudze napić się wody. Mniej więcej kwadrans później dostrzegłem obiecującą łąkę po prawej stronie. Zjechałem więc z drogi i ruszyłem w tamtym kierunku.

Okazało się, że miejsce nie jest tak wygodne, jak myślałem. Pojechałem więc dalej w las, aż natrafiłem na odpowiednią polankę. Zeskoczyłem na ziemię, rozsiodłałem i uwiązałem Smugę, wytarłem go derką i dałem coś do jedzenia. Mieczem oczyściłem kawałek ziemi, pośrodku wykopałem dół i przygotowałem ognisko. Byłem rozleniwiony, więc rozpaliłem je zaklęciem. Wspominając niedawne refleksje, dorzuciłem kilka garści liści.

Siadłem na płaszczu, oparty plecami o pień niezbyt dużego drzewa, zjadłem kanapkę z serem, popiłem wodą i spróbowałem wzbudzić w sobie dość zapału, by zdjąć buty. Miecz położyłem obok

na ziemi. Mięśnie rozluźniały się z wolna. Zapach ogniska budził nostalgię.

Wzniosłem toast kolejną kanapką.

Siedziałem tak i przez pewien czas nie myślałem o niczym. Stopniowo, ledwie wyczuwalnymi etapami, ogarniało mnie to delikatne spowolnienie, które budzi w mięśniach zmęczenie. Przed snem powinienem nazbierać drewna... Chociaż właściwie go nie potrzebowałem. Nie było aż tak zimno. Ogień służył mi głównie do towarzystwa.

A jednak... wstałem niechętnie i wszedłem w las. Kiedy już się ruszyłem, dokładnie i powoli zbadałem okolicę. Chociaż, szczerze mówiąc, wstałem głównie dlatego, że chciałem sobie ulżyć. Przerwałem obchód, kiedy wydało mi się, że na północnym wschodzie dostrzegam w dali migoczące światło. Czyjeś ognisko? Blask księżycy na wodzie? Pochodnia? Widziałem je tylko przez moment, a potem nie umiałem odszukać, choć rozglądałem się, cofnąłem o kilka kroków, a nawet przeszedłem kawałek w tamtą stronę.

Nie miałem jednak ochoty ścigać jakiegoś błędnego ognika i spędzić nocy na bieganiu po krzakach. Sprawdziłem różne drogi podejścia do obozowiska. Małe ognisko nawet z bliska było prawie niewidoczne. Okrążyłem polankę, wróciłem i rozciągnąłem się znowu.

Ogień przygasał i postanowiłem, że pozwolę mu wypalić się do końca. Okryty płaszczem, nasłuchiwałem odgłosów wiatru.

Zasnąłem szybko. Nie wiem, jak długo spałem. Nie zapamiętałem żadnych snów.

Obudziło mnie gorączkowe pulsowanie Frakir. Odrobinę uchyliłem powieki i przewróciłem się, jakby przez sen, tak by prawa dłoń upadła możliwie blisko rękojeści miecza. Oddychałem powoli i równo. Słyszałem i czułem, że wiatr się wzmógł; rozdmuchał głównie i ognisko zapaliło się znowu. Jednak przed sobą nie zauważyłem nikogo. Wyteżyłem słuch, ale prócz szumu wiatru i trzasków ognia nie usłyszałem niczego.

Nie wydawało się rozsądnym wyjściem, by skoczyć na równe nogi i stanąć w pozycji obronnej. Nie wiedziałem przecież, z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo. Byłbym łatwym celem. Z drugiej strony, specjalnie rzuciłem płaszcz w takim miejscu, że miałem za plecami wielką, nisko rozgałęzioną sosnę. Bardzo trudno byłoby komuś zejść mnie od tyłu, nie wspominając już o zachowaniu ciszy. Nie sądzę, by stamtąd groził mi atak. Lekko przesunąłem głowę, by spojrzeć na Smugę. Zachowywał się niespokojnie. Frakir nie przerywała swej ostrzegawczej działalności, aż nakazałem jej spokój. Smuga strzygł uszami i potrząsał głową, rozdymając nozdrza. Przyjrzałem się dokładniej: jego uwagę przyciągało chyba coś po mojej prawej stronie. Zaczął cofać się przez obóz, wlokąc za sobą długi postronek.

Wtedy usłyszałem dźwięk głośniejszy od kroków Smugi. Coś się zbliżało z prawej strony. Przez chwilę trwała cisza, potem usłyszałem go znowu. To nie były kroki; to raczej ciało zaczepiające o gałąź, która zaprotestowała słabo.

Wyobraziłem sobie drzewa i krzaki po tamtej stronie i uznałem, że pozwolę temu tajemniczemu czemuś podejść bliżej. Odrzuciłem myśl, by wezwać Logrus i przygotować magiczny atak. Potrzebowałbym na to więcej czasu, niż moim zdaniem pozostało. Zresztą, sądząc po zachowaniu Smugi i po tym, co usłyszałem, nadchodził tylko jeden napastnik. Postanowiłem jednak przy najbliższej okazji przygotować porządny zapas zaklęć, zarówno ofensywnych, jak i obronnych, podobnych do tych, w które uzbroiłem się przeciwko chroniącej mnie istocie. Problem w tym, że trzeba kilku dni w samotności, by dopracować je w sensownym zakresie, ustawić i przećwiczyć tak, by potem rzucać błyskawicznie. W dodatku po mniej więcej tygodniu zaklęcia zdradzają tendencję do rozkładu. Czasem wytrzymują dłużej, czasem krócej, zależnie od ilości włożonej w nie energii oraz magicznego klimatu konkretnego cienia, w którym przychodzi działać. Rzecz niewarta zachodu, jeśli

nie ma pewności, że będą potrzebne w konkretnym czasie. Z drugiej strony dobry czarodziej powinien zawsze mieć pod ręką jedno zaklęcie ataku, jedno obrony i jedno ucieczki. Ja jednak jestem trochę leniwy i nie lubię kłopotów, w dodatku do niedawna nie widziałem potrzeby takich przygotowań. A od niedawna nie miałem czasu, żeby się tym zająć.

Gdybym zatem wezwał teraz Logrus i ustawił się w jego zasięgu, mógłbym co najwyżej ciskać gromy czystej energii – co jest niezwykle wyczerpujące.

Niech podejdzie bliżej, to wystarczy. Wtedy napotka zimną stal i duszący powróż.

Czułem, jak się zbliża, słyszałem delikatne drżenie sosnowych igieł. Jeszcze parę metrów, mój wrogu... Podejź. Tylko tego mi trzeba. Podejź blisko...

Zatrzymał się. Słyszałem jego równy, cichy oddech.

Wreszcie...

– Z pewnością wiesz już o mnie, Magu – nadpłynął szept. – Wszyscy bowiem mamy swoje drobne sztuczki, a ja znam źródło twoich.

– Kim jesteś? – spytałem. Chwyciłem rękojeść miecza, poderwałem się i przykucnąłem wpatrzony w ciemność. Ostrze zakreśliło niewielki krąg.

– Jestem nieprzyjacielem – brzmiała odpowiedź. – Tym, o którym myślałeś, że nigdy się nie zjawi.

Rozdział 9

Moc.

Pamiętam ten dzień. Stałem na skalnym wzniesieniu.

Fiona – odziana w lawendę, przepasana srebrem – stała wyżej, przede mną i nieco na prawo. W prawej dłoni trzymała srebrne zwierciadło i przez mgłę spoglądała w dół, gdzie wyrastało wielkie drzewo. Wokół panował absolutny bezruch i nawet dźwięki dochodziły tu stłumione. Górna część drzewa niknęła w wiszących nisko kłębach mgły, a docierające tu światło ostro rysowało jego sylwetkę na tle ściany mgły wiszącej dalej, wznoszącej się, by dołączyć do tej nad nami. Jaskrawa, jakby płonąca własnym blaskiem linia lśniła wyrzeźbiona w gruncie u korzeni drzewa, wyginała się i znikła w białym тумanie. Po lewej widoczny był niewielki, równie jaskrawy łuk; wynurzał się i znikał na powrót w skłębionym białym murze.

– Co to jest, Fiono? – zapytałem. – Dlaczego sprowadziłaś mnie w to miejsce?

– Słyszałeś o tym – odparła. – Chciałeś to obejrzeć.

Pokręciłem głową.

– Nigdy o tym nie słyszałem. Nie mam pojęcia, na co patrzę.

– Chodź – rzuciła i rozpoczęła zejście.

Odepchnęła moją dłoń; poruszała się szybko i z gracją. Zeszliśmy ze skał i zbliżyliśmy się do drzewa. Było tu coś znajomego, ale nie mogłem tego umiejscowić.

– Od ojca – powiedziała w końcu. – Długo opowiadał ci swoją historię. Z pewnością nie pominął tej części.

Przystanąłem, gdy pojawiło się niepewne z początku zrozumienie.

– To drzewo... – rzekłem.

– Kiedy Corwin rozpoczął stwarzanie nowego Wzorca, wbił w ziemię swoją laskę – wyjaśniła. – Była świeża. Zapуściła korzenie.

Zdawało mi się, że wyczuwam delikatne drżenie gruntu.

Fiona odwróciła się plecami, uniosła zwierciadło i ustawiła je tak, by ponad prawym ramieniem obserwować całą scenę.

– Tak – stwierdziła po chwili. Podała mi zwierciadło. – Spójrz – poleciła. – Jak ja przed chwilą.

Przyjąłem je, podniosłem, nachyliłem i patrzyłem. Obraz w zwierciadle różnił się od tego, który dostrzegałem nie uzbrojonym okiem. Mogłem teraz spojrzeć poza drzewo, poprzez mgłę, zobaczyć większą część tego dziwnego Wzorca. Wił swą ścieżkę po ziemi, skręcając do środka, ku mimośrodowemu krańcowi. Ten cel był jedynym punktem wciąż zakrytym nieruchomą kolumną bieli, w której jak gwiazdy rozbłyskiwały maleńkie światełka.

– Nie przypomina Wzorca w Amberze – zauważyłem.

– Nie – przyznała. – Czy jest choć trochę podobny do Logrusu?

– Niespecjalnie. Właściwie to Logrus cały czas zmienia się po trochu. Ale i tak jest bardziej kanciasty, a to tutaj składa się głównie z łuków i krzywych.

Przyglądałem się jeszcze przez chwilę, po czym oddałem jej zwierciadło.

– Ciekawe zakłęcie w tym lustrze – stwierdziłem, przy okazji bowiem studiowałem trzymaną w ręku taflę.

– I o wiele trudniejsze, niż myślisz – odparła. – Gdyż jest tu coś więcej niż mgła. Patrz.

Zbliżyła się do początku Wzorca, u stóp wielkiego drzewa. Podeszła, jakby chciała postawić stopę

na błyszczącej ścieżce. Zanim to nastąpiło, niewielka elektryczna iskra strzeliła w górę i trafiła w jej bucik. Fiona szybko cofnęła nogę.

– Odpycha mnie – oznajmiła. – Nie mogę na nim stanąć. Ty spróbuj.

Było w jej spojrzeniu coś, co mi się nie spodobało. Podszedłem jednak.

– Dlaczego twoje lustro nie sięga do środka? – spytałem nagle.

– Im bliżej centrum, tym bardziej narasta opór. Tam jest największy. Ale dlaczego tak jest, nie mam pojęcia.

Wahałem się jeszcze.

– Czy ktoś oprócz ciebie tego próbował?

– Przeprowadziłam tu Bleysa – odparła. – Ale jego także odepchnął.

– I tylko on widział ten Wzorzec?

– Nie. Był tu jeszcze Random. Ale odmówił próby. Powiedział, że woli się w to nie bawić.

– Może i rozsądnie. Miał wtedy Klejnot?

– Nie. Dlaczego?

– Czysta ciekawość.

– Sprawdź, może tobie się uda.

Uniosłem prawą stopę i przesunąłem ją wolno w stronę linii. Jakies trzydzieści centymetrów nad powierzchnią zatrzymałem się.

– Coś mnie powstrzymuje – oznajmiłem.

– To dziwne. Nie było wyładowania elektrycznego.

– Niewielka pociecha – mruknąłem i pchnąłem stopę jeszcze kilka centymetrów w dół. Westchnąłem. – Nic z tego, Fi. Nie mogę.

Widziałem rozczarowanie w jej twarzy.

– Miałam nadzieję – oświadczyła, kiedy już się cofnąłem – że ktoś inny prócz Corwina potrafi przejść ten Wzorzec. Jego syn wydawał się najrozsądniejszym kandydatem.

– Ale dlaczego to takie ważne, żeby ktoś przeszedł? Tylko dlatego, że tu jest?

– Uważam, że stanowi zagrożenie – wyjaśniła. – Trzeba go zbadać i usunąć.

– Zagrożenie? Czemu?

– Amber i Chaos to dwa bieguny egzystencji w naszym rozumieniu – zaczęła. – To dlatego, że są siedzibami Wzorca i Logrusu. Przez całe wieki trwała między nimi pewna równowaga. Teraz, moim zdaniem, ten wredny Wzorzec twojego ojca zakłóca układ.

– W jaki sposób?

– Zawsze istniały falowe połączenia pomiędzy Amberem i Chaosem. To tutaj wywołuje interferencje.

– Może to jak kostka lodu wrzucona do drinka. Po jakimś czasie wszystko się uspokoi.

Pokręciła głową.

– Nic się nie uspokaja. Od kiedy Corwin to stworzył, wybucha coraz więcej sztormów Cienia. Naruszają samą ośnowę świata. Wpływają na naturę rzeczywistości.

– Nie masz racji – stwierdziłem. – W tym samym czasie miało miejsce inne wydarzenie, o wiele, ważniejsze, ale podobnego typu: oryginalny Wzorzec w Amberze został uszkodzony i Oberon go naprawił. Fala Chaosu, jaka po tym nastąpiła, zalała cały Cień. Wywarła wpływ na wszystko. Ale Wzorzec przetrwał i sprawy wróciły do normy. Sądzę raczej, że te sztormy Cienia to rodzaj fali odbitej.

– Dobry argument – przyznała. – Ale jeśli błędny?

– Nie przypuszczam.

– Merle, tutaj działa jakaś moc... straszliwa ilość energii.

– W to nie wątpię.

– Zawsze staraliśmy się uważać na moc, zrozumieć ją i opanować. Ponieważ pewnego dnia może się stać niebezpieczna. Czy Corwin powiedział ci coś, cokolwiek, o tym, co dokładnie reprezentuje ten Wzorzec i jak do niego podejść?

– Nie. Tylko tyle, że wykreślił go w pośpiechu, by zastąpić stary. Sądził, że Oberonowi naprawa mogła się nie powieść.

– Gdybyśmy tylko potrafili go odnaleźć.

– Wciąż nie ma żadnych wieści?

– Droppa twierdzi, że widział go u Sandsa, na tym cieniu-Ziemi, którą obaj tak lubicie. Mówi, że Corwinowi towarzyszyła atrakcyjna kobieta, że oboje coś pili i słuchali zespołu. Pomachał i zaczął przeciskać się do nich przez tłum. Myśli, że Corwin go zauważył. Ale kiedy dotarł do ich stolika, oni już zniknęli.

– To wszystko?

– To wszystko.

– Niewiele.

– Wiem. Jeśli Corwin jest jedyny, który może przejść to paskudztwo i jeśli ono rzeczywiście stanowi zagrożenie, pewnego dnia możemy mieć poważne kłopoty.

– Uważam, że panikujesz, cioteczko.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, Merle. Chodź, zabiorę cię do domu.

Raz jeszcze przyjrzałem się okolicy. Zapamiętywałem nie tylko szczegóły, ale i nastrój, ponieważ zamierzałem stworzyć Atut tego miejsca. Nigdy nikomu nie zdradziłem, że nie czułem żadnego oporu. Ale jeżeli postawi się już stopę na Wzorcu albo Logrusie, nie ma odwrotu. Można iść naprzód aż do końca albo zginąć. A chociaż uwielbiam tajemnice, kończyły mi się ferie i musiałem wracać na zajęcia.

Moc.

Byliśmy razem w lesie Czarnej Strefy, tego obszaru Cienia, z którym Chaos może prowadzić handel. Polowaliśmy na zhindy, które są rogate, niskie, czarne, dzikie i drapieżne. Nie bardzo lubię polowania, ponieważ nie bardzo lubię zabijanie stworzeń, których zabijać nie muszę. Jednak to Jurt wpadł na ten pomysł, a ja przyjąłem propozycję, gdyż była to jedna z ostatnich okazji, by pogodzić się jakoś z bratem, zanim wyjadę. Żaden z nas nie był zbyt dobrym łucznikiem, a zhindy są szybkie.

Przy odrobinie szczęścia żaden nie zginie, a my będziemy mogli porozmawiać; może po polowaniu nasze stosunki się poprawią.

Po jakimś czasie zgubiliśmy trop i zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Długo rozmawialiśmy o łucznictwie, polityce na dworze, o Cieniu i o pogodzie. Ostatnio był wobec mnie grzeczniejszy, co uznałem za dobry znak. Zapuścił włosy, by zakrywały miejsce po brakującym uchu – uszy trudno się regenerują. Nie mówiliśmy o pojedynku ani o kłótni, która do niego doprowadziła.

Wkrótce miałem zniknąć z jego życia, pomyślałem więc, że chce zamknąć ten rozdział w sposób w miarę przyjacielski, by każdy z nas mógł odejść bez nieprzyjemnych wspomnień. Przynajmniej połowicznie miałem rację.

Później, kiedy zatrzymaliśmy się na zimny lunch, zapytał:

Jak z tym jest?

Z czym? – Nie rozumiałem.

Z mocą – wyjaśnił. – Mocą Logrusu: chodzić przez Cień, działać na wyższym poziomie magii niż

ta zwyczajna.

Nie chciałem mówić o szczegółach, ponieważ wiedziałem, że on sam trzykrotnie przygotowywał się do przejścia Logrusu. Za każdym razem wycofywał się, kiedy na niego spojrzeł. Może wpłynęły na te decyzje także szkielety tych, którym się nie udało – Suhuy trzyma je dookoła. Jurt chyba nie zdawał sobie sprawy, że wiem o dwóch ostatnich nieudanych próbach. Postanowiłem więc zlekceważyć swoje osiągnięcie.

– Właściwie nie czuje się niczego szczególnego – stwierdziłem. – Dopóki jej nie używasz. Wtedy trudno to opisać.

– Myślę, że wkrótce sam tego spróbuję – oznajmił. – Przyjemnie będzie zobaczyć w Cieniu to i owo, może nawet znaleźć dla siebie jakieś królestwo. Mógłbyś mi coś doradzić?

Przytaknąłem.

– Nie oglądaj się. Nie myśl. Po prostu idź naprzód.

Roześmiał się.

– To brzmi jak rozkazy dla wojska.

– Sądzę, że istnieje pewne podobieństwo.

Znowu się zaśmiał.

– Zabijmy zhinda – rzekł.

Tego popołudnia zgubiliśmy trop w gęstwinie pełnej połamanych, suchych gałęzi. Słyszeliśmy, jak przebija się tamtędy zhind, ale trudno było zgadnąć, w którą stronę uciekł. Stałem plecami do Jurta i obserwowałem skraj zagajnika, gdy Frakir mocno ścisnęła mi nadgarstek, a potem rozluźniła uścisk i opadła na ziemię.

Schyliłem się, by ją podnieść, i wtedy nastąpił atak.

Usłyszałem jakieś stuknięcie nad głową. Spojrzałem; tuż przede mną z pnia sterczała strzała. Wbiła się na takiej wysokości, że gdybym stał prosto, trafiłaby mnie w plecy.

Odwróciłem się szybko, wciąż pochylony. Jurt nakładał na cięciwę kolejną strzałę.

– Nie oglądaj się – powiedział. – Nie myśl. Po prostu idź naprzód. – I wybuchnął śmiechem.

Skoczyłem ku niemu, gdy unosił broń. Lepszy łucznik pewnie by mnie zabił. Sądzę jednak, że kiedy ruszyłem, wpadł w panikę i zbyt wcześnie wypuścił strzałę. Wbiła się w bok mojej skórzanej kamizeli, a ja nie poczułem bólu. Chwyciłem go nad kolanami; padając na wznak wypuścił łuk. Wyrwał z pochwy myśliwski nóż, przetoczył się na bok i ciał mnie w szyję. Chwyciłem go lewą ręką za nadgarstek; siłą rozpędu powalił mnie na plecy. Wyprowadziłem prawy sierp w szczękę, równocześnie odpychając od siebie ostrze. Zablokował cios i kopnął mnie kolanem w krocze.

Uderzenie odebrało mi większą część sił i ostrze noża opadło na kilka centymetrów nad moją krtań. Obolały, zdołałem jednak przesunąć biodro, by zablokować następnego kopniaka. Wcisnąłem prawe przedramię pod jego nadgarstek, przy okazji rozcinając sobie rękę. Potem pchnąłem prawą, pociągnąłem lewą i przewróciłem się w bok. Wyrwał rękę z mojego wciąż zbyt słabego uchwytu, potoczył się dalej, próbował wstać... i wtedy usłyszałem jego wrzask.

Przyklęknąłem. Jurt leżał na lewym boku, tam gdzie upadł. Dwa metry za nim sterczał nóż wbity w płataninę połamanych gałęzi. Jurt obiema rękami zasłaniał twarz i krzyczał chrapliwie jak zranione zwierzę.

Podszedłem sprawdzić, co się stało. Frakir trzymałem w pogotowiu, by owinęła mu szyję, gdyby planował jakąś sztuczkę.

Ale nie. Zobaczyłem, że jakiś ostry patyk wbił mu się w prawe oko. Krew spływała po policzku i nosie.

– Przestań się rzucać – powiedziałem. – Tylko pogarszasz sprawę. Czekaaj, wyciągnę to.

– Trzymaj łapy z daleka! – krzyknął.

Potem, zaciskając zęby i krzywiąc się potwornie, chwycił patyk prawą ręką i szarpnął głową w tył. Musiałem się odwrócić. W chwilę później zaskomlał cicho i padł nieprzytomny. Oderwałem rękaw koszuli, rozciąłem na pasy, jeden zwinąłem i przycisnąłem do zranionego oka. Drugim zamocowałem opatrunek. Frakir jak zwykle powróciła na swoje miejsce powyżej dłoni.

Potem wyjąłem Atut, który miał nas przenieść do domu, i wziąłem Jurta na rękę. Mamie się to nie spodoba.

Moc.

Była sobota. Cały ranek lataliśmy z Lukiem na lotniach. Potem zjedliśmy lunch z Julią i Gail a jeszcze potem wzięliśmy Gwiazdną Strzałę i pływaliśmy aż do wieczora. W porcie trafiliśmy do baru z grillem; kiedy czekaliśmy na steki, ja poszedłem po piwo. Luke przycisnął mi dłoń do stołu, gdy siłowaliśmy się na rękę o to, kto płaci za drinki.

– Gdybym dostał milion dolarów bez podatku, to... – powiedział ktoś przy sąsiednim stoliku.

Julia roześmiała się.

– Co w tym śmiesznego? – spytałem.

– Jego lista życzeń. Ja chciałabym szafę pełną najlepszych ciuchów, a do tego jakąś gustowną biżuterię. Ta szafa stałaby w prześlicznym domu, a dom w jakiejś okolicy, gdzie byłabym ważna...

– I tak przechodzimy od pieniędzy do władzy – uśmiechnął się Luke.

– Może i tak – przyznała. – Ale właściwie, jaka to różnica?

– Za pieniądze kupuje się rzeczy – wyjaśnił. – Władza to moc sprawiania, by rzeczy się zdarzały. Jeśli mogłabyś wybierać, weź władzę.

Zwykły uśmiech Gail pobladł. Spoważniała nagle.

– Nie wierzę, by władza mogła być czymś samym w sobie – oświadczyła. – Wolno jej używać tylko do pewnych celów.

– Co jest złego w sięganiu po władzę, moc? – roześmiała się Julia. – To chyba dość przyjemne.

– Dopóki nie natrafisz na większą moc – odparł Luke.

– Więc trzeba samemu mieć większą.

– Tak nie można – wtrąciła Gail. – Istnieją obowiązki i one są najważniejsze.

Luke przyjrzał się jej z uwagą i skinął głową.

– Czy koniecznie trzeba mieszać do tego moralność? – skrzywiła się Julia.

– Koniecznie – potwierdził Luke.

– Nie zgadzam się.

Wzruszył ramionami.

– Ona ma rację – odezwała się nagle Gail. – Moralność i obowiązek to wcale nie to samo.

– Jeśli ciąży na tobie jakiś obowiązek – zaczął – Luke coś, co absolutnie musisz zrobić, powiedzmy sprawa honorowa, wtedy staje się to Twoją moralnością.

Julia spojrzała na Luke'a, potem na Gail.

– Czy to znaczy, że właśnie doszliśmy do porozumienia? – spytała.

– Nie – mruknął Luke. – Nie sędzę.

Gail podniosła szklanę.

– Mówisz o osobistym kodeksie, który nie musi mieć nic wspólnego z konwencjonalną moralnością.

– To prawda.

– Czyli tak naprawdę nie jest to moralność. Mówisz po prostu o obowiązku – zakończyła.

– Masz rację z tym obowiązkiem – przyznał. – Ale to jednak moralność.

– Moralnością są wartości cywilizacyjne.

– Nie istnieje coś takiego jak cywilizacja – sprzeciwił się Luke. – To słowo oznacza tylko sztukę życia w miastach.

– Niech będzie. Wartości kulturowe.

– Wartości kulturowe są względne – uśmiechnął się. – A moje podpowiadają mi, że mam rację.

– A skąd się biorą twoje wartości? – spytała Gail, obserwując go uważnie.

– Trzymajmy się czysto filozoficznych argumentów, dobrze?

– Więc może powinniśmy całkiem odrzucić to pojęcie – zaproponowała. – Trzymajmy się obowiązku.

– A co się stało z władzą? – wtrąciła Julia.

– Jest gdzieś w tym wszystkim – odparłem.

Nagle na twarzy Gail pojawił się wyraz zaskoczenia, jakby nasza dyskusja nie była czymś powtarzanym w rozmaitych wariantach już tysiące razy. Jakby naprawdę wskazała jej całkiem nowy tor myślenia.

– Jeśli to dwie różne rzeczy – powiedziała wolno – to która z nich jest ważniejsza?

– Nie różne – upierał się Luke. – To jedno i to samo.

– Nie sądzę – sprzeciwiła się Julia. – Obowiązki są jasno określone, a właśnie uznaliśmy, że można sobie wybrać moralność. Jeśli więc któreś z nich jest konieczne, wolę moralność.

– Wolę jasno zdefiniowane terminy – mruknęła Gail.

Luke łyknął piwa. Odbiło mu się.

– Do cholery! – zawołał. – Ćwiczenia z filozofii mamy dopiero we wtorek. Dzisiaj sobota. Merle, kto stawia następną kolejkę?

Położyłem na stole lewy łokieć i otworzyłem dłoń. Kiedy naciskaliśmy i rosło napięcie między nami, rzucił przez zaciśnięto zęby:

– Miałem rację, prawda?

– Miałeś – przyznałem i pchnąłem jego ramię aż do blatu.

Moc.

Wyjąłem pocztę z zamykanej na klucz skrzynki w korytarzu i zaniósłem na górę, do mieszkania. Były tam dwa rachunki, jakieś ulotki reklamowe i coś grubego, lotniczego, bez adresu nadawcy.

Zamknąłem za sobą drzwi, schowałem klucze do kieszeni i rzuciłem neseser na najbliższe krzesło. Ruszyłem do sofy, kiedy zadzwonił telefon w kuchni. Zostawiłem listy na stoliku, odwróciłem się i poszedłem do drzwi. Wybuch, jaki nastąpił za moimi plecami, mógł, ale nie musiał być dostatecznie silny, by mnie przewrócić. Nie wiem, ponieważ gdy tylko usłyszałem huk, z własnej woli padłem na podłogę. Uderzyłem głową o nogę kuchennego stołu. Trochę mnie to oszołomiło, ale poza tym wyszedłem bez szwanku. Ucierpiał tylko pokój. Zanim zdążyłem się podnieść, telefon ucichł.

Wiedziałem już, że istnieje wiele prostszych sposobów pozbywania się niepotrzebnych ulotek reklamowych, ale długo jeszcze dręczyło mnie pytanie, kto wtedy do mnie dzwonił.

Wspominam czasem pierwszy z serii zamachów, tę ciężarówkę, która jechała prosto na mnie. Tylko przez moment, nim odskoczyłem, widziałem twarz kierowcy – nieruchomą, bez żadnego wyrazu, jakby był martwy, zahipnotyzowany, pod wpływem narkotyków albo opętany. Do wyboru dowolna pozycja z tej listy, może nawet więcej niż jedna.

A potem ta noc opryszków. Zaatakowali mnie bez słowa. Kiedy już było po wszystkim i odchodziłem w swoją stronę, obejrzałem się jeszcze. Miałem wrażenie, że dostrzegam wskazującą

do bramy mroczną sylwetkę. Rozsądne posunięcie, pomyślałem, w świetle tego, co się właśnie wydarzyło. Choć oczywiście mógł to być ktoś powiązany z napadem. Nie mogłem się zdecydować. Ten człowiek stał zbyt daleko, by podać mój rysopis. Gdybym zawrócił, a on był zwykłym przechodniem, pozostałby świadek mogący mnie zidentyfikować. Oczywiście, to była prosta jak drut uprawa obrony koniecznej, ale straciłbym masę czasu. Dlatego powiedziałem sobie: do diabła z tym, i poszedłem dalej. Kolejny ciekawy trzydziesty kwiecień.

Dzień karabinu. Dwa strzały, kiedy szedłem ulicą. Chybiły, zanim zrozumiałem, co się dzieje; wykruszyły cegły w murze po lewej stronie. Trzeciego strzału nie było, ale usłyszałem huk i trzask z budynku po drugiej stronie ulicy. Okno na trzecim piętrze było szeroko otwarte.

Przebiegłem. Frontowe drzwi starego domu były zamknięte na klucz, ale nie marnowałem czasu na subtelności. Znalazłem schody i ruszyłem na górę. Kiedy dotarłem do właściwego moim zdaniem mieszkania, postanowiłem wypróbować bardziej staromodne podejście do drzwi. Udało się. Były otwarte.

Stałem z boku, pchnąłem je i zobaczyłem, że lokal jest nie umeblowany i pusty. I chyba opuszczony. Czyżbym się mylił? Ale wtedy zauważyłem, że okno na ulicę stoi otworem. Zauważyłem też, co leży na podłodze.

Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

W kącie leżał połamany karabin. Ze śladów na kolbie wywnioskowałem, że ktoś walnął nim mocno w pobliski kaloryfer i dopiero potem odrzucił. A potem spostrzegłem na podłodze jeszcze coś: czerwone i wilgotne. Niewiele. Załedwie kilka kropel.

Szybko przeszukałem mieszkanie. Było nieduże. Znalazłem jedyne okno w jedynej sypialni, też otwarte. Wyjrzałem; na zewnątrz były schody przeciwpożarowe. Uznałem, że sam również powinienem się wynieść tą drogą. Na czarnym metalu zauważyłem jeszcze kilka kropel krwi, ale nic więcej. Na dole nie spotkałem nikogo.

Moc. By zabijać. Luke, Jasra, Gail. Które z nich za co było odpowiedzialne?

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wydawało mi się prawdopodobne, że ktoś telefonował także pamiętnego ranka otwartych palników. Może właśnie dzwonek sprawił, że przebudziłem się ze świadomością zagrożenia? Za każdym razem, kiedy rozmyślałem o tych sprawach, akcent ulegał lekkiemu przesunięciu.

Spoglądałem na nie w nowym świetle. Według Luke'a i pseudo-Vinty, w ostatnich epizodach nie groziło mi wielkie niebezpieczeństwo, chociaż każdy z nich łatwo mógł stać się ostatnim. Do kogo powinienem mieć pretensje? Do sprawcy? Czy do obrońcy, który ledwie zdążył? I kto był kim? Pamiętam, jak opowieść ojca komplikował ten przeklęty wypadek samochodowy, powracający stale niby motyw "Zeszłego roku w Marienbadzie". A przecież w porównaniu z tym wszystkim, co spadło na mnie, jego historia wydawała się trywialnie prosta. On przynajmniej wiedział na ogół, co ma robić.

Czyżbym został spadkobiercą rodzinnej klątwy dotyczącej splątanych intryg?

Moc.

Pamiętam ostatnią lekcję wujka Suhuya. Kiedy przeszedłem Logrus, sporo czasu poświęcił ucząc mnie tego, czego wcześniej nie mogłem poznać. Wreszcie nadeszła chwila, gdy myślałem, że skończyliśmy. Moja znajomość Kunsztu została potwierdzona, a ja byłem wolny. Sądziłem, że opanowałem całość podstaw i pozostało mi już tylko dopracowanie szczegółów. Zacząłem szykować się do podróży na cień-Ziemię. Aż pewnego ranka Suhuy przysłał po mnie. Uznałem, że pewnie chce się pożegnać i udzielić mi kilku przyjacielskich rad.

Włosy miał białe, garbił się trochę i bywały dni, gdy chodził o lasce. To właśnie był jeden z nich. Miał na sobie swój żółty kaftan; zawsze myślałem, że to strój roboczy, nie do przyjmowania gości.

– Jesteś gotów na krótką wycieczkę? – zapytał.

– Będzie długa – odpowiedziałem. – Ale jestem prawie gotowy.

– Nie. Nie o tę podróż mi chodzi.

– Aha. To znaczy, że chcesz zabrać mnie gdzieś w tej chwili?

– Chodź – rzekł.

Podążyłem więc za nim, a cienie rozstępowały się przed nami. Szliśmy przez coraz większe pustkowia, aż dotarliśmy do miejsc, gdzie nie było nawet śladu życia. Wokół leżały ciemne, sterylne głazy, nieruchome w mosiężnym blasku gasnącego, pradawnego słońca. To miejsce było chłodne i suche, a kiedy zatrzymaliśmy się i spojrzałem wokół siebie, zadrzałem.

Czekałem, by wyjaśnił, o co mu chodzi. Lecz nim przemówił, minęła długa chwila. Bez słowa wpatrywał się w martwy pejzaż, jakby zapomniał o mojej obecności.

Wreszcie...

– Nauczyłem cię metod Cienia – oświadczył wolno. – A także kompozycji zaklęć i ich działania.

Milczałem. To stwierdzenie nie wymagało chyba odpowiedzi.

– Wiesz zatem nieco o własnościach mocy – kontynuował. – Pobierasz ją ze Znaków Chaosu, Logrusu, i wykorzystujesz na różne sposoby.

W końcu spojrzał na mnie, więc przytaknąłem.

– Rozumiem, że ci, co noszą Wzorzec, Znak Porządku, mogą dokonywać podobnych rzeczy sposobami, które mogą, ale nie muszą być podobne – mówił dalej. – Nie wiem na pewno, gdyż nie przeszedłem wtajemniczenia we Wzorcach. Wątpię, by duch zniósł wysiłek poznania obu Znaków. Powinieneś jednak zdawać sobie sprawę, że gdzieś tam istnieje Źródło mocy będące antytezą naszego.

– Rozumiem – potwierdziłem, ponieważ oczekiwał chyba odpowiedzi.

– Ty jednak masz do dyspozycji Źródło, którego nie znają ci z Amberu. Patrz!

Ostatnie słowo nie oznaczało, że mam się przyglądać, jak opiera laskę o kamień i unosi przed sobą rękę. Oznaczało, że powinienem mieć przed oczami Logrus i z tego poziomu obserwować działania Suhuya. Przywołałem więc wizję i patrzyłem poprzez nią.

Zawieszona przed nim wizja zdawała się rozciągniętym i wirującym przedłużeniem mojej. Zobaczyłem i poczułem, jak Suhuy łączy z nią rękę i wyciąga parę zygzakowatych ramion, jak sięga coraz dalej, by dotknąć leżącego niżej na zboczu głazu.

– Wejdz teraz w Logrus – polecił. – Pozostań bierny. Bądź ze mną we wszystkim, co zamierzam uczynić. Ale w żadnym razie nie próbuj się wtrącać.

– Rozumiem.

Wsunąłem dłoń w swoją wizję i przemieszczałem je szukając zgodności, aż stały się jej częścią.

– Dobrze – pochwalił, kiedy znalazłem właściwą pozycję. – Teraz masz tylko obserwować, na wszystkich poziomach.

Coś pulsowało w odgałęzieniach, którymi kierował, coś płynęło w dół aż do głazu. Na to, co nastąpiło potem, nie byłem przygotowany. Obraz Logrusu przede mną poczerniał, stał się wrzącym kleksem atramentowego wiru. Przepłynęło przeze mnie straszliwe uczucie niszczącej mocy, ogromna niszczycielska siła groziła, że mnie zmiążdży, poniesie w błogą nicość ostatecznego nieładu. Jakaś część umysłu pragnęła tego, gdy inna bezgłośnie krzykiem nakazywała tej mocy zniknąć. Suhuy jednak panował nad zjawiskiem a ja widziałem, jak to robi, tak jak widziałem, w jaki sposób je wywołał.

Głaz połączył się z zamętem, zjednoczył i zniknął. Nie było żadnej eksplozji ani implozji, jedynie wrażenie potężnych, lodowatych wichrów i kakofonicznych dźwięków. W redy mój wuj wolno rozsunął ręce, a linie wrzącej czerni podążyły za nimi, popłynęły w obu kierunkach do tego obszaru chaosu, który kiedyś był głazem. Stworzyły długi, ciemny okop, w którym mogłem obserwować paradoks równocześnie pustki i aktywności.

Potem Suhuy znieruchomiał, blokując niezwykły fenomen.

– Mógłbym go teraz uwolnić – oznajmił. – Pozwolić, by szalał swobodnie. Albo nadać mu kierunek i uwolnić dopiero wtedy.

Umilkł.

– Co by się stało? – spytałem. – Czy trwałby nadal, póki nie zniszczyłby całego cienia?

– Nie – odparł. – Istnieją czynniki ograniczające. Sięgałby coraz dalej, ale równocześnie narastałby opór porządku wobec Chaosu. W końcu zostałby powstrzymany.

– A gdybyś pozostał, jak jesteś, i przywoływał wciąż więcej?

– Mógłbym wyrządzić wielkie szkody.

– A gdybyśmy połączyli wysiłki?

– Wtedy szkody byłyby jeszcze większe. Ale nie o taką lekcję mi chodziło. Teraz będę się przyglądał, a ty spróbujesz nad nim zapanować.

Przejąłem więc Znak Logrusu i poprowadziłem linię zniszczenia z powrotem, po wielkim okręgu, niby w otaczającej nas mrocznej fosie.

– Odpędź go teraz – polecił Suhuy.

Uczyniłem to.

Wichry i dźwięki scalały jednak nadal. Nic nie widziałem za czarnym murem, który wydawał się napierać na nas ze wszystkich stron.

– Jak widzę, nie osiągnął jeszcze czynników ograniczających – zauważyłem.

Zachichotał

– Masz rację. Przerwałaś wprawdzie, ale przekroczyłeś pewną graniczną wartość. On teraz szaleje.

– Och – mruknąłem. – Ile potrwa, zanim wyciszą go te naturalne ograniczniki, o których wspominałeś?

– Wcześniej całkowicie unicestwi ten teren, na którym stoimy.

– Rozszerza się we wszystkie strony, a równocześnie podąża w tym kierunku?

– Tak.

– To ciekawe. Jaka jest masa krytyczna?

– Będę ci musiał pokazać. Ale najpierw poszukajmy jakiegoś innego miejsca. Tego już wkrótce nie będzie. Daj rękę.

Podąłem, a on zaprowadził mnie do innego cienia.

Tym razem sam przywołałem Chaos i przeprowadziłem wszystkie operacje. Suhuy tylko obserwował. Teraz nie uwolniłem sztormu. Kiedy skończyłem, stałem oszołomiony, wpatrzony w niewielki krater, który sam stworzyłem. Suhuy położył mi dłoń na ramieniu.

– Wiedziałeś już teoretycznie, że za twoimi zakłęciami stoi ostateczna moc: sam Chaos. Bezpośrednie kierowanie nim jest niebezpieczne, ale jak sam widziałeś, możliwe. Teraz, kiedy wiesz o tym, twoje szkolenie dobiegło końca.

To było bardziej niż wstrząsające... było przerażające. I dla większości sytuacji, jakie potrafiłem sobie wyobrazić, przypominałoby strzelanie do rzutków pociskami jądrowymi. Nie mogłem nawet wymyślić okoliczności, które zmusiłyby mnie do wykorzystania tej techniki – aż do chwili, kiedy

Victor Melman naprawdę mi się naraził.

Moc w swych licznych postaciach, odmianach, wielkościach i stylach wciąż mnie fascynuje. Od tak dawna była częścią mojego życia, że czuję się tak, jakbym ją poznał. Chociaż nie sądzę, bym kiedykolwiek zrozumiał ją w pełni.

Rozdział 10

– Najwyższy czas – oświadczyłem temu, co czaiło się w cieniu.

Głuchy warkot, jaki się rozległ, nie mógł pochodzić z ludzkiej krtani. Zastanawiałem się, z jaką bestią przyszło mi się potykać. Byłem pewien, że atak nastąpi od razu, lecz myliłem się. Warkot ucichł.

– Poczuj swój strach – nadpłynął szept.

– Sam poczuj – odpowiedziałem. – Póki jeszcze możesz.

Usłyszałem głośne dyszenie. Płomienie tańczyły mi za plecami, a Smuga odsunął się tak daleko, jak tylko pozwalał mu długi powrót.

– Mogłeś zginąć we śnie – oznajmił wolno przybysz.

– Głupio, że mnie nie zabiłeś. Zapłacisz za to.

– Chcę na ciebie popatrzeć, Merlinie. Chcę widzieć twoje zdziwienie, twoją niepewność. Chcę widzieć twój strach, zanim zobaczę twoją krew.

– Rozumiem więc, że chodzi o sprawę osobistą, nie służbową.

Rozległ się dziwny odgłos. Dopiero po chwili pojąłem, że to nieludzkie gardło próbuje wydać ludzki chichot.

– Uprzedzę cię od razu, czarowniku – odpowiedział. – Przywołaj swój Znak, a zdekcentrujesz się. Będę to wiedzieć i rozerwę cię, zanim go użyjesz.

– To ładnie, że mnie ostrzegasz.

– Tylko dlatego, by usunąć taką możliwość z twych myśli. Ta rzecz zwinięta na twojej lewej ręce także nie zdąży ci pomóc.

– Masz dobry wzrok.

– W takich sprawach owszem.

– Masz może ochotę na dyskusję o filozofii zemsty?

– Czekam, aż się załamiesz i zrobisz coś nierozsądnego. To zwiększy moją rozkosz. Twoje działania ograniczone są do czysto fizycznych, a zatem jesteś skazany.

– Możesz sobie czekać.

Krzaki zaszeleściły, gdy coś ruszyło w moją stronę. Nadal nic nie widziałem. Odsunąłem się o krok w lewo, by blask ognia sięgnął cienia. Wtedy dostrzegłem lśnienie nisko nad ziemią – światło odbijało się żółto od pojedynczego, szeroko otwartego oka.

Opuściłem ostrze, kierując je w to oko. Do licha, przecież każde znane mi stworzenie chroni oczy.

– Banzai! – wrzasnąłem i zaatakowałem. Konwersacja i tak nie toczyła się zbyt żywo, a ja niecierpliwiłem się, by przejść do innych spraw.

Stwór poderwał się błyskawicznie i unikając pchnięcia potężnymi susami pomknął ku mnie. Okazał się wielkim, czarnym wilkiem z wielkimi uszami. Przemknął pod klingą, omijając nerwowe cięcie, jakie zdążyłem wyprowadzić, i rzucił mi się wprost do gardła. Odruchowo uniosłem i wepchnąłem w rozwartą paszczę lewe ramię. Równocześnie zamachnąłem się prawym i z całej siły walnąłem go w głowę rękojęścią miecza.

Uścisk zębów zelżał, kiedy poleciałem do tyłu, nadal jednak trzymały mocno, przebijając koszulę i ciało. A ja padając skręcałem się i ciągnąłem; chciałem wylądować na wierzchu i wiedziałem, że nie wyląduję.

Upadłem na lewy bok i obracając się zadałem kolejny cios głownią w skroń bestii. I wtedy

szczęście uśmiechnęło się dla odmiany do mnie, gdyż dostrzegłem, że leżymy niedaleko ogniska i wciąż toczymy się w tamtą stronę. Upuściłem miecz i prawą ręką sięgnąłem mu do gardła. Było potężnie umięśnione i nie miałem żadnych szans na zmiążdżenie tchawicy. Nie na tym jednak mi zależało.

Sięgnąłem ręką wyżej, złapałem go za dolną szczękę i ścisnąłem z całej siły. Przesuwałem stopy, aż znalazłem oparcie i zacząłem pchać nogami. Przesunęliśmy się jeszcze kawałek, dostatecznie daleko, bym wepchnął do ognia kosmaty łeb.

Przez chwilę nic się nie działo, jeśli nie liczyć równego strumyczka krwi płynącego z mojego przedramienia do jego paszczy, a z niej na zewnątrz. Uścisk potężnych szczęk wciąż był silny i bolesny. Puścił moją rękę, kiedy po kilku sekundach głowa i szyja stanęły mu w płomieniach. Szarpnął mocno, by odsunąć się od ognia. Odepchnął mnie na bok i skoczył na łapy; przenikliwe wycie wyrwało mu się z gardła. Przetoczyłem się, klęknąłem i uniosłem ręce, ale on już nie atakował. Minał mnie pędem i pognał do lasu, w kierunku przeciwnym do tego, skąd przybył.

Chwyciłem miecz i pobiegłem za nim. Nie było czasu, żeby przystanąć i wciągnąć buty; udało mi się przekształcić nieco podeszwy stóp, utwardzić je trochę przeciwko kamieniom i patykom. Widziałem go jeszcze, gdyż sierść nadal się tliła. Zresztą do skutecznej pogoni wystarczało mi jego bezustanne niemal wycie. Co dziwne, zmieniało ton i wysokość, coraz bardziej przypominało ludzkie jęki, a coraz mniej skargę wilka. Dziwne również, że zwierz nie biegł tak szybko i pewnie, jak mógłbym oczekiwać po przedstawicielu tego gatunku. Słyszałem, jak przedziera się przez chaszczę i wpada na drzewa. Kilkakrotnie po takich zderzeniach wydawał dźwięk całkiem podobny do ludzkich przekleństw. Dlatego właśnie mogłem utrzymać dystans bliższy, niż się spodziewałem. Po kilku minutach zacząłem go nawet doganiać.

I nagle dostrzegłem jego cel. Znowu zobaczyłem blade światło, to samo, które zauważyłem poprzednio. Zbliżaliśmy się szybko, więc było teraz jaśniejsze i większe, mniej więcej prostokątne, mniej więcej na trzy metry wysokie i szerokie na niecałe dwa. Nie myślałem już o ściganiu wilka na słuch i popędziłem do światła. On tam właśnie zmierzał, a ja chciałem być pierwszy.

Biegłem. Wilk był przede mną, z lewej strony. Sierść już mu nie płonęła, choć wciąż warczał i stękał pędząc przed siebie. Światło przed nami lśniło coraz mocniej; mogłem już w nie spojrzeć, popatrzeć poprzez nie i po raz pierwszy dostrzec tam wyraźniejszy obraz. Zobaczyłem zbocze wzgórza, na nim niski kamienny budynek, brukowaną ścieżkę, kamienne schody – jak ramą obrazu otoczone prostokątem blasku – z początku zamglone, ale z każdym krokiem wyraźniejsze. Obraz stał jakieś dwadzieścia metrów ode mnie, na samym środku polany, i trwało w nim chmurne popołudnie.

Kiedy zobaczyłem wilka wypadającego spomiędzy drzew, zrozumiałem, że nie zdążę dobiec i pochwycić tego, o czym wiedziałem, że musi leżeć w pobliżu. Wciąż jednak miałem nadzieję, że doścignę zwierza i zatrzymam go.

Przyspieszył jednak, gdy tylko znalazł się w otwartym terenie. Wyraźnie widziałem scenę, ku której zmierzał. Krzyknąłem, by odwrócić, jego uwagę, ale nadaremnie.

Mój końcowy wysiłek nie wystarczył. I wtedy, na ziemi, tuż przed progiem, zobaczyłem to, czego szukałem. Za późno. Na moich oczach wilk schylił głowę i chwycił płaski, prostokątny przedmiot. Nawet nie zwolnił kroku.

Zatrzymałem się i odwróciłem, gdy skoczył do przodu; wypuściłem miecz i rzuciłem się na ziemię, przetoczyłem raz, potem drugi.

Poczułem wstrząs bezgłośnej eksplozji, po niej implozji, a zaraz potem krótką serię fal uderzeniowych. Leżałem myśląc paskudne rzeczy, aż wszystko się uspokoiło. Wtedy wstałem i odszukałem broń.

Wokół znowu trwała normalna noc. Gwiazdy. Wiatr w gałęziach sosen. Nie musiałem się nawet oglądać, ale zrobiłem to, by się przekonać, że cel, do którego pędziłem kilka chwil temu, jasne drzwi do innego świata, zniknęły bez śladu.

Wróciłem do obozowiska i uspokoiłem Smugę. Potem wciągnąłem buty, zapiąłem płaszcz, zasypałem ziemią głównie w ognisku i wyprowadziłem konia na trakt.

Wskoczyłem na siodło i prawie godzinę jechaliśmy drogą w stronę Amberu, nim wybrałem nowe miejsce na biwak pod białym jak kość sierpem księżyca.

Pozostała część nocy minęła spokojnie. Obudził mnie słoneczny blask i poranne wołania ptaków w gałęziach sosen. Zająłem się Smugą, szybko zjadłem na śniadanie resztki prowiantu, jak najlepiej zadbałem o swój wygląd i w ciągu pół godziny byłem gotów do drogi.

Ranek był chłodny; wysoko po lewej stronie wznosił się wał cumulusów, ale nad głową miałem czyste niebo. Nie spieszyłem się. Wybrałem jazdę konną zamiast przeskoku Atutem, ponieważ chciałem lepiej poznać okolice Amberu. Chciałem też pomyśleć trochę w samotności. Jasra była uwięziona, Luke w szpitalu, a Ghostwheel zajęty; wydawało się, że główne zagrożenia dla Amberu uległy na razie zawieszeniu. Chwila wytchnienia była więc usprawiedliwiona. Miałem nawet uczucie, że zbliżam się do punktu, gdzie potrafię sam rozwiązać problemy z Lukiem i Jasrą. Musiałem tylko poznać jeszcze kilka szczegółów. Byłem też pewien, że poradzę sobie z Ghostem. Nasza ostatnia rozmowa budziła pewne nadzieje.

To były zasadnicze sprawy. Potem będę się martwił o całą resztę. Taki dwubitowy magik jak Sharu Garrul był zaledwie irytujący w porównaniu z innymi problemami. Pojedynek z nim nie sprawi kłopotów, kiedy tylko znajdę wolną chwilę... chociaż musiałem przyznać, że nie mam pojęcia, czemu w ogóle się mną zainteresował. Nie zapomniałem o tej istocie, która przez pewien czas była Vintą. Wprawdzie z jej strony nie dostrzegałem zagrożenia, jednak tajemnica zakłócała spokój ducha i w ogólnym rozrachunku miała coś wspólnego z moim bezpieczeństwem. Tą sprawą także się zajmę, gdy znajdę wolną chwilę.

Niepokoili mnie oferta Luke'a, że po uwolnieniu Jasry zdradzi wiadomość istotną dla bezpieczeństwa Amberu. To dlatego, że mu wierzyłem. Wierzyłem też, że dotrzyma słowa, choć miałem przecucie, że zrobi to wtedy, gdy niewiele będzie już można poradzić. Zgadywanie nie miało sensu; nie dało się przewidzieć, jakie należy podjąć przygotowania. A może sama propozycja, choćby szczerą, była elementem wojny psychologicznej? Luke zawsze był bardziej subtelny, niż sugerował jego rubaszny wygląd. Wiele straciłem czasu, by się o tym przekonać, i teraz już nie zapomnę.

Uznałem, że mogę chwilowo nie myśleć o błękitnych kamieniach. Planowałem wkrótce pozbyć się ich wibracji. Żaden problem, trzeba tylko zachować szczególną ostrożność – a szczególnie ostrożny byłem, już teraz, zresztą od dość dawna.

Pozostawał jeszcze ten nocny wilk. Powiniennem jakoś dopasować go do szerszego obrazu.

To jasne, że nie miałem do czynienia ze zwykłym wilkiem, a cel jego wizyty był aż nadto oczywisty. Jednak na inne pytania nie umiałem już tak prosto odpowiedzieć. Kim albo czym był? Czy działał niezależnie, czy wykonywał polecenia? Jeśli to drugie, to kto go przysłał? A wreszcie: dlaczego?

Pewna niezręczność ruchów wskazywała – wiem, bo sam kiedyś próbowałem takich zabaw – że był człowiekiem w wilczej postaci, a nie wilkiem magicznie obdarzonym darem mowy. Większość tych, co marzą o przemianie w krwiożerczą bestię, przegryzaniu ludziom gardeł, rozszarpywaniu ich, okaleczaniu, a może nawet pożeraniu, koncentruje się na samych przyjemnościach. Zapominają o praktycznych względach takiej sytuacji. Kiedy człowiek staje się czworonogiem, z całkiem inaczej

położonym środkiem ciężkości i obcym sobie zestawem zmysłów, niełatwo mu zachować choć odrobinę zwierzęcej gracji. Na ogół jest bardziej bezbronny, niż sugerowałby jego wygląd. A już na pewno nie tak groźny, jak prawdziwe zwierzę trenujące przez całe życie. Nie. Zawsze uważałem to raczej za element taktyki zastraszania niż cokolwiek innego.

Zresztą nieważne. Moje obawy budziła przede wszystkim metoda przybycia i ucieczki bestii. Wykorzystała Bramę Atutu, a czegoś takiego nie robi się łatwo – najlepiej wcale, jeśli tylko można tego uniknąć. To rzadki, spektakularny wyczyn, by zrealizować Atutem kontakt z jakimś odległym miejscem, a potem wpompować całe tony mocy w obiektywizację takiej bramy jako formy zdolnej przez pewien czas do niezależnej egzystencji. Stworzenie bramy, która postoji choćby piętnaście minut, wymaga niesamowitych nakładów energii. Nawet piekielny wyścig jest mniej męczący. Coś takiego może na długo pozbawić człowieka sił. A jednak zdarzyło się. I nie przyczyny mnie niepokoiły, ale sam fakt. Jedynymi bowiem ludźmi zdolnymi do takiego dokonania są prawdziwi wtajemniczeni Atutów. Nie potrafi tego zrobić ktoś, kto przypadkiem wszedł w posiadanie karty.

A to mocno zawężyło pole domysłów.

Spróbowałem sobie wyobrazić czynności tego wilkołaka. Najpierw musiał mnie znaleźć i...

Oczywiście. Nagle przypomniałem sobie martwe psy w zagajniku przy rezydencji i ślady wielkich, podobnych do psich, łap. Potwór odszukał mnie wcześniej, czekał i obserwował. Ruszył za mną, kiedy wyjechałem wczoraj wieczorem, a kiedy stanąłem na noc, wykonał ruch. Ustawił – albo ustawiono mu – Bramę Atutu jako drogę ucieczki, przez którą nie przedostanie się pogoń. A potem przyszedł, by mnie zabić. A ja nie wiedziałem, czy miało to związek z Sharu Garrulem, sekretem Luke'a, niebieskimi kamieniami czy misją tej zmieniającej ciała istoty. Na razie sprawa musiała zaczekać na rozwiązanie. Ja miałem do przemyślenia kwestie bardziej zasadnicze.

Dogoniłem i wyprzedziłem kolumnę wozów zmierzających do Amberu, minęło mnie kilku jeźdźców pędzących w przeciwnym kierunku. Nikogo znajomego, choć wszyscy mi machali. Chmury wciąż gromadziły się po lewej stronie, ale nic nie zwiastowało burzy. Dzień trwał chłodny i słoneczny. Droga opadała i wznosiła się znowu, kilka razy, choć generalnie bardziej się wznosiła, niż opadała. W dużej, hałaśliwej oberży zjadłem solidny obiad, ale nie zatrzymałem się na dłużej. Trakt był coraz lepszy i wkrótce potem dostrzegłem w dali Amber na szczycie Kolviru, błyszczący w południowym słońcu.

W miarę jak zbliżał się wieczór, gęstniał tłok na drodze. Jechałem przez popołudnie, nadał snułem plany i rozważałem każdą sprawę, jaka mi przyszła do głowy. Trakt skręcał kilka razy, wspinając się coraz wyżej, ale prawie cały czas widziałem Amber.

Po drodze nie spotkałem nikogo ze znajomych. Pod wieczór dotarłem do Wschodniej Bramy, części dawnych fortyfikacji. Skręciłem we Wschodnią Winną i odnalazłem rezydencję Bayle'ów. Byłem tu kiedyś na przyjęciu. Zostawiłem Smugę z koniuszym w stajni na tyłach domu – obaj wyraźnie się ucieszyli na swój widok. Potem zaszedłem od frontu i zastukałem. Lokaj poinformował, że baron wyszedł. Przedstawiłem się więc i przekazałem wiadomość Vinty, którą obiecał powtórzyć, gdy tylko wróci jego pracodawca.

Dopełniwszy obowiązku, dalej pod górę ruszyłem pieszo. W pobliżu szczytu, ale zanim jeszcze zbocze stało się mniej więcej płaskie, poczułem zapach jedzenia i porzuciłem zamiar, by zaczekać z posiłkiem, póki nie znajdę się w pałacu. Rozejrzałem się za Źródłem tych aromatów i znalazłem je w bocznej uliczce po prawej stronie. Pośrodku małego placzyku stała fontanna: miedziany smok uniesiony na tylnych łapach i pokryty piękną zieloną patyną siusiał do basenu z różowego kamienia. Smok spoglądał na restaurację w podziemiach. Nazywała się "Jama". Na zewnątrz stało dziesięć stolików za niskim ogrodzeniem z miedzianych prętów i rzędem roślin w donicach. Przeszedłem

przez placyk. Mijając fontannę zobaczyłem, że w czystej wodzie leży mnóstwo egzotycznych monet, między innymi ćwierćdolarówka wybita na dwustulecie USA.

Wszedłem za ogrodzenie, minąłem stoliki i miałem już zejść po schodach, gdy usłyszałem, że ktoś wykrzykuje moje imię.

– Merle! Tutaj!

Rozejrzałem się, ale nie rozpoznałem nikogo z siedzących przy czterech zajętych stolikach. Potem, kiedy wzrok przesunął się z powrotem, dostrzegłem, że starszy mężczyzna przy stoliku w kącie po prawej stronie uśmiecha się.

– Bill! – zawołałem.

Bill Roth wstał, raczej by się pokazać, niż formalnie przywitać. Nie poznałem go z początku, gdyż nosił teraz wąsy i zaczątki siwiejącej brody. Miał też na sobie brązowe spodnie ze srebrnym lampasem wpuszczone w wysokie brązowe buty. Koszula była srebrzysta z brązowymi lamówkami, a czarny płaszcz leżał rzucony na krzesło po prawej stronie. Na nim zauważyłem szeroki czarny pas z krótkopółśrednim mieczem w pochwie.

– Zadzwoń się. I zeszczipłaś.

– To prawda – przyznał. – Myślę, czyby nie przeprowadzić się tutaj na emeryturę. Podoba mi się tu.

Usiedliśmy.

– Zamawiałeś już? – spytałem.

– Tak, ale widzę kelnera na schodach. Zawołam go.

Tak uczynił i zamówił dla mnie kolację.

– Dużo lepiej mówisz w thari – pochwaliłem go.

– Kwestia praktyki.

– Co porabiałeś?

– Żeglowałem z Gerardem. Odwiedziłem Deigę i jeden z obozów Juliana w Ardenie. Byłem też w Rebmie. Fascynujące miejsce. Pobierałem lekcje szermierki. A Droppa oprowadzał mnie po mieście.

– Głównie po barach, przypuszczam.

– Nie tylko. Dlatego właśnie tu siedzę. On jest właścicielem połowy "Jamy". Musiałem obiecać, że często będę tu jadał. Ale to niezły lokal. Kiedy wróciłeś?

– Przed chwilą – odparłem. – I mam dla ciebie jeszcze jedną długą opowieść.

– Dobrze. Twoje opowieści są zawsze niezwykłe i poplątane – stwierdził. – W sam raz na chłodny jesienny wieczór. Słucham.

Mówiłem przez całą kolację i jeszcze długo po niej. Wieczorny chłód zaczął się dawać we znaki, więc ruszyliśmy do pałacu. Wreszcie zakończyłem opowiadanie przy gorącym jabłeczniku przed kominkiem w jednej z mniejszych komnat wschodniego skrzydła.

Bill pokręcił głową.

– Potrafisz znaleźć sobie zajęcie – mruknął. – Mam jedno pytanie.

– Jakie?

– Dlaczego nie przywiozłeś Luke'a?

– Już ci mówiłem.

– To żaden powód. Dla jakiejś mglistej informacji, która według niego jest ważna dla Amberu? W dodatku musisz go złapać, żeby ją uzyskać?

– To wcale nie tak.

– On jest handlowcem, Merle, i właśnie sprzedał ci chłam. Tak uważam.

– Nie masz racji, Bill. Znam go.

– Znasz go długo – przyznał. – Ale czy dobrze? Rozmawialiśmy już o tym. Tego, czego o Luke'u nie wiesz, jest o wiele więcej niż tego, wiesz.

– Mógł iść gdziekolwiek, ale zwrócił się do mnie.

– Jesteś elementem jego planu, Merle. Poprzez ciebie zamierza dobrać się do Amberu.

– Nie sędzę – sprzeciwiłem się. – To nie w jego stylu.

– A ja myślę, że wykorzysta wszystko, co wpadnie mu w rękę... i każdego.

Wzruszyłem ramionami.

– Ja mu wierzę, a ty nie. To wszystko.

– Chyba tak – zgodził się. – Co zamierzasz teraz robić? Zaczekać i zobaczyć, co się stanie?

– Mam plan – odparłem. – Wierzę mu, ale to nie oznacza, że nie chcę się zabezpieczyć. Mam do ciebie jedno pytanie.

– Tak?

– Gdybym go tu sprowadził, a Random uznał, że fakty nie są wystarczająco jasne i zażądał przesłuchania, czy zgodziłbyś się reprezentować Luke'a?

Szeroko otworzył oczy, a potem uśmiechnął się.

– Co to za przesłuchanie? – zapytał. – Nie wiem, jak prowadzi się tutaj takie sprawy.

– Jako wnuk Oberona – wyjaśniłem – Luke podlega Prawu Rodowemu. Random jest teraz głową rodu. Od niego zależy, czy zapomnieć o całej sprawie, wydać wyrok, czy zarządzić przesłuchanie. Jak rozumiem, przesłuchanie może być tak formalne albo tak nieformalne, jak tylko zechce. W bibliotece są książki na ten temat. Ale przesłuchiwanemu przysługuje prawo, jeśli sobie życzy, do prawnego przedstawiciela.

– Oczywiście, że wziąłbym tę sprawę – oznajmił Bill. – To doświadczenie prawnicze, jakiego nie zdobywa się często... Ale mogłoby to wyglądać na konflikt interesów – dodał. – Przecież wykonywałem zlecenia Korony.

Dopiłem jabłecznik i odstawiłem szklanę na półkę. Ziewnąłem.

– Muszę już iść, Bill.

Skinął głową.

– To tylko teoretyczne rozważania? – zapytał jeszcze.

– Oczywiście. Może się zdarzyć, że będzie to moje przesłuchanie. Dobranoc.

Przyjrzał mi się.

– Hm... To zabezpieczenie, o którym wspomniałeś – zaczął, – Chodzi o coś niebezpiecznego, prawda?

Uśmiechnąłem się.

– Nikt pewnie nie może ci w tym pomóc?

– Nie.

– No cóż... powodzenia.

– Dzięki.

– Zobaczymy się jutro?

– Może, ale raczej wieczorem.

Poszedłem do swojego pokoju i do łóżka. Musiałem trochę wypocząć, zanim zajmę się tym, co planowałem. Nie zapamiętałem żadnych snów na ten temat, ani za, ani przeciw.

Było wciąż ciemno, kiedy się obudziłem. Dobrze wiedzieć, że mój wewnętrzny budzik działa. Z przyjemnością odwróciłem się na drugi bok i spał dalej, ale nie stać mnie było na taki luksus. Czekał mnie dzień, który miał być ćwiczeniem z planowania czasu. W związku z tym wstałem, umyłem się i włożyłem świeże ubranie.

Poszedłem do kuchni. Zaparzyłem sobie herbatę, zrobiłem grzanekę i jajecznicę z kilku jajek z cebulą, papryką i odrobiną pieprzu. Odkryłem też owoce melka ze Snelters – coś, czego od dawna nie jadłem.

Potem wyszedłem tylnymi drzwiami i dotarłem do ogrodu. Było ciemno, bezksiężycowo i wilgotno. Tylko kilka pasemek mgły badało niewidoczne ścieżki. Wybrałem prowadzącą na północny zachód. Świat był teraz miejscem niezwykle spokojnym, a własne myśli też doprowadziłem do tego stanu. Czekał mnie dzień załatwiania tylko jednej sprawy naraz i wolałem, by umysł od razu się do tego przyzwyczaił.

Minąłem ogród, wyszedłem przez przerwę w żywopłocie i ruszyłem dalej nierównym traktem, w jaki zmieniła się moja ścieżka. Wspinała się wolno przez pierwsze kilka minut, potem skręciła nagle i natychmiast stała się bardziej stroma. Przystanąłem na jednym ze wzniesień i spojrzałem za siebie; wyraźnie widziałem ciemną sylwetkę pałacu i parę świateł w oknach. Jakieś rozwiane cirrusy nad głową wyglądały, jakby ktoś zagrabił światło gwiazd w niebiańskim ogrodzie, w którym siedział zadumany Amber. Po chwili ruszyłem dalej. Przed sobą miałem jeszcze kawał drogi.

Kiedy dotarłem do grzbietu, spostrzegłem na wschodzie, za opuszczonym niedawno lasem, pasmo jaśniejszego nieba. Szybko minąłem trzy masywne stopnie pieśni i historii, i rozpocząłem zejście na stronę północną.

Droga opadała z początku łagodnie, potem stromo, potem skręciła na północny wschód i na łagodniejsze zbocze. Kiedy znowu odbije na północny zachód, będzie jeszcze jeden stromy stok, potem jeden łatwy i wiedziałem, że dalej pójdę już bez wysiłku. Wysokie ramię Kolviru za plecami zasłaniało wszelkie widziane wcześniej zwiastuny przedświt. Przede mną i nade mną wisiała rozgwieżdżona noc, zacierając kontury wszystkich, prócz najbliższych głązów. Mimo to wiedziałem w przybliżeniu, dokąd się kierować. Byłem tu już kiedyś, choć wtedy zatrzymałem się tylko na chwilę.

To było jakieś trzy kilometry za grzbietem. Zwolniłem zbliżając się do tego miejsca. Szukałem sporego zagłębienia terenu mniej więcej w kształcie podkowy. Znalazłem je w końcu i wkroczyłem powoli. Budziło we mnie dziwne uczucia. Nie przewidywałem świadomie wszystkich swoich reakcji, ale na jakimś głębszym poziomie chyba ich oczekiwałem.

Szedłem, a po obu stronach wyrastały kamienne ściany, jak w wąwozie. Trafiłem na ścieżkę i podążyłem nią dalej. Prowadziła lekko w dół, ku parze niewyraźnych sylwetek drzew, potem między nimi do miejsca, gdzie stał niski kamienny budynek. Wokół rosły dziko rozmaite krzewy i trawy. Słyszałem, że specjalnie nawieziono tu glebę, by posadzić rośliny, później jednak o nich zapomniano.

Usiadłem na jednej z kamiennych ławek przed budynkiem i czekałem, aż pojaśnieje niebo. To był grób mojego ojca... właściwie mauzoleum, zbudowane dawno temu, kiedy wszyscy uważali go za zmarłego. Bawiło go to, kiedy później odwiedzał to miejsce. Teraz, oczywiście, sytuacja mogła ulec zmianie. Teraz mogło to być prawdziwe mauzoleum. Czy usunie to ironię, czy jeszcze ją wzmoże? Nie byłem pewien. Jednak budziło to mój niepokój, większy, niż się spodziewałem. Nie przyszedłem tu jako pielgrzym. Przyszedłem szukając pokoju i ciszy, jakiej potrzebuje czarodziej mojego pokroju, by zawiesić kilka zaklęć. Przyszedłem...

Może szukałem racjonalnego wytłumaczenia. Wybrałem ten punkt, ponieważ – prawdziwy czy nie – grób nosił imię Corwina i dlatego rozbudzał poczucie jego obecności. Chciałbym poznać go lepiej, a może już nigdy nie będę miał okazji. Nagle pojąłem, czemu zaufałem Luke'owi. Miał rację wtedy w Arbor. Gdybym dowiedział się o śmierci Corwina, gdybym zobaczył, że mogę obciążyć kogoś winą, rzuciłbym wszystko. Wyruszyłbym, by przedstawić rachunek i pobrać opłatę, by zamknąć rozliczenia i krwią wypisać pokwitowanie. Nawet gdybym nie znał Luke'a tak dobrze, jak znałem, łatwo mi było

wyobrazić sobie siebie na jego miejscu. A trudno go osądzać.

Do diabła! Czemu musimy się nawzajem karykaturować poza granice śmiechu i zrozumienia, aż do bólu, zawodu i konfliktu lojalności?

Wstałem. Było już dostatecznie jasno, żebym widział, co robię.

Wszedłem do środka i zbliżyłem się do niszy, gdzie stał pusty kamienny sarkofag. Wydawał się idealnym sejfem, ale zawahałem się, gdy stanąłem przy nim. Ręce mi drżały. To śmieszne. Wiedziałem, że go tam nie ma, że to tylko puste rzeźbione pudło... A jednak minęło parę minut, nim zmusiłem się, by chwycić i podnieść wieko.

Pusty, naturalnie, jak tak wiele marzeń i lęków. Wrzuciłem niebieski guzik i zamknąłem wieko. Do licha, jeśli Sharu Garrul zechce go odebrać i znajdzie tutaj, zrozumie chyba przesłanie, że bawiąc się w te swoje gierki staje nad grobem.

Wyszedłem, pozostawiając w krypcie swe uczucia. Pora zaczynać. Musiałem dopracować i zawiesić masę zakłęb, ponieważ nie zamierzałem wchodzić bezbronny do miejsca, gdzie wieją dzikie wichry.

Rozdział 10

Stałem na wzniesieniu ponad ogrodem i podziwiałem jesienne liście w dole. Wiatr bawił się moim płaszczem. Pałac kąpał się w promieniach łagodnego popołudniowego słońca. Panował chłód. Stado martwych liści przemknęło obok jak lemingi i spłynęło poza krawędź szlaku, szeleszcząc w rzadkim powietrzu.

Właściwie nie zatrzymałem się tutaj dla widoków. Stałem, żeby zablokować drugą już tego dnia próbę kontaktu przez Atut. Pierwsza zdarzyła się wcześniej, kiedy jak sznur błyskotek wieszałem zakłęcie na obrazie Chaosu. Pomyślałem, że to albo Random – zirytowany, że wróciłem do Amberu i nie uznałem za stosowne poinformować go o swoich ostatnich wyczynach i planach – albo Luke, który odzyskał siły i chce prosić o pomoc w ataku na Twierdzę. Przyszli mi do głowy, ponieważ ich właśnie najbardziej chciałem uniknąć. Żadnemu nie spodobałoby się to, co zamierzyłem, chociaż każdemu z całkiem innych powodów.

Zew osłabł i zniknął, a ja ruszyłem dalej ścieżką, minąłem żywopłot i wkroczyłem do ogrodu. Nie chciałem tracić zakłęcia na maskowanie swej obecności, więc skręciłem w lewo. Alejka prowadziła przez liczne altany, gdzie byłem mniej widoczny dla kogoś, kto akurat wyjrzałby przez okno. Mógłbym się przeatutować, ale karty zawsze doprowadzają do głównego hallu. Nie wiedziałem, kogo tam zastanę.

Oczywiście, i tak musiałem tamtędy przejść...

Wróciłem trasą, którą opuszczałem pałac: przez kuchnię. Po drodze zrobiłem sobie kanapkę i popiłem mlekiem. Potem tylnymi schodami wszedłem na piętro i przekradłem się do swoich komnat. Nikt mnie nie zauważył.

Na miejscu przypasałem miecz, który zostawiłem przy łóżku, sprawdziłem klingę, odszukałem mały sztylet i wsunąłem za pas po prawej stronie. Sztylet pochodził z Chaosu – prezent od nurka Otchłani, Borquista, któremu napisałem kiedyś wstęp, co doprowadziło do patronatu (Borquist był niezłym poetą). Do wewnętrznej części lewego rękawa przypiąłem Atut. Umyłem ręce i twarz, wyszorowałem zęby. A potem nie mogłem już wymyślić pretekstu do dalszej zwłoki. Musiałem iść i zrobić coś, czego się bałem. Było to konieczne do realizacji planu. Nagle ogarnęło mnie pragnienie, by wypłynąć żaglówką na morze. Albo choćby poleżeć na plaży...

Wszedłem i ruszyłem na dół drogą, którą wchodziłem. Skierowałem się mało używanym korytarzem na zachód. Nasłuchiwałem, czy nie rozlegną się czyjeś kroki albo głosy, a raz schowałem się do komórki, żeby przepuścić jakąś grupę. Wszystko, było tylko o chwilę dłużej uniknąć wykrycia. Wreszcie skręciłem w lewo, przeszedłem kilka kroków i czekałem prawie minutę, zanim wszedłem w główny korytarz, prowadzący obok wielkiej, marmurowej sali jadalnej. Nikogo w polu widzenia. Dobrze. Biegiem dotarłem do najbliższego wejścia i zajrzałem. Doskonale.

Sala była pusta. Nie używano jej codziennie, ale nie miałem pojęcia, czy dzisiaj nie zdarzy się jakaś szczególna okazja... choć pora nie była odpowiednia na posiłek.

Przeszedłem przez salę. Na jej tyłach znajduje się ciemny, wąski korytarz. Strażnik stoi zwykle przy wejściu albo przy drzwiach na drugim końcu. Członkowie rodziny mają prawo wstępu, chociaż wartownik notuje ich przejście. Jednak przekazuje informację zwierzchnikowi dopiero składając raport po zejściu z posterunku. Wtedy nie będzie to już miało znaczenia.

Tod był niski, krępy i brodaty. Kiedy mnie zauważył, wykonał "prezentuj broń" toporem, który jeszcze przed chwilą stał oparty o ścianę.

– Spocznij. Dużo roboty? – spytałem.

– Prawdę mówiąc nie, sir.

– Schodzę na dół. Mam nadzieję, że są tu jakieś latarnie. Nie znam stopni tak dobrze jak pozostali.

– Sprawdziłem, kiedy obejmowałem służbę. Zapalę jedną, sir.

Uznałem, że lepiej zachować energię, którą zużyłbym na zakłęcie ognia. Wszystko może pomóc...

– Dziękuję.

Otworzył drzwi i kolejno zważył w rękę trzy latarnie, stojące w schowku po prawej stronie.

Wybrał drugą, wyniósł na korytarz i zapalił od wielkiej świecy w lichtarzu.

– To chwilę potrwa – uprzedziłem go. – Pewnie skończysz służbę, zanim wrócę.

– Oczywiście, sir. Proszę uważać.

– Będę, możesz mi wierzyć.

Krążyłem w koło po długich, spiralnych schodach. Niewiele widziałem. Tylko w dole płonęły w szybie osłonięte świece, pochodnie na ścianach i wiszące latarnie, potęgując lęk wysokości bardziej niż absolutna ciemność.

Pode mną były tylko te punkty światła; nie widziałem ani odległej podłogi, ani ścian. Jedną ręką trzymałem poręcz, w drugiej ścisnąłem latarnię. Wilgotno było tu w dole. Powietrze trochę stęchłe. Nie mówię już o zimnie. Raz jeszcze spróbowałem policzyć stopnie. I jak zwykle gdzieś po drodze straciłem rachunek. Przy następnej okazji...

Myślami wróciłem do tego dalekiego dnia, gdy pokonywałem tę drogę wierząc, że zmierzam ku śmierci. Nie umarłem, ale teraz niezbyt mnie to pocieszało. To była potworna próba. I możliwe, że teraz coś pokręcę, usmażę się albo rozwieję jak dym.

W koło, w koło. W dół, w dół. Nocne myśli wczesnym popołudniem.

Z drugiej strony Flora wspomniała kiedyś, że za drugim razem jest łatwiej. Trochę wcześniej mówiła o Wzorcu i miałem nadzieję, że nie zmieniła tematu. Wielki Wzorzec Amberu, Symbol Porządku. Dorównujący mocą Wielkiemu Logrusowi w Dworcach, Znakowi Chaosu. Napięcie między nimi tworzy wszystko, co ma znaczenie w tym świecie. Wystarczy związać się z którymś, stracić panowanie i koniec. Trzeba mojego szczęścia, żeby się związać z oboma. Nie ma nikogo, z kim mógłbym porównać doświadczenia. Nie wiem, czy to utrudnia sprawę. Chociaż na moje ego dobrze wpływa świadomość, że znak pozostawiony przez jeden z nich czyni ten drugi trudniejszym... a one pozostawiają swój znak. Oba. Na pewnym poziomie rozrywają człowieka na części i składają według schematu otchłannych kosmicznych reguł. Brzmi to dumnie, szlachetnie, metafizycznie, duchowo i pięknie, ale tak naprawdę tylko przeszkadza. To cena, jaką trzeba zapłacić za pewne możliwości. Jednak żadne kosmiczne reguły nie nakazują się z tego cieszyć.

Logrus i Wzorzec umożliwiają wtajemniczonym samodzielne podróże przez Cień... a Cień to dość ogólna nazwa potencjalnie nieskończonego zbioru wariacji rzeczywistości, w których żyjemy. Dają też pewne inne zdolności...

W koło i w dół. Zwolniłem. Trochę kręciło mi się w głowie, tak jak poprzednio. W każdym razie nie zamierzałem tędy wracać.

Przyspieszyłem, kiedy wreszcie zobaczyłem dno. Była tu ława, stół, parę stojaków i skrzyń i światło, żeby je widzieć. Normalnie stał też wartownik, ale go nie zauważyłem. Może poszedł na obchód. Gdzieś po lewej mieściły się cele, gdzie czasem można było znaleźć szczególnie pechowych więźniów politycznych, którzy pełzali pod ścianami i z wolna tracili rozum. Nie wiedziałem, czy w tej chwili jacyś odsiadują tu swoje wyroki. Miałem nadzieję, że nie. Mój ojciec kiedyś do nich należał i z jego opisów wnioskuję, że nie jest to miłe przeżycie.

Zatrzymałem się na dole i krzyknąłem kilka razy. Odpowiedziało mi tylko odpowiednio

niesamowite echo. Nic więcej.

Ze stojaka zdjąłem napełnioną latarnię. Zapasowe światło mogło się przydać. Przecież nie znałem drogi.

Ruszyłem na prawo. Tam leżał tunel, którego szukałem.

Po długiej chwili przystanąłem i wysoko podniosłem latarnię. Miałem wrażenie, że zaszedłem za daleko, ale w polu widzenia wciąż nie było otworu tunelu. Obejrzałem się: nadał widziałem posterunek strażnika. Pomaszerowałem więc dalej, analizując wspomnienia poprzedniego razu. Wreszcie zmieniły się dźwięki – szybkie echa moich kroków. Musiałem zbliżyć się do jakiejś ściany czy prze szkody. Znowu podniosłem latarnię.

Tak. Czysta ciemność przede mną. A wokół niej szara skała. Tam skręciłem.

Ciemno. Daleko. Trwał bezustanny teatr cieni, gdy światło prześlizgiwało się po nierównościach skały, gdy promienie odbijały się od błyszczących punkcików w ścianach. Po lewej stronie dostrzegłem odnogę korytarza. Minąłem ją, nie zwalniając kroku. Zaraz powinna być następna. Tak. Druga...

Do trzeciej było trochę dalej. A potem czwarta. Zastanawiałem się, dokąd mogą prowadzić. Nikt nigdy mi tego nie wyjaśnił. Mole sami nie wiedzieli? Niezwykłe groty nieopisanej piękności? Inne światy? Ślepe zaułki?

Magazyny? Może pewnego dnia, gdy spotkają się czas i ochota...

Piąta...

I następna.

Szukałem siódmej. Zatrzymałem się, gdy na nią natrafiłem. Nie była taka długa. Pomyślałem o innych, którzy przede mną szli tą drogą, po czym ruszyłem do wielkich, ciężkich, okutych żelazem drzwi. Po prawej stronie na wbitym w skałę stalowym haku wisiał ogromny klucz. Zdjąłem go, otworzyłem drzwi i zawiesiłem z powrotem. Wiedziałem, że strażnik z dołu sprawdzi je i zamknie podczas któregoś z obchodów. I po raz nie wiem który zdziwiłem się, po co w ogóle zamykać te drzwi, skoro klucz zawsze tu wisi. Jakby dla obrony przed niebezpieczeństwem, które może wynurzyć się ze środka. Pytałem o to, ale nikt nie wiedział. Tradycja, tłumaczyli. Gerard i Flora sugerowali, bym spytał odpowiednio Randoma i Fionę. A oni z kolei sądzili, że Benedykt może coś wiedzieć. Jakoś nigdy nie pamiętałem, żeby się do niego zwrócić.

Pchnąłem mocno i nic się nie stało. Odstawiłem obie latarnie i nacisnąłem z całej siły. Drzwi zatrzęszczały i ustąpiły wolno. Podniosłem latarnie i wszedłem. Drzwi zamknęły się za mną, a Frakir, dziecię Chaosu, zaczęła gwałtownie pulsować. Przypomniałem sobie poprzednią tutaj wizytę i przyczynę, dla której nikt nie zabierał zapasowej latarni: niebieskawe lśnienie Wzorca na gładkim, czarnym podłożu oświetlało grootę dostatecznie, by nie zgubić drogi.

Zapaliłem drugą latarnię. Pierwszą ustawiłem przy samym brzegu Wzorca, drugą przenieśliem wzdłuż obwodu i położyłem na podłodze na drugim końcu. Nie obchodziło mnie, że Wzorzec zapewnia wystarczające oświetlenie. Uważałem go za coś denerwującego, zimnego i wręcz budzącego lęk. Naturalne światło zdecydowanie poprawiało mi samopoczucie w jego obecności.

Przechodząc do początku, studiowałem złożoną siatkę wygiętych linii. Uspokoilem Frakir, lecz nie do końca poskromiłem własne lęki. Jeśli była to reakcja Logrusu we mnie, to ciekawe, czy gorzej reagowałbym na sam Logrus, gdyby wrócił i spróbował raz jeszcze teraz, kiedy nosiłem w sobie Wzorzec. Bezowocne spekulacje.

Próbowałem się rozluźnić. Na chwilę przymknąłem oczy, ugiąłem kolana, opuściłem ramiona. Dłuższe czekanie nie ma sensu.

Otworzyłem oczy i postawiłem stopę na Wzorcu. Natychmiast strzeliły iskry. Zrobiłem krok.

Więcej iskiei. Cichutki trzask. Kolejny krok. Odrobina oporu, kiedy ruszyłem znowu...

Wszystko wróciło – wszystko, co czułem przy pierwszym przejściu: chłód, lekkie wstrząsy, łatwe i trudne odcinki. Gdzieś we mnie istniała mapa Wzorca. Idąc wzdłuż pierwszego łuku czułem się tak, jakbym z niej czytał. Narastał opór, tryskały iskry, włosy stawały mi dęba, trzaski, jakaś wibracja...

Dotarłem do Pierwszej Zasłony i miałem wrażenie, że wszedłem do tunelu aerodynamicznego. Każdy ruch wymagał strasznego wysiłku. Ale tak naprawdę niezbędny był upór. Jeśli będę atakował, będę szedł naprzód, chociaż powoli. Rzecz w tym, by się nie zatrzymywać. Ruszenie z miejsca jest czymś potwornym, w niektórych miejscach wręcz niemożliwym. Równy nacisk to wszystko, czego potrzebowałem. Jeszcze kilka chwil, a przebiję się. Potem będzie łatwiej. Dopiero Druga Zasłona jest naprawdę zabójcza.

Skręt, skręt...

Przeszedłem. Wiedziałem, że teraz przez jakiś czas droga będzie łatwiejsza. Z większą pewnością siebie sunąłem do przodu. Może Flora miała rację. Ta część nie wydawała się tak męcząca jak za pierwszym razem. Pokonałem długi łuk, a potem ostry zakręt. Iskry przesłaniały już moje buty. Umysł zalały mi teraz wspomnienia trzydziestych kwietnia, rodzinnych intryg w Dworcach, gdzie ludzie pojedynkowali się i ginęli, gdzie sukcesja po sukcesji wiła się i kreśliła swą złożoną linię poprzez krwawe rytuały pozycji i wyniesienia. Dość tego. Skończyłem. Odrzuciłem to. Może są grzeczniejsi, ale więcej krwi przelewa się tam niż w Amberze, i to dla uzyskania diabelnie małej przewagi nad innymi...

Zacisnąłem zęby. Trudno było się skupić na bieżącym zadaniu. Oczywiście, właśnie takie są jego efekty. Teraz sobie przypominałem. Jeszcze krok... Mrowienie nóg, aż po uda... Trzask, głośny dla mnie jak ryk burzy... Jedna stopa przed drugą... Podnieść, postawić... Włosy stają dęba... Zwrot... Ruch... Wprowadzam Gwiezdną Strzałę do portu przed jesiennymi szkwałami, Luke pracuje przy żaglach, wiatr dmucha nam w plecy niby tchnienie smoków... Jeszcze trzy kroki i opór wzrasta...

Docieram do Drugiej Zasłony i czuję się nagle, jakbym próbował wypchnąć samochód z błotnistego rowu... Wszystkie siły wkładam w ruch, zyskując nieskończenie mały dystans. Sunę z powolnością lodowca, a iskry sięgają mi piersi. Jestem błękitnym płomieniem...

Umysł zostaje odarty z wszelkich myśli. Nawet Czas odchodzi i zostawia mnie samego. Trwa tylko istota, którą się stałem – pozbawiona przeszłości, pozbawiona imienia, całym jestestwem atakująca inercję swych dni – równanie zbalansowane tak doskonale, że powinno zastygnąć tu w pół kroku... ale zniesienie wszystkich mas i sił pozostawia nie osłabioną wolę, oczyszcza ją w pewien sposób, a proces ruchu prześciga fizyczny wysiłek... Jeszcze krok, i jeszcze, i przeszedłem, starszy o całe wieki i znowu idący naprzód. Wiem, że osiągnę cel, mimo że zbliżam się do Wielkiego Łuku, który jest ciężki, trudny i długi. Zupełnie inaczej niż Logrus. Tu moc jest syntetyczna, nie analityczna...

Wszechświat zdaje się wirować wokół mnie. Przy każdym kroku mam wrażenie, że zanikam i ogniskuję się na powrót, zostaję rozerwany i złożony, rozrzucony i pozbierany, umieram i ożywam...

Dalej. Naprzód. Jeszcze trzy zakręty, potem prosta. Parłem do przodu. Zawrót głowy, mdłości... Mokry od potu... Koniec linii. Seria łuków. Zwrot. Zwrot. Znowu zwrot...

Wiedziałem, że zbliżam się do Końcowej Zasłony, kiedy iskry sięgnęły w górę i zmieniły się w klatkę błyskawic, a stopy znowu zaczęły ciążyć. Bezruch i straszliwy wysiłek...

Tym razem jednak czułem się jakoś wzmocniony i atakowałem wiedząc, że się przebiję...

Dokonałem tego i pozostał już tylko jeden krótki łuk. Te ostatnie trzy kroki mogą być najtrudniejsze. To tak, jakby Wzorzec poznał idącego tak dobrze, że nie chce go wypuścić. Walczyłem z nim, a kostki bolały mnie jak pod koniec biegu. Dwa kroki... Trzeci...

Koniec. Stoję nieruchomo. Dyszę i drzę. Spokój. Zniknęły wyładowania. Zniknęły iskry. Jeśli to

nie zmyło rezonansów błękitnych kamieni, to nie wiem, co mogłoby tego dokonać.

A teraz... raczej za chwilę... mogę się udać gdzie zechcę. Z tego miejsca, w tej chwili wszechmocy, mogę nakazać Wzorcowi, by przetransportował mnie dokądkolwiek, a on spełni mój rozkaz. Szkoda marnować taką szansę, żeby – powiedzmy – zaoszczędzić sobie wchodzenia po spiralnych schodach i drogi do pokoju. Nie. Miałem inne plany. Za chwilę...

Poprawiłem ubranie, przeczesałem palcami włosy, sprawdziłem broń i ukryty Atut, odczekałem, by przycichł dudniący puls.

Luke odniósł swe rany w bitwie pod Twierdzą Czterech Światów, walcząc z byłym przyjacielem i sprzymierzeńcem Daltem, najemnikiem i synem Desacatrix. Dalt nie interesował mnie, chyba że jako potencjalna przeszkoda, ponieważ teraz podobno pracował dla władcy Twierdzy. Ale nawet uwzględniając różnicę czasu, pewnie zresztą niewielką, widziałem go wkrótce po walce z Lukiem. A to dowodziło, że przebywał w Twierdzy, kiedy dotarłem do niego przez Atut.

W porządku.

Spróbowałem je przywołać: moje wspomnienie komnaty, w której zobaczyłem Dalta. Było niezbyt dokładne. Jakie jest minimum danych, wymagane przez Wzorzec, by zadziałać? Wyobraziłem sobie fakturę kamiennej ściany, kształt niewielkiego okna, skrawek wytartego gobelinu, sitowie rozrzucone na podłodze; kiedy Dalt się przesunął, za jego plecami pojawiła się niska ława i stołek, nad nimi pęknięcie na ścianie... i kawałek pajęczyny... Uformowałem obraz możliwie precyzyjnie. I zapragnąłem się tam przenieść. Chciałem być w tym miejscu...

I byłem.

Odwróciłem się szybko z dłonią na rękojeści miecza, ale byłem w komnacie sam. Dostrzegłem łóżko, broń na ścianie, małe biurko i kufer. Żadna z tych rzeczy nie mieściła się w polu widzenia, kiedy po raz pierwszy przelotnie zobaczyłem ten pokój. Światło dnia padało przez małe okienko.

Stałem przy jedynych drzwiach i długo nasłuchiwałem. Panowała cisza. Uchyliłem je odrobinę – otwierały się w lewo – i wyjrzałem na długi, pusty korytarz.

Pchnąłem drzwi dalej. Na wprost były schody w dół. Po lewej ślepy mur. Wyszedłem i zamknąłem drzwi. Pójść w dół czy na prawo? Po obu stronach korytarza były okna, więc przysunąłem się do najbliższego – po prawej – i wyjrzałem.

Przekonałem się, że jestem niedaleko rogu prostokątnego dziedzińca. Naprzeciw i z obu stron stały połączone budynki. Pozostawało wolne wyjście jedynie po prawej stronie, dalej ode mnie. Zdawało się, że prowadzi na drugi dziedziniec, gdzie nad dachami wyrastała jakaś bardzo wielka budowla. Dostrzegłem może z dziesięciu żołnierzy ustawionych przy wejściach, ale nie sprawiali wrażenia wartowników. To znaczy, zajmowali się czyszczeniem i reperacją sprzętu. Dwaj byli mocno obandażowani. Mimo to, większość mogłaby szybko stanąć w gotowości. Na drugim końcu dziedzińca leżały jakieś dziwaczne szczątki. Wyglądały jak połamany latawiec i coś mi przypominały. Postanowiłem ruszyć korytarzem.

Uznałem, że w ten sposób dojdę do budynków po przeciwnej stronie i prawdopodobnie będę mógł zajrzeć na następny dziedziniec.

Wolno ruszyłem naprzód, uważając na wszelkie podejrzanе dźwięki. W całkowitej ciszy dotarłem aż do rogu i przystanąłem, nasłuchując czujnie.

Niczego nie usłyszałem, więc zrobiłem krok naprzód i zamarłem. Tak samo jak człowiek siedzący na parapecie okna po prawej stronie. Miał na sobie krótką kolczugę, skórzany hełm, skórzane spodnie i buty. Ciężki miecz wisiał mu u boku, ale w rękę trzymał sztylet i najwyraźniej robił sobie manicure. Zdawał się nie mniej zaskoczony ode mnie, kiedy gwałtownie odwrócił głowę.

– Coś za jeden? – zapytał.

Wyprostował się i opuścił ręce, jakby chciał odepchnąć się od parapetu i wstać.

Kłopotliwa sytuacja dla nas obu. Był chyba strażnikiem. Czujność czy ukrywanie się mogły go zdradzić przed Frakir, natomiast lenistwo zamaskowało go doskonale, a mnie postawiło przed dylematem. Byłem pewien, że nie zdołam go oszukać ani zaufać wynikom, gdyby mi się pozornie udało. Nie chciałem go atakować, bo to grozi hałasem. Nie miałem wielkiego wyboru. Mogłem go zabić szybko i cicho ślicznym, niewielkim zakłęciem zawału serca, które zawiesiłem przed sobą. Zbyt jednak cenię życie, by odbierać je bez konieczności. Zatem, choć nie chciałem tak szybko tracić jednego ze swoich zakłęb, wymówiłem słowo. Ręka odruchowo wykonała odpowiedni gest i na moment rozblęsnął Logrus, gdy przepływała przeze mnie jego moc. Mężczyzna zamknął oczy i oparł się o futrynę. Poprawiłem go trochę, żeby się nie ześliznął, i zostawiłem chrapiącego spokojnie, nadal ze sztyletem w dłoni. Zresztą, zakłęcie zawału serca później może przydać się bardziej.

Korytarz dochodził do czegoś w rodzaju galerii i rozszerzał się w obie strony. Od pewnego miejsca był niewidoczny, uznałem więc, że szybciej, niż planowałem, muszę użyć kolejnego zakłęcia. Wypowiedziałem słowo dla czaru niewidzialności i świat stał się o kilka tonów ciemniejszy. Miałem nadzieję, że wykorzystam go trochę dalej; działał jakieś dwadzieścia minut, a nie miałem pojęcia, gdzie szukać swego skarbu. Jednak nie stać mnie było na ryzyko. Ruszyłem naprzód i dotarłem do galerii.

Była pusta.

Stamtąd jednak lepiej poznałem topografię okolicy.

Mogłem wyjrzeć na drugi, gigantyczny dziedziniec. Stała tam ta olbrzymia budowla, którą widziałem poprzednio.

Okazała się wielką, solidnie zbudowaną fortecą; miała chyba tylko jedno, i to dobrze strzeżone wejście. Z drugiego końca galerii wyjrzałem na dziedziniec zewnętrzny, sięgający wysokich, ufortyfikowanych murów. Wyszedłem szukać schodów na dół. Byłem prawie pewien, że ta ponura budowla z szarego kamienia jest miejscem, które należy zbadać. Otaczała ją magiczna aura, którą wyczuwałem całym ciałem aż po czubki palców.

Pobiegłem korytarzem, minąłem zakręt i zobaczyłem wartownika u szczytu schodów. Jeśli coś zauważył, to tylko wywołany przez mój płaszcz lekki podmuch. Zbiegłem na dół. Po lewej stronie było wejście do innego, ciemnego korytarza, a na wprost ciężkie, okute wrota prowadzące na wewnętrzny dziedziniec.

Otworzyłem je, wyszedłem i natychmiast odstepiłem na bok, gdyż strażnik obejrzał się, wytrzeszczył oczy i zaczął podchodzić. Wyminąłem go i ruszyłem do cytadeli. Ognisko mocy, mówił Luke. Tak. Im bardziej się zbliżałem, tym silniej to czułem. Nie miałem czasu na rozważenie, jak sobie z nią poradzić, jak nią pokierować. W każdym razie przyniosłem własny zapas.

Pod murem odbiłem w lewo. Przyda się szybki obchód w celach informacyjnych. W połowie drogi przekonałem się, że moje domysły o jedynym wejściu były słuszne. Nie dostrzegłem też ani jednego okna niżej niż trzydzieści metrów. Wokół stało wysokie, najeżone kolcami metalowe ogrodzenie, a za nim fosa. Jednak budowla nie zaskoczyła mnie tak, jak dwa połamane i trzy mniej więcej całe latawce po drugiej stronie dziedzińca pod murem.

Dziwaczne otoczenie nie przyćmiewało mi już zmysłów – zwłaszcza teraz, kiedy zobaczyłem je w całości. To były lotnie. Chciałem przyjrzeć się im z bliska, ale czas niewidzialności płynął szybko i nie mogłem sobie pozwolić na dodatkowe wycieczki. Okrążyłem dziedziniec i skierowałem się do bramy.

Przejście przez ogrodzenie było zamknięte i pilnowane przez dwóch strażników. Kilka kroków dalej brzegi fosy łączył drewniany, zwodzony most, wzmocniony stalowymi taśmami. W rogach

zamocowano wielkie sworznie, a w murze nad bramą zauważyłem kołowrót. Sięgały tam cztery zakończone hakami łańcuchy. Zastanawiałem się, ile waży ten most. Wrota były cofnięte o metr w głąb muru, wysokie i okute. Sprawiały wrażenie, że długo mogą wytrzymywać uderzenia taranu.

Zbadałem przejście w ogrodzeniu. Żadnego zamka, tylko prosty ręczny rygiel. Mógłbym go otworzyć, przebiec przez most i stanąć pod bramą, zanim strażnicy zauważą, że coś się dzieje. Z drugiej strony, wobec niezwykłego charakteru tego miejsca, mogli otrzymać instrukcje na wypadek nadprzyrodzonego ataku. Jeśli tak, nie musieli mnie widzieć, gdyby zareagowali dostatecznie szybko i przyłapali we wnęce. A miałem przecucie, że ciężka brama nie stoi otworem. Myślałem przez chwilę, badając swoje zakłęcia. Uważałem też na pozycje sześciu czy ośmiu ludzi na dziedzińcu. Żaden nie znalazł się zbyt blisko, żaden tu nie podchodził...

Cicho zbliżyłem się do strażników i położyłem Frakir na ramieniu tego po lewej stronie. Wydałem rozkaz szybkiego przyduszenia. Potem trzy szybkie kroki na prawo i kantem dłoni trafiłem drugiego strażnika w szyję. Złapałem go pod pachy, by uniknąć głośnego upadku, i opuściłem na ziemię. Jednak zza pleców usłyszałem stuk. Pierwszy zawadził o ogrodzenie pochwą miecza, kiedy padał sięgając palcami do gardła. Podbiegłem, ułożyłem go i zabrałem Frakir.

Rozejrzałem się szybko; dwóch ludzi po drugiej stronie dziedzińca patrzyło właśnie w tę stronę. Niech to szlag!

Otworzyłem przejście, przemknąłem do środka i zasunąłem rygiel. Na moście obejrzałem się znowu; ci dwaj, których zauważyłem poprzednio, szli teraz w moją stronę. Tym samym musiałem dokonać kolejnego wyboru.

Ciekawe, jak trudne okaże się rozwiązanie najrozsądniejsze pod względem strategicznym.

Przykucnąłem i chwyciłem najbliższy róg mostu – ten z prawej strony. Fosa, nad którą leżał, miała ze cztery metry głębokości i dwa razy tyle szerokości. Zacząłem prostować nogi. Most był piekielnie ciężki, ale zatrzeszczał i uniósł się o kilka centymetrów. Przytrzymałem go przez chwilę i spróbowałem znowu. Więcej trzasków i jeszcze parę centymetrów. I znów... Krawędź mostu boleśnie wbijała mi się w dłoń. Miałem uczucie, że coś wolno wrywa mi ręce ze stawów. Prostując nogi i ciągnąc coraz mocniej, myślałem, ilu ludzi zawodzi w takich siłowych przedsięwzięciach z powodu nagłych problemów z krzyżem. Przypuszczam, że ci, o których się nie słyszy. Czułem dudnienie serca, jakby wypełniało całą klatkę piersiową. Mój róg był już prawie trzydzieści centymetrów nad ziemią, ale lewy brzeg mostu wciąż dotykał gruntu. Spróbowałem znowu, czując, jak pot wypływa mi na czoło i pod pachami, niby wywołany magią. Oddech... W górę!

Podciągnąłem aż do kolan, potem wyżej. Lewy róg oderwał się w końcu od ziemi. Słyszałem głosy nadchodzącej dwójki – głośne, podekscytowane... Biegli już. Ciągnąc za sobą drewnianą konstrukcję, zacząłem przesuwać się w lewo. Róg naprzeciwko przemieścił się w stronę fosy. To dobrze. Szedłem dalej. Lewy róg był już prawie metr poza krawędzią. Czułem ostry ból rąk, barków i szyi. Dalej...

Mężczyźni stali już koło przejścia, ale zatrzymali się, by obejrzeć nieprzytomnych kolegów. Doskonale. Wciąż nie byłem pewien, czy upuszczony most nie zaczepi o coś i nie zatrzyma się. Musiałem wrzucić go do fosy. Inaczej na darmo narażałem kręgosłup. W lewo...

Zaczął się kołysać i przechylać w prawo. Widziałem, że za chwilę nie zdołam go utrzymać. Dalej w lewo, jeszcze... prawie... Tamci zostawili strażników, zauważyli ruchomy most i grzebali teraz przy ryglu. Jeszcze dwóch biegło im z pomocą; słyszałem krzyki. Następny krok. Most wyslizgiwał mi się z rąk. Za chwilę go wypuszczę... Jeszcze krok...

Puścić i odskoczyć!

Mój róg zaczął się o brzeg rowu, ale drewno pękło, a ziemia ustąpiła. Cofnąłem się. Most przewrócił się padając, dwa razy uderzył o przeciwległą ścianę i ze straszliwym trzaskiem runął na dno. Ręce zwisały mi bezwładnie, chwilowo bezużyteczne.

Zawróciłem do bramy. Zakłęcie wciąż działało, więc przynajmniej nie byłem celem dla pocisków zza fosy.

Kiedy stanąłem u wrót, potrzebowałem wszystkich sił, by unieść ręce do żelaznego pierścienia w prawym skrzydle. Nic się nie stało, gdy szarpnąłem. Brama była zabezpieczona. Spodziewałem się tego i przygotowałem odpowiednio, ale najpierw musiałem sprawdzić. Nie używam lekkomyślnie swoich zaklęć.

Wymówiłem słowa, tym razem aż trzy – mniej elegancko, ale było to dość toporne zakłęcie. Miało za to straszliwą siłę.

Całe moje ciało drgnęło, kiedy drzwi zapadły się do wnętrza jakby kopnięte przez olbrzyma w bucie okutym stalą. Wkroczyłem natychmiast i natychmiast stanąłem zakłopotany, gdy tylko oczy przystosowały się do półmroku. Znalazłem się w hallu wysokim na dwa piętra.

Naprzeciwno, z prawej i z lewej strony, prowadziły na górę schody; skręcały do wnętrza, do otoczonego poręczą podestu na piętrze, skąd wybiegał korytarz. Pod nim był drugi korytarz, dokładnie naprzeciw mnie. Dwa ciągi schodów prowadziły też w dół, na tyłach tych pierwszych. Decyzje, decyzje...

W samym środku sali stała czarna kamienna fontanna, wyrzucając w powietrze płomienie zamiast wody. Ogień opadał do kamiennej misy, wirował tam i tańczył. Płomienie były czerwone i pomarańczowe w powietrzu, białe i żółte w dole; falowały. Salę wypełniała aura mocy.

Każdy, kto potrafi sterować uwolnioną w tym miejscu energią, będzie trudnym przeciwnikiem. Przy odrobinie szczęścia może się nie przekonam, jak trudnym. Niewiele brakowało, a zmarnowałbym swój specjalny atak, kiedy dostrzegłem nagle dwie postacie w kącie po prawej stronie. Ale nie poruszyły się. Trwały w nienaturalnym bezruchu. Posągi, oczywiście...

Nie mogłem się zdecydować, czy szukać na górze, na dole, czy ruszyć prosto przed siebie. I właśnie postanowiłem sprawdzić na dole, zgodnie z teorią, że jakiś instynkt nakazuje więzić nieprzyjaciół w zimnych, podziemnych lochach. Aż nagle coś w tych dwóch posągach znowu przyciągnęło moją uwagę. Wzrok przystosował się nieco i widziałem teraz, że jeden z nich przedstawia siwowłosego mężczyznę, drugi ciemnowłosą kobietę. Przetarłem oczy i dopiero po kilku sekundach uświadomiłem sobie, że dostrzegam zarys swej dłoni. Czar niewidzialności rozprasał się...

Podszedłem do obu figur. Starzec trzymał kilka płaszczy i kapeluszy, co powinno być wskazówką. Uniosłem jednak połą jego błękitnej szaty. W jaskrawym nagle blasku fontanny zauważyłem imię RINALDO wyryte na prawej nodze. Paskudny bachor.

Kobieta obok okazała się Jasrą, oszczędzając mi poszukiwani między szczurami w podziemiach. Także wyciągała ręce, jakby w geście obrony. Ktoś powiesił jej na lewym ramieniu jasnoniebieską parasolkę, na prawym jasnoszary deszczowiec typu Londyńska Mgła. Przeciwdeszczowy kapelusz w tym samym kolorze tkwił na bakier na jej głowie. Twarz miała pomalowaną jak kłown i dwa żółte frędzle przypięte do gorsu zielonej bluzki.

Światło za plecami rozblęsnęło jeszcze mocniej i obejrzałem się, by zbadać przyczyny. Fontanna, jak się okazało, strzelała płynnym ogniem już na sześć metrów w górę. Płomienie wylewały się z misy na kamienie posadzki, a szeroki strumień płynął w moją stronę.

W tej właśnie chwili usłyszałem cichy śmiech. Podniosłem głowę.

W ciemnej szacie, kapturze i rękawicach stał na podeście u góry mag w kobaltowej masce. Jedną

dłoń oparł na poręcz, drugą wyciągał ku fontannie. Ponieważ oczekiwałem spotkania z nim podczas wyprawy, przygotowałem się należycie. Gdy płomienie skoczyły jeszcze wyżej i utworzyły wielką, jasną wieżę, która niemal natychmiast pochyliła się w moją stronę, wypowiedziałem słowo najodpowiedniejszego z moich trzech zaklęć obronnych. Drgnęły prądy powietrza i wspierane energią Logrusu błyskawicznie osiągnęły potęgę huraganu. Odpychały ode mnie ogień. Zmieniłem trochę pozycję, by dmuchały w stronę maga na schodach. Szybko skinął ręką; płomienie opadły do fontanny i przygasły do ledwie żarzącego się strumyczka.

W porządku. Remis. Nie przyszedłem, żeby rozstrzygnąć sprawę z tym facetem. Przybyłem, by przechytrzyć Luke'a i samemu uratować Jasrę. Kiedy zostanie moim więźniem, Amber będzie dokładnie zabezpieczony przed wszystkim, co Luke sobie zaplanował. Mimo to myślałem o tym magu; gdy tylko ucichła wichura, znów usłyszałem jego śmiech. Czy używał zaklęć, jak ja? Czy żyjąc u źródła tak wielkich mocy, potrafił kierować nimi bezpośrednio i kształtować wedle woli? Jeśli to drugie, co podejrzewałem, to chował w rękawie praktycznie niewyczerpany zapas sztuczek; każdy pojedynek w pełnej skali na jego terenie skończy się ucieczką albo użyciem broni jądrowej – to znaczy wezwaniem samego Chaosu, by doszczętnie rozniósł całą okolicę. A tego właśnie wolałbym uniknąć: unicestwienia wszystkich zagadek, wśród nich sekretu tożsamości maga. Lepiej je rozwiązać, uzyskać odpowiedzi być może kluczowe dla bezpieczeństwa Amberu.

Lśniaca metalowa włócznia zmaterializowała się w powietrzu przed magiem, zawisła na moment i pomknęła ku mnie. Użyłem drugiego zaklęcia obronnego: przywołałem tarczę, która odbiła pocisk.

Istniała tylko jedna alternatywa pojedynku na zaklęcia albo zniszczenie lokalu przez Chaos: musiałbym nauczyć się samemu kierować tutejszą mocą i spróbować pokonać Maskę w jego własnej grze. Teraz nie miałem czasu na próby; w pierwszej spokojniejszej chwili musiałem załatwić swoją sprawę. Prędzej czy później jednak dojdzie do konfrontacji – on wyraźnie się na mnie wziął i może nawet sam wysłał do lasu tego niezręcznego wilkołaka.

Nie chciałem w takiej chwili ryzykować badania tutejszego Źródła mocy, zwłaszcza że Jasra była dość silna, by pokonać pierwszego władcę, Sharu Garrula, a ten facet dość silny, by pokonać Jasrę. Chociaż wiele bym dał za wyjaśnienie, czemu się do mnie przyczepił...

A więc...

– Czego właściwie chcesz?! – krzyknąłem.

Metaliczny głos odpowiedział natychmiast.

– Twojej krwi, twojej duszy, twojego umysłu i twojego ciała.

– A co z moim zbiorem znaczków pocztowych?! – wrzasnąłem. – Pozwolisz mi zachować datowniki z pierwszego dnia emisji?

Przysunąłem się do Jasry i objąłem ją za ramiona.

– Po co ci ona, śmieszny człowieczku? – spytał mag. – To przedmiot bez żadnej wartości.

– To czemu się nie zgadzasz, żebym ją sobie zabrał?

– Ty zbierasz znaczki. Ja kolekcjonuję zarozumiałych czarnoksiężników. Ona jest moja, a ty będziesz następny.

Czułem, jak wznosi się skierowana przeciwko mnie moc.

– Co masz przeciwko swoim braciom i siostram w Sztuce?! – zawołałem.

Nie odpowiedział, ale powietrze wypełniło się nagle ostrymi, wirującymi przedmiotami: noże, ostrza toporów, stalowe gwiazdki, rozbite butelki. Wymówiłem słowo swej ostatniej obrony, Zasłony Chaosu. Między nami wyrosła rozedrgana, przydymiona ściana. Ostre obiekty pędzące w naszą stronę, dotykając jej rozpadały się w kosmiczny pył.

– Jak mam cię nazywać? – spytałem, przekrzykując zgiełk tego starcia.

– Maską! – odpowiedział natychmiast czarodziej.

Niezbyt oryginalnie. Spodziewałem się raczej odwołań do Johna D. MacDonalda: może Koszmarny Błękit albo Kobaltowy Kask. Wszystko jedno.

Zużyłem ostatnie defensywne zaklęcie. Uniosłem też lewą rękę tak, że część rękawa z przypiętym Atutem Amberu znalazła się w moim polu widzenia. Jak dotąd on miał inicjatywę, ale nie pokazałem jeszcze wszystkiego. Grałem defensywnie, a byłem dość dumny z zaklęcia, jakie zachowałem w rezerwie.

– To ci nie pomoże – oświadczył Maska, gdy oba nasze czary wygasły i szykował się do kolejnego ataku.

– Miłego dnia – rzuciłem, przekręciłem dłonie, wysunąłem palce dla sterowania przepływem i wypowiedziałem słowo, które pobiło go na głowę.

– Oko za oko! – krzyknąłem, kiedy na Maskę runęła cała zawartość kwaciarni. Został pogrzebany pod największym bukietem, jaki widziałem w życiu. Ładnie pachniało.

Nastała cisza, opadła moc. Wpatrywałem się w Atut, sięgałem w głąb... Nastąpił już kontakt, kiedy dostrzegłem poruszenie wśród wystawy kwiatów i Maska wynurzył się z nich niby alegoria wiosny.

Rozpływałem się już chyba, bo powiedział:

– Jeszcze cię dostanę!

– I słodycz do słodyczy – odparłem. Rzuciłem słowo, które dopełniło czaru, zwałając na niego furmankę nawozu.

Zrobiłem krok i ciągnąc za sobą Jsrę przestąpiłem do głównego hallu w Amberze. Martin z kielichem wina stał obok kredensu i rozmawiał z Borsem, sokolnikiem.

Gdy Bors mnie dostrzegł, wytrzeszczył oczy i umilkł.

Martin obejrzał się i zareagował podobnie.

Postawiłem Jsrę koło drzwi. Nie miałem na razie ochoty grzebać przy rzuconym na nią zaklęciu. Zresztą nie bardzo wiedziałem, co bym z nią robił po uwolnieniu. Dlatego powiesiłem na niej płaszcz, podszedłem do kredensu i nalałem sobie wina. Po drodze skinąłem głową Maronowi i Borsowi.

Wypiłem do dna.

– Cokolwiek zrobicie, nie rycie na niej swoich inicjałów – rzuciłem i wyszedłem.

Znalazłem wolną sofę w komnacie wschodniego skrzydła, wyciągnąłem się i zamknąłem oczy. Most nad rzeką zmartwień. Są takie dni w tygodniu. Gdzie są kwiaty z tamtych lat?

Czy coś w tym rodzaju.

Rozdział 12

Było mnóstwo dymu, gigantyczna dżdżownica i błyski kolorowych świateł. Każdy dźwięk budził się do istnienia, osiągał szczyt i więdnąc zanikał. Wszystko to jak momentalne pchnięcia istnienia, pojawiające się i odchodzące w Cień. Dżdżownica ciągnęła się bez końca. Kwiaty o psich głowach kłapały na mnie zębami, ale potem merdały liśćmi. Płynący dym przystanął przed opuszczonym z nieba sygnalizatorem. Dżdżownica... nie, raczej gąsienica, uśmiechnął się. Spadł drobny, gęsty deszczyk, a każda kropla była oszlifowana jak klejnot...

Co nie pasuje w tym obrazie?, zapytał jakiś wewnętrzny głos.

Zrezygnowałem, bo nie byłem pewien. Miałem tylko niejasne wrażenie, że nieregularny pejzaż nie powinien tak falować...

– O rany! Merle...

Czego Luke znowu chciał? Nie mógłby się ode mnie odczepić? Zawsze jakieś problemy.

– Spójrz na to, dobrze?

Patrzyłem tam, gdzie jaskrawe, podskakujące kule – a może to byty komety – tkwały gobelin światła. Opadł na las parasoli.

– Luke... – zacząłem, ale jeden z kwiatów z psim łbem ugryzł mnie w rękę, o której całkiem zapomniałem.

Wszystko wokół zarysowało się, jakby było namalowane na szybie, przez którą właśnie przeleciał pocisk. Za nią lśniła tęcza...

– Merle! Merle!

To Droppa szarpał mnie za ramię, o czym poinformowały mnie otwarte nagle oczy. Wilgotna plama na sofie znaczyła miejsce, gdzie położyłem głowę.

– Droppa... co?

– Nie wiem – odpowiedział.

– Czego nie wiesz? To znaczy... do diabła, co się tu dzieło?

– Siedziałem w fotelu – wyjaśnił, wskazując ręką. – Czekałem, aż się obudzisz. Martin mówił, że cię tu znajdzie. Miałem ci przekazać, że jak tylko wrócisz do siebie, Random chce z tobą porozmawiać.

Kiwnąłem głową. I zauważyłem, że z ręki sączy mi się krew – w miejscu, gdzie ugryzł mnie kwiat.

– Długo spałem?

– Ze dwadzieścia minut.

Zsunąłem nogi na podłogę i usiadłem.

– Zatem dlaczego postanowiłeś mnie obudzić?

– Zaraz byś się wyatutował – odparł krótko.

– Wyatutował? Przez sen? To przecież nie działa w taki sposób. Jesteś pewien...?

– Nieszczęśliwie się składa, że jestem w tej chwili trzeźwy – oświadczył. – Miałeś tęczowy połysk, zacząłeś rozmywać się na brzegach i zanikać. Pomyślałem, że lepiej cię obudzę i spytam, czy rzeczywiście tego chcesz. Co właściwie piłeś, wywabiacz do plam?

– Nie.

– Raz wypróbowałem to na swoim psie...

– Sny – mruknąłem. Rozmasowałem pulsujące skronie. – Nic więcej. Sny.

– Takie, które mogą zobaczyć inni ludzie? Jak delirium tremens a deux?

– Nie o tym mówiłem.

– Lepiej chodźmy do Randoma. – Odwrócił się do drzwi.

Potrząsnąłem głową.

– Jeszcze nie. Posiedzę tu trochę i spróbuję się pozbierać. Coś tu nie pasuje.

Spojrzałem na niego; oczy miał szeroko otwarte i patrzył poza mnie. Obejrzałem się. Ściana za plecami topniała, jakby była zrobiona z wosku i stała za blisko ognia.

– Jak się zdaje, nadchodzi czas paniki i biegów – zauważył Droppa. – Na pomoc!

Z krzykiem wypadł za drzwi.

Trzy mgnienia oka potem ściana znowu wyglądała całkiem normalnie, ale ja drżałem. Co tu się działo, do diabła? Czyżby Maska zdążył rzucić na mnie zaklęcie, zanim zniknąłem? Jeśli tak, to do czego to wszystko zmierzało?

Wstałem i wolno obróciłem się dookoła. Wszystko było chyba na miejscu. Wiedziałem, że to nie halucynacja wywołana niedawnym napięciem – przecież Droppa także to widział. Czyli nie traciłem rozumu. To było coś innego i czułem, że nadal czai się gdzieś w pobliżu.

Powietrze miało jakąś nienaturalną czystość i każdy obiekt rysował się niezwykle wyraziście.

Szybko obszedłem pokój, nie wiedząc dokładnie, czego właściwie szukam. Nic więc dziwnego, że nie znalazłem. Wyszedłem na korytarz. Czy przyczyną mogło być coś, co przyniosłem ze sobą? Czyżby Jasra, sztywna i wyniosła, pełniła funkcję Konia Trojańskiego?

Szedłem do głównego hallu. Po dziesięciu krokach pojawiła się przede mną przekrzywiona siatka światła. Zmusiłem się, by iść dalej, a ona ustępowała, przy okazji zmieniając kształt.

– Chodź tu, Merle! – Głos Luke'a. Samego Luke'a nie było widać.

– Gdzie?! – krzyknąłem nie zwalniając.

Nie było odpowiedzi, ale siatka pękła w połowie i obie części rozchyliły się przede mną jak okiennice. Otwierały się na oślepiający blask; zdawało mi się, że w tym blasku dostrzegam królika. A potem nagle wizja zniknęła. Jedynie kilka sekund bezkierunkowego śmiechu Luke'a uratowało mnie przed złudzeniem, że wszystko wróciło do normy.

Pobiegłem. Czyżby naprawdę Luke był nieprzyjacielem, jak wielokrotnie mnie ostrzegano? Czy w ostatnich wydarzeniach świadomie kierował mną w tym wyłącznie celu, by wyrwać Jasrę z Twierdzy Czterech Światów? A teraz, kiedy już była bezpieczna, ośmielił się sam zaatakować Amber i wyzwąć mnie na czarnoksiężski pojedynek, którego warunków w ogóle nie rozumiałem?

Nie, nie mogłem w to uwierzyć. Byłem pewien, że nie ma takiej mocy. A nawet gdyby, nie odważyłby się teraz, gdy Jasra jest zakładniczką.

Znowu go usłyszałem – zewsząd i znikąd. Tym razem śpiewał. Miał piękny baryton i wybrał starą szkocką pieśń o dawnych dobrych czasach. Co to miała być za aluzja?

Wpadłem do głównego hallu. Martin i Bors już wyszli; dostrzegłem na kredensie ich puste kielichy; tam niedawno stali. A obok drugich drzwi...? Tak, obok drugich drzwi nadal stała Jasra, wyprostowana, nie zmieniona, wciąż trzymająca mój płaszcz.

– W porządku, Luke, załatwmy to! – krzyknąłem. – Skończ z tymi bzdurami i bierzmy się do rzeczy!

– Co?

Śpiew urwał się nagle.

Wolno podszedłem do Jasry i przyjrzałem się jej uważnie. Była zupełnie taka sama, jeśli nie liczyć kapelusza, który ktoś wsadził jej w drugą rękę. Gdzieś z wnętrza pałacu dobiegł krzyk. Może to Droppa wciąż panikował.

– Gdziekolwiek jesteś, Luke – powiedziałem. – Jeśli mnie słyszysz, to skoncentruj się i patrz: mam ją tutaj. Widzisz? Cokolwiek sobie planujesz, nie zapominaj o tym.

Sala zafalowała gwałtownie, jakbym stał pośrodku obrazu bez ram, który ktoś postanowił właśnie strzepnąć, żeby wyrównać i potem naprężyć.

– Co ty na to?

Cisza.

A potem chichot.

– Moja matka wieszakiem... No, no. Dzięki, chłopie. Niezły pokaz. Nie mogłem dosięgnąć cię wcześniej. Nie wiedziałem, że wszedłeś. Wytlukli nas. Wziąłem paru najemników na lotniach i przejechałem na prądach termicznych. Ale oni byli gotowi. Załatwili nas. Potem nie pamiętam dokładnie... Boli!

– Nic ci się nie stało?

Usłyszałem coś jakby chlipnięcie. W tej samej chwili wkroczyli Random i Droppa. Za nimi dostrzegłem chudą postać Benedykta, cichego jak śmierć.

– Merle! – krzyknął Random. – Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia. – Pokręciłem głową.

– Pewnie, postawię ci drinka – zabrzmiał ledwie słyszalny głos Luke'a.

Ognista kurzawa zawirowała pośrodku sali. Trwała tylko przez moment, a potem na jej miejscu pojawił się duży prostokąt.

– Jesteś czarodziejem – przypomniał mi Random. – Zrób coś.

– Do diabła! Nie wiem, co to jest – odpowiedziałem. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Jakby magia oszalała.

W prostokącie zamajaczył niewyraźny kształt... ludzki. Nabrał kontrastu, pojawiły się rysy, ubranie... To był Atut, gigantyczny Atut zawieszony w powietrzu, materializujący się... To był... To byłem ja. Spojrzałem na własną twarz, a tamten spojrzał na mnie. Uśmiechał się.

– Chodź, Merle. Dołącz do nas – usłyszałem głos Luke'a. Atut zaczął obracać się wolno wzdłuż pionowej osi.

W hallu zabrzmiały dźwięki szklanych dzwoneczków.

Ogromna karta wykonała ćwierć obrotu i teraz widziałem ją z boku, jak czarną krechę. Potem linia zmarszczyła się i rozsunęła jak kurtyna. Zobaczyłem płynące za nią kolorowe plamy ostrego światła. Dostrzegłem też gąsienicę z nargilami, tłuste parasole i jasną, lśniącą poręcz...

Ze szczeliny wysunęła się ręka.

– Tędy.

Random głośno nabrał tchu.

Ostrze Benedykta skierowało się nagle w naszą stronę. Ale Random położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

– Nie.

W powietrzu drżała teraz dziwna, urywana muzyka. Nie wiem czemu, ale wydawała się odpowiednia.

– Chodź, Merle.

– Wchodzisz czy wychodzisz? – spytałem.

– Jedno i drugie.

– Obiecałeś mi coś, Luke: informację w zamian za ratowanie twojej matki. Widzisz? Mam ją tutaj. Jak brzmi ten sekret?

– Coś ważnego dla twojego bezpieczeństwa? – zapytał powoli.

– Ważnego dla bezpieczeństwa Amberu. Tak mówiłeś.

– Ach, o ten sekret ci chodzi.

- Chętnie poznam także ten drugi.
- Przykro mi, ale sprzedaję tylko jeden. Który wolisz?
- Bezpieczeństwo Amberu – zdecydowałem.
- Dalt – odpowiedział.
- Co z nim?
- Jego matka to Deela Desacratrix...
- To już wiem.

– ...była w niewoli u Oberona dziewięć miesięcy przed narodzinami Dalta. Oberon ją zgwałcił.

Dlatego Dalt tak was nie lubi, chłopcy.

- Bzdury! – rzuciłem.
- Też to powiedziałem, kiedy o jeden raz za dużo usłyszałem tę historię. I wyzwiałem go, by spróbował przejść Wzorzec na niebie.
- I...?
- Przeszedł.
- Hm...

– Niedawno się o tym dowiedziałem – wtrącił Random. – Od emisariusza, który wrócił z Kashfy.

Ale nie miałem pojęcia, że spróbował Wzorca.

– Jeśli wiedzieliście, to wciąż jestem wam coś winien – stwierdził Luke niemal z roztargnieniem.

– W porządku, macie: Dalt odwiedził mnie później na cieniu-Ziemi. To on obrabował mój skład, ukradł zapas broni i specjalnej amunicji. Spalił magazyn, żeby zatrzeć ślady, ale znalazłem świadków. Może się zjawić w każdej chwili. Kto zgadnie kiedy?

– Kolejna rodzinna wizyta – westchnął Random. – Dlaczego nie jestem jedynakiem?

– Zróbcie z tą wiadomością, co chcecie – dodał Luke. – Nasze rachunki są wyrównane. Daj rękę!

– Przejdiesz tutaj?

Zaśmiał się, a cały hall jakby podskoczył. Szczelina w powietrzu zawisła przede mną, jakaś dłoń chwyciła mnie za rękę. Coś tu bardzo nie pasowało. Próbowałem ściągnąć go do siebie, ale poczułem, że to on mnie ciągnie. Nie mogłem walczyć z tą szaloną mocą; pochwyciła mnie, a wszechświat skręcił się nagle.

Konstelacje rozstały się i znów zobaczyłem tę jasną poręcz. Luke opierał na niej stopę. Gdzieś z daleka, z tyłu, słyszałem krzyk Randoma:

– B-dwanaście! B-dwanaście! Rozłączam się!

...A potem nie mogłem sobie przypomnieć, czego się właściwie przestraszyłem. To przecież cudowne miejsce. Głupio tylko, że wziąłem grzyby za parasole... Też postawiłem nogę na poręczy. Kapelusznik podał mi piwo i dolał Luke'owi. Ten skinął ręką i Marcowy Zając też dostał porcję. Humpty czuł się świetnie, balansując w pobliżu końca wszystkich rzeczy. Tweedledum, Tweedledee, Dodo i Żaba Piechur pilnowali muzyki.

A Gąsienica pykał tylko swoje nargile.

Luke klepnął mnie w ramię. Chciałem sobie coś przypomnieć, ale ono stale się chowało.

– Już wyzdrowiałem – rzekł Luke. – Wszystko jest w najlepszym porządku.

– Nie, jest jeszcze coś... nie pamiętam...

Uniósł kufel i stuknął się ze mną.

– Baw się! – zawołał. – Życie jest kabaretem!

Kot na stołku obok mnie uśmiechał się tylko.

SPIS TREŚCI:

[Strona tytułowa](#)

[Refleksje w kryształowej grocie](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 12](#)

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Refleksje w kryształowej grocie. 2](#)

[Rozdział 1. 5](#)

[Rozdział 2. 13](#)

[Rozdział 3. 22](#)

[Rozdział 4. 31](#)

[Rozdział 5. 42](#)

[Rozdział 6. 56](#)

[Rozdział 7. 67](#)

[Rozdział 8. 79](#)

[Rozdział 9. 87](#)

[Rozdział 10. 96](#)

[Rozdział 10. 104](#)

[Rozdział 12. 114](#)